

WIĘŹNIOWIE INTERNETU

Co z tym zrobić?



32. Festiwal Mozartowski

14 maja – 2 lipca
2023





Nikczemna polityka historyczna

Maj to kolejna rocznica najtragiczniejszej z wojen. W każdej polskiej rodzinie są ofiary II wojny światowej. Pielęgnowyśmy pamięć o bliskich, którzy walczyli w mundurach, bili się o Polskę na wschodzie i na zachodzie. O tym, do jakiej armii trafili, decydowano za nich. Po 78 latach ci, którzy z polską armią szli ze wschodu, zostali nazwani okupantami. I oskarżeni o wszystko, co najgorsze. Niestety, większość Polaków macha na to ręką i nie reaguje na te brednie. Przypomnę więc, że w kwietniu 1945 r. bardzo młody polski żołnierz, Wojciech Jaruzelski, z bronią w ręku bohatersko walczył z niemieckim okupantem. Wał Pomorski, Kołobrzeg, forsowanie Odry i walki o Berlin. Ciężko ranny, z wojny przywiózł medale za odwagę. Takich jak on były tysiące. A teraz nie dość, że wymazuje się ich z historii, to jeszcze dodaje łajdakie oskarżenia i kłamstwa. Broniąc każdego maszkaroną postawionego duchownym, IPN likwiduje kolejne pomniki z czasów II wojny światowej. Czym się zajmą ci politycy, gdy rozwalą już wszystkie pomniki związane z żołnierzami Armii Czerwonej, którzy przepędzili Niemców w drodze na Berlin?

Co zrobimy z grobami ponad 600 tys. żołnierzy i oficerów, którzy byli Rosjanami, Ukraińcami, Białorusinami, Gruzinami i reprezentowali dziesiątki innych narodów? Skoro domagamy się, i bardzo słusznie, upamiętnienia polskich ofiar ludobójstwa na Wołyniu, co robimy z pamięcią o tej ogromnej ofierze życia? Ci ludzie nie byli niewolnikami Stalina. Bardzo chcieli wrócić do domu, do rodziny. Do miejsc, o których nawet nie słyszeliśmy. A zostali tu na zawsze. Znieważanie ich pamięci jest działaniem haniebnym. I kolejnym dowodem nikczemności polityki historycznej, którą próbuje wciskać młodym Polakom aktualna władza. Starsi wiedzą, jak było. Ale mówią o tym ostrożnie. I w zaufanym gronie.

Zamiast poznawać fakty i wyciągać wnioski z historii, kolejne pokolenia wychowywane są w duchu maszerowania na dźwięk trąbki. Słyszeliście już tych grajków? Jeżeli ich w porę nie zatrzymacie, będą kolejne groby. I pomniki, które ktoś kiedyś rozwali.

Cześć i chwała wszystkim, którzy walczyli o Polskę na wszystkich frontach II wojny światowej!

POMOŻECIE?

Gdyby jednym zdaniem opisać sytuację redakcji po moim apelu, to mam dobrą wiadomość. Jest moc! Do piątku wsparło nas 378 osób. W większości są to wpłaty od 20 do 100 zł. Wiele osób deklaruje też, że będą to comiesięczne darowizny. Daje to nadzieję, że dzięki Waszej pomocy będziemy na rynku w kolejne poniedziałki. Do Czytelników, którzy podali swoje numery, dzwonię i liczę na rozmowy o tym, co poprawiać. I jak szerzej trafić do mediów społecznościowych. Proszę więc o propozycje tematów, które uważacie za najpilniejsze. Mam nadzieję,

że niebawem pochwalimy się nowymi książkami. W maju będzie to drugi tom cyklu o walce wywiadów trzech mocarstw autorstwa Tomasza Turowskiego. Kupujcie i polecajcie nasze książki znajomym! Mamy też ponad 40 e-booków. Dziękuję za informacje o miejscach, gdzie mimo próśb nie chcą sprowadzać naszego tygodnika. Będziemy interweniować aż do skutku.

Proszę o wpłaty na konto:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



PODCAST PRZEGLĄDU:

**ROBERT WALENCIAK
I JAKUB DYMEK**

i ich cotygodniowy

**INNY
PUNKT WIDZENIA**

najważniejszych wydarzeń



Znajdziesz nas na Spotify, iTunes, YouTube i stronach internetowych tygodnika

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Zabójczy internet. Co z tym zrobić?**
Młodzi więźniowie sieci
- 14 Życie non stop na petardzie**
– rozmowa z Grzegorzem Pietrucukiem
- 18 Ziobro wypycha Polskę z Unii**
Suwerenna Polska to nie przypadek
- 20 Antyklerykalizm przestanie być potrzebny**
– rozmowa z dr. hab. Michałem Rauszerem
- 40 Rusycyści na cenzurowanym**
Wojna a sytuacja nauczycieli
- 42 Młodzi poligłoci**
Języki nie takie obce
- 44 Już nie pobór, ale kwalifikacja**
Przed komisją wojskową
- 46 Szklane ściany, ruchome schody**
– rozmowa z prof. Magdaleną Musiał-Karg

ZAGRANICA

- 24 Urna i zagranica**
PiS utrudni głosowanie Polonii
- 28 Wasi i nasi oligarchowie**
Czy ukraińscy miliarderzy zmieniają obyczaje?
- 32 Prawica. Nowy rozdział**
To nie koniec Tuckera Carlsona

HISTORIA

- 36 Zablokować Szczecin**
Kuliszy konfliktu granicznego

OPINIE

- 39 Piotr Kimla**
Zaakceptować siebie

KULTURA

- 50 Faust była kobietą**
– rozmowa z Maciejem Henem
- 52 Culturalia**
- 66 Jakub Julian Ziółkowski. Jesteście moi**

ZDROWIE

- 53 Odyseja diagnostyczna**
– rozmowa z Marią Liburą

EKOLOGIA

- 56 Sny z plastiku**
Filipiny toną w odpadach

ZWIERZĘTA

- 60 95 lat warszawskiego zoo**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Nikczemna polityka historyczna
- 13 Jan Widacki**
Koza a sprawa polska
- 23 Andrzej Romanowski**
Pokolenie
- 31 Roman Kurkiewicz**
Leć, rakieto, leć, może nad Noteć
- 49 Tomasz Jastrun**
Smutek dzieci
- 59 Wojciech Kuczek**
Świadectwo nieważności

20
KRAJ

ANTYKLERYKALIZM PRZESTANIE BYĆ POTRZEBNY

– rozmowa z dr. hab.
Michałem Rauszerem



53
ZDROWIE

ODYSEJA DIAGNOSTYCZNA

– rozmowa z Marią Liburą



60
ZWIERZĘTA

95 LAT WARSZAWSKIEGO ZOO

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK



Gierek — mieszkaniowa rewolucja

To była władza, która rozumiała zachodzące zmiany społeczne. W realizacji najsłabszym ogniwem był człowiek, ale liczby mówią za siebie. Do dziś są nie do przeskoczenia.

Tadeusz Kalinowski



Zwykli ludzie, robotnicy czy urzędnicy, wykupywali mieszkania bez problemu. Przekształcali spółdzielcze mieszkania lokatorskie we własnościowe prawo do lokalu spółdzielczego. Kosztowało to cztery-pięć ówczesnych średnich pensji. I jak to się ma do dzisiejszych cen takich samych lokali? I jeszcze jedno – za te 20 dol. pensji można było przeżyć cały miesiąc i jeszcze odłożyć. A ile się odłoży za dzisiejsze 1 tys. euro średniej pensji, mając kredyt hipoteczny na głowie?

Michał Czarnowski

Luki w raporcie podkomisji Macierewicza

Myślałem, że strona rządowa woli już nie nagłaśniać sprawy podkomisji Antoniego Macierewicza, opozycja zaś to uszanowała. Okazało się, że nie miałem racji. Wazni politycy głoszą, że „udowodniono wybuch”. Tym dowodem mają być ślady materiałów wybuchowych w szczątkach samolotu. Ale ślady takie wykryto również w drugim samolocie Tu-154, który stoi gdzieś na polskim lotnisku, jak więc widać, nie muszą one pochodzić z katastrofy. Aby wykluczyć to, że znalazły się w samolocie prezydenckim już wcześniej, w raporcie podkomisji napisano: „Nie jest możliwe, by ślady materiałów wybuchowych były wynikiem transportu żołnierzy (...), gdyż ich obecność musiała być została wykazana przez kontrole pirotechniczne realizowane

przed każdym lotem VIP”. Otóż takie twierdzenie powinno być poparte opisem, jak wyglądały te kontrole, a jak badanie śladów – czy zastosowano taką samą aparaturę pomiarową i te same procedury. Sugestia, że kontrola pirotechniczna może służyć do wykrywania milionowych części grama materiałów wybuchowych, jest równie absurdalna jak pomysł użycia sitka do herbaty w celu łowienia ryb albo wagi analitycznej w składzie węgla.

Gdyby ktoś chciał solidnie badać sprawę, porównałby występowanie śladów materiałów wybuchowych w obydwu samolotach, rozpatrzył wielkość stężeń w powiązaniu z odległością od przypuszczalnego miejsca wybuchu itp. Notabene w raporcie jest opisany eksperyment wybuchu z konkluzją, że „cząstki materiałów wybuchowych zostały wykryte tylko w bezpośredniej bliskości miejsca wybuchu”.

Na osobne omówienie zasługuje rzekome potwierdzenie przez analizy chemiczne, że „mógł to być ładunek termobaryczny”, oparte na bardzo szczupłym materiale doświadczalnym (analiza kilku próbek pod kątem stosunku zawartości glinu do krzemu). W sumie ocenę tego raportu utrudnia dość niedbala redakcja i brak szeregu istotnych informacji.

*Dr hab. Wojciech Kroszczyński,
emeryt. prof. UPH w Siedlcach*

Cham i Pan wciąż żyją w polskiej duszy?

Pusty śmiech mnie ogrania, gdy patrzę na ten naród, w którym teraz 90% przypisuje sobie pochodzenie od szlachty, choć ich przodkowie przed wojną tylko do kościoła w butach chadzali.

Krzysztof Grabczak



ZDJĘCIE TYGODNIA



Czuj duch! Łacińska dewiza XI Liceum im. Mikołaja Reja w Warszawie jest szczególnie aktualna w tych dniach. Matura z języka polskiego, 4 maja 2023 r.

W Polsce zasoby wody są obecnie **trzy razy mniejsze** niż średnia unijna.

49% nauczycieli ze stażem pracy krótszym niż pięć lat myśli o zmianie zawodu.

Trzeba tupetu **Andrzeja Adamczyka**, od siedmiu i pół roku pisowskiego ministra infrastruktury, by kawałek trasy ekspresowej S7 koło Warszawy otwierał z taką celebrą, jakby nie było ponad dwóch lat opóźnienia i jakby nie zrobiono dwóch węzłów drogowych. Podobnie jest na budowach pod **Ostrowią Mazowiecką**, **Białą Podlaską**, na **wyjazdach z Warszawy** i w wielu innych miejscach, które każdy może wskazać.

Finał Pucharu Polski między **Legią Warszawa** i **Rakowem Częstochowa (1:0)** zakończył się bandycją na paścią piłkarza Legii Filipa Mladenovicia na zawodników Rakowa i pobiciem trzech z nich. Szarpaniny, obelgi i chamstwo trenerów, działaczy i piłkarzy to żalosna wizytówka piłki ligowej.

17 mln Polaków ma już Internetowe Konto Pacjenta, które pozwala otrzymywać e-recepty i e-skierowania, wybrać lekarza itp.

Marta Małecka, współzałożycielka Fundacji Be a Hero, została laureatką **Nagrody im. Marka Edelmana „Za Ratowanie Człowieczeństwa”**.

Drużyna Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego po raz pierwszy wygrała International Physicists' Tournament we Francji.

300 zł trzeba zapłacić za korzystanie z telefonu lub smartfona na przejściach

przez jezdnię. W ubiegłym roku policja ukarała 4112 osób. W tym jest jeszcze gorzej, głupotą wykazało się już 2265 osób. A przecież to tylko czubek tego, co każdy widzi.

Polska jest trzecim w Europie producentem mleka, z **2,035 mln krów mlecznych**. Niemcy mają 3,833 mln krów, a Francja 3,322 mln (dane za 2020 r.).

Gdzie są przebywający w Polsce ukraińscy uczniowie? 56% uczy się nie w polskich szkołach, tylko online w systemie ukraińskim albo nie uczy się w ogóle.

15,1 tys. mieszkańców Warszawy to ludzie, którzy mają **majątek o wartości przekraczającej 1 mln dol.** (4,2 mln zł), 33 warszawiaków ma ponad 100 mln dol., a 3 osoby – ponad 1 mld dol. (raport firmy Henley & Partners).

W Nowym Jorku mieszka najwięcej na świecie milionerów. 737 spośród 345 600 milionerów ma ponad 100 mln dol., a 59 ponad 1 mld.

Średnio **5,6 kg czekolady** zjadał Polak w 2021 r.

Dobrze sobie radzimy z jej eksportem. Jesteśmy na trzecim miejscu w Europie. Najwięksi odbiorcy to Niemcy, Belgia, Francja, Holandia i Czechy.

W Szwecji rośnie **najstarsze drzewo na świecie**. Świerk pospolity o wysokości 5 m ma 9,5 tys. lat.

Ponad **1 mld zł wydały banki w 2022 r.** na reklamy i marketing. Najwięcej Santander (175 mln zł), mBank (149 mln), ING BSK (143 mln) i PKO BP (132 mln).

PRZEBŁYSKI



Nawet klasztor nie pomaga

Co czeka księdza, gdy afer z jego udziałem nie da się ukrywać? Przeniesienie na inną parafię jest coraz trudniejsze. Bo ludzie lubią nagrywać i rozsyłać filmiki z wpadkami swoich pasterzy.

Przed wojną na Ukrainie właśnie tam wysyłano podpadniętych. Skończyło się. Zostały więc klasztory. A wśród nich szczególnie wyróżnia się krakowski klasztor kamedułów. Szału nie ma. Cela z łóżkiem, krzesłem i biurkiem. Białe habity, pobudka o godz. 3.30. Modlitwy sześć razy dziennie. Razem osiem godzin. Codziennie. Do tego klauzula milczenia. Prace fizyczne. I spanko, około godz. 20. W takich warunkach żył w klasztorze kamedułów bp Piotr Libera, były sekretarz nuncjusza Kowalczyka i biskup płocki. Całe sześć miesięcy w 2019 r. I nie pomogło. Watykan wysłał tego 71-latkę na szybszą emeryturę.

Jęczenie biednego celebryty

I jak tu się nie popłakać? Kolejny muzyk celebryta jęczy, że musi przeżyć za najniższą emeryturę. Przez lata nie płaciło się składek na ZUS, choć kasiorka za koncerty była, że ho, ho. A u Krzysztofa Cugowskiego nawet parę razy więcej niż ho, ho. Ale o tym, ile zarobił, Cugowski nigdy nie mówi. Nie wiemy więc, ile powinien zapłacić składek. Mówi za to, że nie da rady wyżyć za 1,7 tys. zł emerytury. I pewnie z tej rozpaczki zapominał o tantiemach. I koncertach. Za które bierze 50 tys. zł. W tym roku było ich już 17.

A w planach do końca czerwca ma jeszcze 12 koncertów. Jakkolwiek liczyć, wychodzi jakieś 1,5 mln zł dodatku do emerytury. No i jak za to wyżyć, panie premierze?



Poczta jak kaplica

Od paru lat wyprawę do placówki Poczty Polskiej trudno odróżnić od wizyty w kaplicy. W każdym miejscu są dewocjonała, książki i obrazy religijne. Brakuje tylko kąpieli i kadzidła. I zaświadczenia od proboszcza. Kolejnym porąbańcom myli się urząd dla ludzi z miejscem kultu religijnego.

Nieudolnym prezesom Poczty Polskiej stawianie tych ołtarzyków pomaga chronić posady. A np. Tomasz Zdzikot, były prezes, wprost z Poczty trafił na tłustą posadę w KGHM. Krzysztof Falkowski, obecny wódz nieszczęsnej firmy, dorzucił jeszcze honorowanie bohaterów narodowych. Mamy więc obok Jana Pawła II, Matki Boskiej i licznych świętych bandytów z tej samej grupy co „Ogień”, „Bury” czy „Łupaszka”. Dla Falkowskiego „poczta jest teraz miejscem wolnym od szerzenia nienawiści” („Nasz Dziennik”).

PRZEGLĄD w Holandii

Nasz PRZEGLĄD krąży po świecie. Współpracownik redakcji trafił do sklepu dla Polonii w miejscowości Lisse, kilkadziesiąt kilometrów od Amsterdamu, i co zobaczył, to nam przysłał. Wyeksponowane ANGORA i PRZEGLĄD. Dziękujemy za zdjęcie.





PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego ze wszystkich miesięcy najbardziej lubiany jest maj?

DR HAB. JACEK WASILEWSKI,
kulturoznawca, UW

Wiadomo, że w marcu jak w garncu, a kwiecień plecień, co przeplata, więc w maju zaczyna się już taka wiosna naprawdę w rozkwicie, co łączy się z czasownikiem maić, czyli dekorować, przystrajać coś. I maj jest takim punktem, w którym porzucamy już zimę, przygotowujemy się do lata, ale nie jest to jeszcze takie lato zmęczone – wszystko dopiero się zaczyna. To moment świeżości, co widać po liściach na drzewach, po ludziach. W sierpniu ludzie są już spoceni od machania sierpem. W lipcu wszystko się klei od lip, jest dużo roboty. Dlatego ta świeżość maja, kiedy jeszcze mamy na wszystko nadzieję i do wszystkiego mamy energię, jest bardzo przyjemna. Znajduje ona wyraz w majówce, która jest przedsmakiem wakacji. Miłość do maja słychać w utworach literackich, np. zmysłowe „To był maj, pachniała Saska Kępa” lub Tuwimowskie „A w maju / Zwykłem jeździć, szanowni panowie, / Na przedniej platformie tramwaju!”. Tramwaje były wtedy otwarte, a pęd powietrza odnosi się do rozpędzania się i miejskiego szaleństwa. To wszystko daje nam połączenie doświadczania przyrody, zmysłowości i nadziei.

TOMASZ SULIMA,
antropolog kulturowy, publicysta

Maj to przede wszystkim budząca się do życia przyroda. Widać zmiany, które nie uwydatniają się jeszcze tak bardzo

w kwietniu. Dodatkowo to moment wyjścia na zewnątrz, przebywania z ludźmi, pierwszego grilla, który można uznać za symboliczne zakończenie okresu zimowego – koniec chowania się w zakamarkach naszych domów. W Polsce, gdzie słońca nie jest zbyt dużo, ogarniające wszystkich ciepło daje pewien efekt świeżości. Odnosimy wrażenie, że właśnie w maju wszystko błyskawicznie budzi się do życia. To też czas, kiedy wiosna bardzo szybko przechodzi w lato. To może sprawiać, że maj jest ulubionym miesiącem.

KATARZYNA BANASIAK-MARSAŁEK,
edukatorka seksualna, koordynatorka Grupy Ponton

W maju po długich zimowych miesiącach wychodzimy wreszcie ze swoich mieszkań i zaczynamy spotykać się z ludźmi. Piękna pogoda i coraz dłuższe dni sprzyjają nie tylko spotkaniom towarzyskim, ale i nawiązywaniu nowych znajomości, często relacji romantycznych. To wszystko sprzyja kontaktom seksualnym. Maj jest też porą, gdy młodzi ludzie piszą matury, co wiąże się dla nich z dużym stresem. Natomiast po egzaminach przychodzi czas na świętowanie i regenerowanie się po miesiącach skupienia i nauki. To okres dłuższych wakacji, festiwali muzycznych i wyjazdów, często pierwszych eskapad bez rodziców, a także eksplorowania życia seksualnego.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Zabójczy internet

Co z tym zrobić?

Cały świat ma dziś problem z higieną życia cyfrowego. Dotyczy to wszystkich grup wiekowych. W przeciwieństwie do Polski Zachód zaczął szukać rozwiązań

Kornel Wawrzyniak

– Boże, pomocy! Błagam! – 12-letnia dziewczynka krzyczy na pokładzie samolotu. Maszyna jeszcze nie wystartowała. – Pomocy, o Boże! – nastolatka trzęsie się i wyrывa, matka nie może jej utrzymać. Wszyscy, zarówno pasażerowie, jak i załoga samolotu, myślą, że dziecko boi się latać. Histeria z każdą chwilą się nasila, dziewczynka kopie w fotele, tarza się w przejściu, zaczyna wyzywać pasażerów. Wygląda to jak kolejna część

samobójstw i śmierci, podsuwane przez szkodliwe algorytmy, trafiają już nawet do dziewięciolatków. Powiedzmy wprost – życie pokazuje, że internet i media społecznościowe zabijają dzieci.

W 2021 r. na platformie TikTok popularny był tzw. Blackout Challenge, czyli wyzwanie polegające na tym, że kolejni użytkownicy podduszali się aż do omdlenia i nagrywali z tego relacje. Szybko zebrało to śmiertelne żniwo – w Stanach Zjednoczonych zginęły dwie dziewczynki, ośmioletnia Lalani z Teksasu i dziewięcioletnia

i założyli na TikToku konta, które udawały profile 13-latków. Część tych kont miała dodatkowo symulować osoby o większej wrażliwości na treści niebezpieczne. Wyniki były zatrważające. W ciągu 30 minut konta „wrażliwe” dostawały sugestie treści już nie tylko odnoszących się do zaburzeń odżywiania, ale również nakłaniających do samookaleczeń, a nawet samobójstwa. Według ekspertów z CCDH filmy na temat zaburzeń odżywiania mają na TikToku aż 59 mln wyświetleń. A podtykanie ekstremalnych treści nie jest przypadkowe, lecz wynika z budowy algorytmu, którym posługuje się aplikacja. W wyniku samego Blackout Challenge zginęło siedmioro dzieci.

Ciągłe bycie online szkodzi wszystkim, niezależnie od wieku.

„Egzorcysty”. Nagle oprócz wołań o pomoc słychać wrzask: – Oddaj mi go!!! Matka odpowiada, że są na pokładzie samolotu i nie może podać jej torebki, w której... jest smartfon nastolatki.

Wyzwanie aż do śmierci

Uzależnienie od urządzeń elektronicznych jest tylko jednym z problemów związanych z funkcjonowaniem dzieci i nastolatków w rzeczywistości cyfrowej. Kolejne kraje wprowadzają obostrzenia dotyczące korzystania z mediów społecznościowych przez najmłodszych lub pracują nad podobnymi przepisami, ponieważ niebezpieczne treści, m.in. na temat

Arriani z Milwaukee. Zrozpaczeni rodzice podkreślali w pozwach przeciwko platformie, że obydwie miały objawy uzależnienia od aplikacji. Permanentnie wrzucały swoje nagrania. Jedna twierdziła, że chce zostać influencerką, więc udział w wyzwaniu jawił się jej jako szansa na zaistnienie w sieci.

Warto jednak podkreślić, że teoretycznie TikTok nie pozwala korzystać z platformy, jeśli nie ma się ukończonych 13 lat. Tylko co z tego? Badacze z amerykańskiej organizacji Center for Countering Digital Hate (CCDH, Centrum Zwalczania Nienawiści w Sieci) chcieli sprawdzić, z jakimi treściami mają styczność najmłodsi użytkownicy aplikacji,

Strach przed odłączeniem

Ciągłe bycie online szkodzi wszystkim, niezależnie od wieku. Dziewczynka z samolotu, która bała się zostać bez telefonu, cierpi na FOMO, czyli lęk przed wypadnięciem z obiegu (ang. *Fear of missing out*). To obawa związana z życiem w sieci, ciągły strach, że użytkownikowi umknie coś istotnego, gdy nie będzie online. Problem ten dotyczy bardzo dużej liczby polskich internautów. Według raportu „FOMO 2019 – lęk przed odłączeniem” już 14% polskich użytkowników sieci ma wysoki poziom FOMO, a kolejne 67% doświadcza go w średnim



W internecie czeka na dzieci przede wszystkim przemoc.

nasileniu. W grupie wiekowej 15-19 lat wysokiego i średniego poziomu FOMO doświadcza aż 94% osób. To realne zagrożenie – zjawisko to często wiązane jest przez badaczy z uzależnieniem od internetu lub social mediów.

Strach przed przegapieniem czegoś ważnego łączy się z dwoma niepokojącymi trendami wśród młodzieży. Po pierwsze, z zazdrości, że nie mają tak fascynującego życia, jakie przedstawiają im zakłamanie przekazy mediów społecznościowych, młodzi ludzie są skłonni do podejmowania zachowań ryzykownych (zagrożających życiu i zdrowiu), aby wyjść na przebojowych. Po drugie, według raportu „Młode Głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym” Fundacji UNAWEZA założonej przez Martynę Wojciechowską prawie co trzeci badany uczeń przyznał, że jego aktywność w przestrzeni cyfrowej jest niezgodna z tym, kim jest on w rzeczywistości. Nastolatki udają kogoś, kim nie są, i chwala się zmyślnym życiem.

Media społecznościowe są również źródłem ogromnych kompleksów. Część młodych użytkowników sieci nie rozumie, że internetowe gwiazdki, nawet gdy opowiadają o swoim prywatnym życiu, działają według wykalkulowanego pod publikę scenariusza, nie wspominając już o zakłamujących rzeczywistość filtrach i retuszowaniu zdjęć.

W artykule portalu Inverse „Selfie – życie w erze filtrów” trzech chirurgów plastycznych zauważa, że wraz ze wzrostem popularności filtrów na Instagramie zwiększyła się liczba osób chcących poddać się operacjom upiększającym.

Najgorsze jest to, że w sieci nie brakuje idiotów, a nad publikowanymi przez nich treściami nie ma

Media społecznościowe są źródłem ogromnych kompleksów.

We Francji, która właśnie pracuje nad ustawą ograniczającą dzieciom dostęp do mediów społecznościowych (osoby do 15. roku życia będą musiały mieć zgodę rodziców na założenie konta), rządzący powołują się na dokumenty wewnętrzne korporacji Meta, do której należą Facebook i Instagram. Wynika z nich, że 32% nastolatek, które mają kompleksy związane ze swoim wyglądem, czuje się jeszcze gorzej, gdy wchodzi na Instagram.

żadnej kontroli. Niedawno internet obiegło kolejne „sensacyjne” doniesienie: tiktokerka Fiore Ciminello poddała się operacji nosa, twierdząc, że robi to, aby jej dzieci urodziły się ładne. Argentynkę wyśmiano, potem próbowała obrócić sprawę w żart, jednak przekaz pozostaje ten sam – w mediach społecznościowych promuje się niedościgniony ideał piękna, który w połączeniu z głupotą ma fatalny wpływ na najmłodszych. Co pokazują m.in. wyniki badania ▶

► „Młode Głowy”. Respondenci, a są wśród nich dzieci w wieku szkolnym, wskazują, jakich zachowań autodestrukcyjnych najczęściej się dopuszczają. Młodzi objadają się lub głodzą (43,3%), ćwiczą ponad własne siły (34,2%), regularnie się odchudzają (32,8%) i samookaleczają (16%).

Hejt nasz powszedni

W internecie czeka na dzieci przede wszystkim przemoc. Zdaniem psycholożki dr Marty Melki-Roszczyk jednym z zagrożeń, które czyhają na internautów, jest *cyberbullying*, czyli celowe, powtarzalne i nieprovokowane agresywne zachowanie pojedynczego prześladowcy lub grupy sprawców wobec ofiary, które długofalowo może prowadzić do okaleczania się lub targnięcia na własne życie.

W sieci nie brakuje idiotów, a nad publikowanymi przez nich treściami nie ma żadnej kontroli.

Joanna Włodarczyk z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę w raporcie o zagrożeniach bezpieczeństwa i rozwoju dzieci w Polsce pokazuje, że w przestrzeni cyfrowej młodzi są stale narażeni na hejt. Określane tym zapożyczonym z języka angielskiego terminem zjawisko krzywdzenia emocjonalnego przybiera różne formy, takie jak ograniczanie swobodnego poruszania się, upokarzanie, oczernianie, straszenie, dyskryminowanie czy wyśmiewanie. Z danych Fundacji UNAWEZA wynika, że prawie dwie trzecie uczniów klas I-VIII uważa, że doświadczyło w ciągu ostatniego roku hejtu. Co gorsza, z tą formą przemocy stykają się głównie uczniowie szkół podstawowych.

Najczęściej hejterem jest osoba nieznaną ofierze. Na drugim miejscu w roli oprawców są jednak koleżanki i koledzy z klasy. Popularne powody hejtu to wygląd fizyczny, cechy charakteru i prezentowane poglądy. Niestety, zjawisko jest coraz powszechniejsze. Od kilku lat media donoszą o kolejnych samobójstwach nastolatków, popełnianych pod wpływem

komentarzy w sieci. Echem odbiło się samobójstwo dziecięcej modelki Amy „Dolly” Everett z Australii. Jej ojciec zaprosił hejterów na pogrzeb córki. „Jeśli jedna z tych osób, które nieustannie dokuczały mojej córce, czyta ten post, to mam apel. Niech taka osoba przyjdzie na pogrzeb i na własne oczy przekona się, jak wielkie jest zło, które uczyniła”, pisał w internecie mężczyzna.

Cybersamobójstwo

Psychiatra dr Erick Messias w raporcie „Smutek, samobójstwo i ich związek z grami wideo oraz nadużywaniem internetu wśród nastolatków” pokazuje, że młodzież spędzając przed komputerem więcej niż pięć godzin dziennie potwierdza odczuwanie stanów depresyjnych, przyznaje się także do myśli i prób

internetu w wieku od 18 do 24 lat najchętniej korzysta właśnie z chińskiej platformy społecznościowej zamiast z wyszukiwarki internetowej.

Jak na ironię w sieci dostępnych jest wiele witryn i forów promujących zachowania samobójcze jako najlepsze rozwiązanie, gdy przeżywa się kryzys. Specjaliści ukuli więc dla tego zjawiska termin cybersamobójstwo, określający targnięcie się na własne życie pod wpływem internetowego przekazu. Udowodniono, że dużo łatwiej trafić w sieci na przekaz promujący samobójstwo niż pomagający wyjść z kryzysu. Psycholożka dr Lucy Biddle z Uniwersytetu w Bristolu przeprowadziła wraz ze swoim zespołem analizę ponad 240 stron internetowych dotyczących samobójstwa. Połowa tych witryn jawnie zachęcała do zabicia się. Jedynie 13% przeglądanych stron było poświęconych przeciwdziałaniu lub zniechęcało do odebrania sobie życia. W rozmowie z naszym tygodnikiem psycholog Tomasz Witkowski podkreślał, że media społecznościowe i nagłaśnianie kolejnych samobójstw oraz ich przyczyn, zamiast pomagać w profilaktyce, mogą wpływać na zwiększenie ich liczby.

Tymczasem według raportu z 2022 r. przygotowanego przez serwis pomocowy Życie Warto Jest Rozmowy rośnie z roku na rok liczba prób samobójczych nastolatków. Potwierdzają to dane zebrane przez Komendę Główną Policji. W 2021 r. odnotowano gwałtowny wzrost liczby prób samobójczych wśród osób przed 18. rokiem życia – 1496 (o 77% więcej niż w 2020 r.), z czego aż 127 zakończyło się zgonem (więcej o 19%). W badaniach Fundacji UNAWEZA zapytano uczniów, czy kiedykolwiek myśleli o samobójstwie. Prawie 50% respondentów ze szkół ponadpodstawowych i 31% ze szkół podstawowych potwierdziło. Ponad 25% wszystkich uczniów przynajmniej raz mówiło o samobójstwie.

Inne alarmujące odpowiedzi udzielone w tej ankiecie? Tylko co 20. uczeń skorzystałby z pomocy szkolnego psychologa, 26,5% respondentów starałoby się w chwilach trudnych rozwiązać problemy

samobójczych. W internecie zdarza się też popełnianie samobójstwa na żywo. Głośny był przypadek z 2008 r., 19-latką Abrahama Biggsa z Florydy. Chłopak ogłosił w sieci, że popełni samobójstwo. Przedawkował leki podczas transmisji przed kamerką internetową, a widzowie jeszcze go podjudzali. W lutym 2019 r. 19-letni Brazylijczyk relacjonował na TikToku, jak odbiera sobie życie. Samobójstwo zapowiedział na swoim koncercie dzień wcześniej. Obejrzało je na żywo prawie 300 osób. Prawie 500 zostawiło komentarz. Jedynie 15 zawiadomiło portal o sytuacji, a sama platforma usunęła nagranie dopiero po 90 minutach, policję zaś wezwała po trzech godzinach.

Specjaliści od zdrowia psychicznego wskazują, że dziś internet jest głównym źródłem wiedzy i pomocy dla osób w kryzysie psychicznym, w tym myślących o samobójstwie. Generacja Z, a więc ludzie urodzeni między 1996 a 2015 r., wiedzę o świecie czerpie z YouTube’a, Facebooka, Instagrama, a przede wszystkim z TikToka. Aż 40% użytkowników



Uzależnienie od urządzeń elektronicznych jest tylko jednym z wielu objawów funkcjonowania dzieci i nastolatków w rzeczywistości cyfrowej.

we własnym zakresie. W raporcie „Młode Głowy” czytamy: „Warto zwrócić uwagę na fakt, iż spośród wszystkich uczestników badania dwóch na trzech uczniów (68,5%) przyznało, że nigdy nie korzystało ze wsparcia psychologa w szkole i poza nią”.

Zaledwie 22% osób w wieku szkolnym, które są w kryzysie psychicznym, korzysta lub korzystało

psychologów (6,4%) lub uważają, że spotkanie ze specjalistą nic nie zmieni (8,1%).

Gdzie jest profilaktyka?

Gdy w prywatnej rozmowie wspominałem, nad jakim materiałem pracuję, znajoma nauczycielka podniosła jeden z najważniejszych, o ile nie najistotniejszy problem w sprawie

gov.pl pojawiły się wyniki raportu „Zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży” przygotowanego przez Radę Dzieci i Młodzieży RP. Wnioski są oczywiste nawet dla resortu prowadzonego przez ministra Czarnka. Wiceminister Marzena Machatek stwierdziła: – Jest duży skok cywilizacyjny, jest duże zaburzenie relacji wynikające z rozwoju świata cyfrowego, jest też inny paradygmat wychowania rodziców, ale też inne są wzorce i inny dostęp do komunikacji.

Na dobrą sprawę z tego zdania nie wynika nic oprócz przemyczonej sugestii, że przez progresywne poglądy rodziców dzieci mają się gorzej niż kiedyś, gdy w rodzinach panował wyłącznie patriarchalny porządek.

W praktyce można liczyć jedynie na klepanie się po plecach za trafne rekomendacje: – Cieszę się, że młodzi ludzie zaangażowali się w tak ważny problem, jakim jest kondycja psychiczna swoich rówieśników, a także młodszych dzieci. Raport jest bardzo profesjonalny. Wnioski ▶

Włochy, Francja, Hiszpania, Portugalia, Chiny i Grecja wprowadziły całkowity zakaz korzystania ze smartfonów w szkołach.

ze specjalistycznej pomocy. W decyzji o wybraniu się do szkolnego psychologa nie pomaga też fakt, na który zwraca uwagę Fundacja Dbam o Mój Zasięg. Co trzeci pytany przez badaczy uczeń twierdził, że został wysłany do psychologa szkolnego „za karę”. Młodzi nie ufają szkolnym psychologom – w badaniu fundacji prowadzonej przez Martynę Wojciechowską dzieci deklarują, że nie wierzą w dochowanie tajemnicy przez

edukacji i internetu: – Zadaj sobie pytanie, gdzie w polskiej szkole jest jakakolwiek profilaktyka związana z obecnością uczniów w sieci.

Takie ujęcie sprawy przez osobę, która na co dzień pracuje z uczniami, jest znamienne. W rozsypce jest również radzenie sobie z kruchym zdrowiem psychicznym uczniów. Nikt nie zajmuje się w polskiej szkole zapobieganiem omawianym powyżej zjawiskom. Na stronie www.

► płynące z tego raportu są zbieżne z tymi wnioskami, które płyną z różnych organizacji społecznych – podkreśliła Machałek. – Bardzo dziękuję, że w taki mądry i rozsądny sposób przedstawiliście, jak należy działać.

Innymi słowy, myśmy to wszystko już wiedzieli, ale brawo, dzieci! Sama koncepcja, że nastolatki muszą się zajmować zdrowiem psychicznym rówieśników, wskazuje na kompletne nieprzygotowanie państwa zarówno w materii wychowawczej, jak i w organizacji ochrony zdrowia.

Francja zapowiada wprowadzenie progu zakładania kont w mediach społecznościowych od 15. roku życia.

MEN zarządziło po zapoznaniu się z tym raportem, w którym napisano m.in. o potrzebie edukacji społecznej i promowania zdrowia psychicznego, że od 1 września 2022 r. zostanie zwiększona liczba nauczycieli specjalistów, pedagogów czy pedagogów specjalnych w szkołach. Na pierwszy etap tego wzmoczonego zatrudniania, nazwanego standaryzacją zatrudnienia nauczycieli, miała zostać przeznaczona kwota 520 mln zł. W 2023 r. ma to być ok. 1,87 mld zł, a w 2024 r. niemal 2,7 mld zł. Świetnie, tylko co dalej?

Sytuacja jest naprawdę dramatyczna, nie mamy zaś programów związanych ani z psychoedukacją, ani tym bardziej z cyberbezpieczeństwem. Nauczycielka pracująca w jednej z poznańskich podstawówek referuje: – Trudno mi mówić ze względów emocjonalnych o problemie samobójstw wśród uczniów, ale zmagam się z nim prawie codziennie. Tych uczniów widać – w zeszłym tygodniu jeden z dzieciaków próbował powiesić się na sznurkach od worka na obuwie w szkolnej szatni. Po cichu, w trakcie lekcji, tak aby nikt mu nie przeszkodził.

Codziennie stykanie się z depresją i próbami samobójczymi nie powinno być typowymi warunkami pracy nauczycieli, a stało się niestety smutną normą. Warto więc przypomnieć, jak państwo „wysoko ceni” pracę edukatorów. Według portalu

strefaedukacji.pl w zeszłym roku nauczyciel początkujący dostawał 3424 zł brutto, 3597 zł zarabiał nauczyciel mianowany, a dyplomowany 4553 zł. To oznacza, że ten pierwszy na rękę zarabiał tylko 2780 zł.

Co robić?

Cały świat ma dziś problem z higieną życia cyfrowego. Dotyczy to wszystkich grup wiekowych. W przeciwieństwie do Polski Zachód zaczął szukać rozwiązań, aby uchronić najmłodszych przed szko-

dliwością internetu. Wydział Edukacji Uniwersytetu Harvarda wskazuje, że uczniowie korzystający ze smartfonów na lekcjach mają gorsze wyniki w nauce. Telefony wpływają też fatalnie na relacje społeczne i koncentrację. We Włoszech, we Francji, w Hiszpanii, w Portugalii, w Chinach i w Grecji wprowadzono już całkowity zakaz korzystania ze smartfonów w szkołach. W ojczyźnie Sokratesa nawet nauczyciele nie mogą używać telefonów na lekcjach. W coraz większej liczbie

W 2019 r. chińskie władze ograniczyły dzieciom czas grania online do 90 minut dziennie w dni robocze. W 2021 r. zredukowały go do trzech godzin w tygodniu, a specjalny system rozpoznawania twarzy wprowadzony przez firmę Tencent ma zapobiegać graniu przez nieletnich po godz. 22.

W Polsce dobre rozwiązania wskazuje Fundacja Dbam o Mój Zasięg, która w ostatnich latach przeprowadziła badania pod sztandarem projektu Szkoła Odpowiedzialna Cyfrowo. Fundacja proponuje siedem obszarów odpowiedzialnej cyfrowo szkoły. Są to: dostęp do aktualnej i rzetelnej wiedzy o nowych technologiach i problemach wynikających z ich nadużywania; kreatywne i bezpieczne włączenie technologii informacyjno-komunikacyjnych w proces edukacji; podejmowanie działań w zakresie profilaktyki e-uzależnień oraz działań edukacyjnych zmierzających do redukcji szkód wynikających z korzystania z zasobów sieci; wspólne wypracowanie i wdrażanie zasad używania zasobów sieci na terenie szkoły; tworzenie kultury świadomego bycia poza siecią; nauka kompetencji przyszłości; realizacja projektów odpowiedzialnych społecznie.

Dania, Szwecja i Wielka Brytania ustawiły próg na 13 lat. Ale egzekwowanie tych przepisów to już inna historia.

krajów nieletni do określonego prawem wieku nie mogą zakładać kont w mediach społecznościowych bez zgody rodziców. Francja zapowiada wprowadzenie progu 15 lat. Hiszpania wymaga zgody do 14. roku życia. Dania, Szwecja i Wielka Brytania ustawiły próg na 13 lat. Niestety, egzekwowanie tych przepisów to już inna historia – wystarczy podać inną datę urodzenia, zakładając konto, albo kliknąć: „Tak, mam 18 lat”.

Co może wydać się kontrowersyjne, dziś jedynie Chiny skutecznie poradziły sobie z ograniczeniem czasu spędzanego przed ekranem przez osoby niepełnoletnie.

Wszystko to rozsądne propozycje, które na dobrą sprawę zmieściłyby się jako tematy kolejnych lekcji w szkolnym przedmiocie dotyczącym cyberbezpieczeństwa i nowych technologii. Zamiast tego w programie nauczania mamy dwie godziny religii tygodniowo, a minister edukacji pyta robota podłączonego do zaawansowanej sztucznej inteligencji, czy przywrócić nauczanie łaciny. Zaiste są to kompetencje odpowiadające na wyzwania, jakie współczesność stawia dorastającym uczniom.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Koza a sprawa polska

Straszenie Polaków Unią Europejską jest ulubionym zajęciem polskiej prawicy. Na kongresie Solidarnej Polski, która właśnie przepoczwarzyła się w Suwerenną Polskę, pobite zostały jednak wszystkie dotychczasowe rekordy w antyeuropejskich popisach polityków Zjednoczonej Prawicy. Kto miał okazję (i cierpliwość) to oglądać, musiał dojść do wniosku, że na tle Konfederacji i Solidarnej (od teraz Suwerennej) Polski nawet Jarosław Kaczyński, już nie mówiąc o Mateuszu Morawieckim, i reszta pisowców zaczynają nam się jawić prawie jako euroentuzjaści. Czy to zabieg Ziobry, który chce przejąć najbardziej antyeuropejską część prawicowego elektoratu, czy manewr „genialnego stratega” Jarosława Kaczyńskiego, który chce powtórzyć z Ziobrą efekt kozy, trudno dziś odgadnąć.

Być może jeszcze ktoś z państwa nie wie, na czym polega efekt kozy. Otóż dawno, dawno temu, w miłującej Żydów Polsce, biedny Żyd przyszedł do rabina po radę i pomoc. „Rebe, co mam zrobić? Mam jedną izbę, w której nie dość, że mieści się mój warsztat krawiecki, to mieszkam tam z moją żoną Sarą, jej matką Lubą i sześciorgiem dzieci. Rebe, ja już dłużej tak nie wytrzymam!”. Rabin wysłuchał biednego Żyda, zamyślił się, wznosił oczy do nieba i rzekł: „Icek, ty weź jeszcze do domu kozę”. „Ależ rebe! Ja, mój warsztat, żona Sara, teściowa Luba, sześcioro dzieci i jeszcze koza? Wszystko w jednej izbie?”, zdziwił się biedny Żyd. Rabin popatrzył na niego dobrotliwie i powtórzył: „Ja ci mówię, Icek, ty weź jeszcze kozę!”.

Biedny Żyd, nie bardzo przekonany, ale posłuszny rabinowi, kupił kozę i wprowadził ją do swojej izby. Minęło trochę czasu i zdesperowany wrócił do rabina: „Rebe, ja już jestem bliski szaleństwa, w jednej małej izbie ja, mój warsztat, moja żona Sara i teściowa Luba, sześcioro dzieci i jeszcze ta koza! Rebe, ja oszaleję, ciasno, duszno, dłużej tak nie wytrzymam! Co robić?”. Rabin popatrzył na biednego Żyda, pomilczał, spojrzał w niebo i rzekł natchnionym głosem: „Icek, ty sprzedaj kozę!”. Icek posłuchał i wkrótce przybiegł uszczęśliwiony: „Ach, rebe, dziękuję! Jaka to ulga!”.

Nie wykluczam, że w roli kozy rabin prawicy Kaczyński obsadził Ziobrę. Przed samymi wyborami, gdy w głosowaniach sejmowych nie będzie mu już Ziobro z jego kompanami do niczego potrzebny, pozbędzie się ich, wyrzuci z koalicji, odetnie od ich antyeuropejskości, wypomni i potępi zniszczenie wymiaru sprawiedliwości, nie weźmie na swoje listy, a elektorat PiS, zarówno ten

obecny, jak i potencjalny, bardziej umiarkowany, tak jak biedny Żyd po pozbyciu się kozy poczuje ulgę. Po czym ukojony i z czystym sumieniem w jesiennych wyborach zagłosuje na PiS. Może Kaczyński liczy na to, że przez odejście krzykliwie antyeuropejskiego Ziobry straci mniej wyborców, niż zyska nowych, dotąd wahających się, których antyeuropejska polityka, a jeszcze bardziej retoryka, powstrzymywała przed głosowaniem na PiS.

Możliwe też, że Ziobro i jego Solidarno-Suwerenna Polska – poza Sejmem, w którym dzisiaj dla rządzących każdy głos się liczy, niemający żadnego znaczenia i z minimalnymi szansami na przekroczenie progu wyborczego w nadchodzących wyborach, gdyby musieli startować oddzielnie – wykonują jakiś dramatyczny „rzut na taśmę”. Chcą się odróżnić od PiS, odebrać trochę elektoratu Konfederacji, trochę PiS i przez ten magiczny próg 5% przepełznąć. A gdy sondaże dadzą im na to nadzieję, z lepszej pozycji negocjować z Kaczyńskim wspólny start. Stąd te

Nie wykluczam, że w roli kozy rabin prawicy Kaczyński obsadził Ziobrę.

demagogiczne, dramatyczno-histeryczne, antyunijne wystąpienia na konwencji. O ich poziomie merytorycznym, intelektualnym nawet nie wspominał. Ziobro i jego partyjka teraz niejako ex definitione bronią samodzielnie suwerenności Polski, w opozycji do całej reszty polskiej sceny politycznej, z rządem Morawieckiego włącznie. Całej tej reszty, która z rządem PiS na czele suwerenności ojczyzny nie broni, co więcej, gotowa jest ją sprzedać za judaszowe miliardy z Brukseli.

Podziwiam trud akredytowanych w Warszawie ambasadorów, którzy muszą swoim rządowi wyjaśnić ten polski fenomen: na czele najbardziej opozycyjnych partii znajduje się teraz koalicjant PiS, partia Ziobry, a do najsurowszych krytyków premiera Morawieckiego dołączył minister sprawiedliwości w jego rządzie. A mimo to rząd i koalicja trwają.

Możliwe też, że Ziobro gra swoją grę lub, ściślej, myśli, że gra, Kaczyński mu nie przeszkadza, bo w sumie jest mu to na rękę. Efekt kozy murowany. Kaczyński, zdaje się, to wie, Ziobro niekoniecznie.

A wyborcy?

Życie non stop na petardzie

Dzielę politykę na parlamentarną i samorządową.
I wolę samorządową



GRZEGORZ PIETRUCZUK

– burmistrz dzielnicy Bielany w Warszawie

Rozmawia Robert Walenciak

Bielany to dzielnica w Warszawie inna niż pozostałe. Tu kart nie rozdaje PO czy PiS, ale lokalny komitet Razem dla Bielany.

– Na kandydatów Stowarzyszenia Razem dla Bielany oddało głos prawie 22 tys. mieszkańców. To jeden z najlepszych wyników w historii samorządu warszawskiego, jeśli chodzi o komitet lokalny na szczeblu dzielnicowym. Mijamy świadomość, Warszawa jest miastem patrzącym na życie publiczne przez pryzmat wojny PO-PiS. Tu wyrwanie partiom politycznym każdego głosu liczy się podwójnie.

I wyrwaliście.

– Mieszkańcy zauważyli, że ludzie z lokalnych komitetów są bardziej zaangażowani w życie dzielnicy. To jest główna różnica między samorządowcem z lokalnego komitetu a politykiem z dużej partii. My odpowiadamy przed mieszkańcami. Innych szefów nie mamy. A ci z dużych partii mają.

W wielkich partiach kariera zależy od szefa. Najważniejsze jest więc wyrabianie sobie pozycji w partii. W lokalnych komitetach sytuacja jest inna.

– A skąd się wzięła karuzela burmistrzów w Warszawie? Dlaczego byli przerzucani z dzielnicy do dzielnicy? Nie pochwalam tego. Zanim

nowy burmistrz pozna swoją dzielnicę, muszą minąć lata. A ja na Bielanych się urodziłem, wychowałem, mieszkam. Mam tu sąsiadów, przyjaciół, jeszcze z czasów przedszkola, wiem, czym ludzie żyją, bardzo szybko o wszystkim się dowiaduję. Mamy też świetnych radnych, którzy są stąd. Reprezentują różne środowiska, mają różne poglądy polityczne. A czasami w ogóle ich nie mają, bo uważają, że ta polityka, którą widzą w telewizji, jest teatrem, polega na awanturze, a to ich odpycha.

Format komitetu lokalnego najbardziej im odpowiada?

– Mieliśmy już różne podejścia pod naszych radnych, próbowano nam rozbijać klub, kaperować

ludzi... Nikt nie dał się kupić. Jesteśmy razem.

Codziennie pan ogląda swoją dzielnicę?

– Tu mieszkam. Wstaję bardzo wcześnie, bo rano trenuję, pływam albo biegam. Biegam w grupie, czasami się zatrzymujemy, ktoś podejdzie, coś powie... Czasami z takich rozmów wychodzą ważne rzeczy. Dzielnica Bielany to jest duże miasto, 136 tys. osób zameldowanych, 175 tys. mieszkających. Mój dzień pracy kończy się często o godz. 22-23, bo są wydarzenia kulturalne, sportowe, społeczne...

A w weekend?

– W weekend, latem, zdarza mi się być nawet na kilkunastu wydarzeniach jednego dnia. Ale to nie jest kłopot, bardzo lubię być z ludźmi.

Zielone Bielany

Idąc do pana, przeczytałem, że wielkie oburzenie mieszkańców jednego z osiedli wywołało wycięcie pięciu drzew pod budowę parkingu. Banalna sprawa.

– Rzeczywiście, zostało wyciętych pięć drzew i to zabolalo mieszkańców. Więc to nie banalne wydarzenie, tylko duży błąd. A jeżeli był błąd, to trzeba przeprosić mieszkańców i spróbować go naprawić. Udało nam się wynegocjować z deweloperem, że nasadzi 10 nowych drzew, wybuduje na swój koszt nowy chodnik, którego mieszkańcy potrzebują, a my jako dzielnica dołożymy

tym, czy będzie jedna lista opozycji, czy nie. Dbamy o zielen i udało się nam bardzo dużo osiągnąć. Odkupiliśmy 9 ha lasu Dęby Młocińskie, ocaliliśmy przed zabudową park Olszyna, on będzie dla mieszkańców, tam już nigdy nie powstanie żadne osiedle. Podjęliśmy dziesiątki różnych działań, żeby dzielnica nie była plombowana.

My odpowiadamy przed mieszkańcami. Innych szefów nie mamy. A ci z dużych partii mają.

Nie lubi pan przymiarek deweloperów do wstawiania budynków między blokami?

– Bardzo nie lubię. Budowę naszej dzielnicy zaczęto przed wojną, potem, w latach 50., 60. i 70., miała miejsce jej rozbudowa. Głównymi architektami byli państwo Maria i Kazimierz Piechotkowie, oni mieli wizję Bieleń.

Do końca życia mieszkali na osiedlu, które zaprojektowali.

– Piechotkowie mieli pomysł na osiedla mieszkaniowe. One są przestrzenne, mają zielen, place zabaw, infrastrukturę oświatową. Są ciągi wolne od zabudowy, które przewietrzają dzielnicę, może wpływać do nas powietrze z Puszczy Kampinoskiej. W III RP z tego się śmiano, najważniejsi byli deweloperzy, zresztą wciąż mają ogromne prawa. Efekt tego ośmieszania, ustępowania deweloperom jest taki, że zabudowa

Chcecie uniknąć dogęszczania?

– Oficjalnie to mówimy. Tam, gdzie jest możliwe, przyjmujemy plany miejscowe, chroniące zielen. Tak uchroniliśmy przed zabudową skwer na Frygijskiej. Ta działka miała być sprzedana i zabudowana. Między pięcioma blokami miał stanąć szósty. Dziesięciopiętrowy. Pomysł z piekła rodem. Udało się to zabloko-

wać i po pięciu latach walki dopięliśmy swego. Zbudowaliśmy tam plac zabaw, ze strefą rekreacji dla seniorów i z dużą ilością zieleni. Na innym osiedlu był pomysł, żeby sprzedać działkę miejską. Ale moi radni zaprotestowali – absolutnie nie! Potrzebny jest żłobek! Udało się, na działce powstał jednopiętrowy żłobek, żadne drzewo nie zostało wycięte. 150 dzieci znalazło tam miejsce.

Po co nam dobre szkoły

To rozwiązuje problem kolejek?

– Mocno nam skracą kolejkę do żłobków. A gdyby nie było systemu miejskiego, my jako Bielany w ogóle nie mielibyśmy kolejek do żłobków. Ale system jest miejski i przysłała nam dzieci z innych dzielnic. Jest, jak jest, więc mogę tylko powtarzać, że trzeba budować żłobki, bo to powinno zachęcić młodych ludzi do bycia rodzicami. Trzeba mówić wprost, że demografia jest fatalna. I w Polsce, i w Warszawie, i w naszej dzielnicy. Widzimy, że jest mniej chętnych do przedszkoli, do szkół. Przyjęliśmy 1,2 tys. ukraińskich dzieci i nie mamy problemu z miejscami. Przyjmujemy dzieci z okolicznych miejscowości. A poziom oświaty na Bieleńach jest na tyle wysoki, że wszyscy chętnie tu dzieci przysyłają. Pomagamy szkołom, odpowiadamy za ich rozbudowę, za infrastrukturę. Remontujemy je! Bardzo mi zależy, żeby poziom oświaty był coraz wyższy.

Skąd to postanowienie?

– Dzieci pochodzą z różnych rodzin. Bardziej lub mniej zasobnych, z różnym kapitałem kulturowym. ▶

Dzielnica Bielany to jest duże miasto, 136 tys. osób zameldowanych, 175 tys. mieszkających.

z naszych nasadzeń zastępczych dodatkowe duże drzewa. Zmieniamy też system nadzoru nad kwestiami ochrony środowiska, podjąłem decyzję o przesunięciu spraw zieleni drogowej z Wydziału Infrastruktury do Wydziału Ochrony Środowiska. W przyszłości wycinka drzew pod budowę parkingu nas nie zaskoczy.

Tyle ambarasu z powodu pięciu drzew?

– Im bliżej jest się ludzi, tym bardziej żyje się ich problemami. Nie

w naszych miastach jest chaotyczna, nie pasuje do siebie, potrzeby mieszkańców są na dalekim planie. Mechanizm jest prosty: deweloper stawia budynek, zarabia na nim i znika. A problemy zostają. Bo jest ciasniej, wycięto zielen, inne budynki są przystońięte, brakuje miejsc parkingowych, miejsc w placówkach oświatowych itd. Niestety, w minionych latach na takie rzeczy nie zwracano uwagi. My na Bieleńach tego bardzo pilnujemy.

- Dlatego szkoła powinna być tym miejscem, w którym wyrównujemy szanse. To my jesteśmy za to odpowiedzialni, żeby naszym dzieciom dać równy start. A im wyższy poziom placówki, im lepszą ma kadrę, lepszą bazę, tym bardziej jest to możliwe do zrealizowania.

Inwestycje w edukację, w placówki szkolne, opiekuńcze, pana nie boją.

– To jest priorytet. Tak samo jak pomoc społeczna i ochrona środowiska.

A skąd macie na to pieniądze?

– Ze wszystkich dzielnic w Warszawie mamy najwyższe wykonanie inwestycyjne za rok 2022, wydaliśmy prawie 100% środków. Nasza dzielnica ma również najwyższe dochody, o które dba mój zastępca Włodzimierz Piątkowski. To też jest rekord miejski, choć nie jesteśmy bogatą dzielnicą. 76 mln zł dodatkowych dochodów! Pozyskailiśmy pieniądze z nieruchomości, startujemy w konkursach o środki unijne i rządowe. Dostaliśmy dofinansowanie na centrum seniora, MON uruchomiło nam wirtualną strzelnicę.

Strzelnica kojarzy mi się z terenami klubu Hutnik Warszawa. Swego czasu był o nie wielki bój.

– Przez wiele lat były różne podchody, żeby przejąć ten teren. Miał trafić w ręce prywatne. Kilka lat temu mówiono, że deweloper wybuduje tam osiedle. Udało nam się to wszystko, że tak powiem, wyrzucić do kosza i miasto wybudowało tam ośrodek sportowy.

Co należy się seniorom

Na sportowej mapie Polski pojawił się niedawno klub G-8. Wejście smoka!

– Udało się zbudować system – w jego skład wchodzi szkoła podstawowa na Szegedyńskiej i liceum im. Kusocińskiego. Na 1,2 tys. pływakich klubów w Polsce G-8 jest na pierwszym miejscu. Trener G-8 Paweł Wołkow został trenerem kadry narodowej pływaków. Duma nas rozpięła! AZS AWF to z kolei wielka



Zanim nowy burmistrz pozna swoją dzielnicę, muszą minąć lata. A ja na Bielanych się urodziłem, wychowałem, mieszkam.

potęgą sportową, medaliści olimpijscy, mistrzostw świata, Europy, dziesiątki sekcji. To nasz cel, by mieszkańcy Bielanych trenowali, uprawiali sport. Oczywiście nie każdy będzie sportowcem, ja też nim nie będę, ale lubię się ruszać i zachęcam wszystkich, by pobiegali, popływali.

Aktywność jest ważna niezależnie od wieku.

– Na Bielanych tysiące seniorów trenują. My to bardzo ułatwiamy, są dla nich programy, są zajęcia pływania, aerobik w wodzie, zajęcia w plenerze. Tysiące ludzi zmieniły styl życia! To coś bardzo ważnego, bo w naszej dzielnicy mamy dużo seniorów, prawie 40 tys. Teraz utworzyliśmy nowe centrum wsparcia seniora, jedno z najnowocześniejszych w Polsce. Moim marzeniem jest, żeby takie centra powstały na innych osiedlach. Zależy nam, by seniorzy czuli się na Bielanych dobrze. To im się należy.

Powiedz dzień dobry sąsiadowi

Zaangażował się pan w obronę i promowanie małych lokali usługowych, sklepików. Warto?

– Takie sklepy i sklepiki to tkanka społeczna. Nie możemy całego życia przenieść do galerii handlowej czy do supermarketów. Musimy mieć sklepiki, cukiernie, kawiarnie, punkty usługowe. Pandemia bardzo je przerzedziła. Ludzie prowadzili kawiarnię na kredytach, mieli swoje zobowiązania, a zanim przyszła pomoc, było już za późno. Więc staraliśmy się walczyć o każdego. Czasami pomagając w znalezieniu lokalu, a najczęściej promując takie punkty w mediach społecznościowych. To jest bardzo skuteczne. Gdzieś tam wspominałem, że jest świetny szewc, i zachęcałem, żeby do niego chodzić, bo z braku klientów chce zamykać zakład. Teraz ma tyle pracy, że nie może jej przerobić. Piszemy też o lokalnych przedsiębiorcach na łamach „Naszych Bielanych”, które często są jedynym źródłem informacji o dzielnicy dla osób niekorzystających z komunikacji cyfrowej.

Lokalne punkty to miejsca, w których możemy sobie pogadać, poczuć się swobodnie.

– Staraliśmy się, by było ich jak najwięcej. Żeby tu kwitło życie, żebyśmy nie byli sypialnią. Dlatego organizujemy dużo wydarzeń plenerowych. Oprócz wiodących, „Witaj lato”, „Żegnaj lato na Bielanych” czy „Bieląńskich wianków”, mamy mnóstwo małych imprez. Podwórkowych. Bieląńskie podwórka, pikniki sportowe, pikniki społeczne. To jest bardzo ważne. Bo tkanka społeczna została rozerwana w latach 90. i musimy ją odnowić.

Tak bardzo panu na tym zależy?

– My żyliśmy w innych czasach. W moim bloku znałem większość mieszkańców. A normą było, że wpadało się na herbatę, na obiad do kolegi czy do koleżanki. A oni wpadali do mnie. To było tak oczywiste, że nawet nikt się nie zastanawiał, że może być inaczej. Na pewno było biedniej, ale było...

Bardziej życzliwie?

– Teraz każdy zamyka się w swoim świecie. Pandemia mocno przysłużyła się izolacji. Trzeba to odwrócić. Dlatego musimy wyciągać ludzi z domów. Żeby przyszli na koncerty,

na wydarzenia, na teatryki. W zeszłym roku zorganizowaliśmy ponad 220 wydarzeń plenerowych. Żyjemy w czasach, gdy ceny biletów do teatru czy na koncert w przypadku rodziny dochodzą do kilkuset złotych, więc chcemy dać mieszkańcom także darmowy dostęp do kultury. Żeby się rozerwali. I żeby się spotkali. A jak przyjdą, to spotkają sąsiadów, porozmawiają. Mogą wymienić poglądy, lepiej się poznać, powiedzieć sobie dzień dobry. Te więzi chcę odbudować.

Pogratulowałem rodzicom

Żeby przełamać izolację, żeby ludzie poculi wspólnotę. Tego brakuje?

– Brakuje. Chociaż na Bielanych, jak trzeba było, 600 wolontariuszy stanęło do pomocy uchodźcom. Wspaniała młodzież! Licealiści z Domeyki prowadzili punkt noclegowy. Zaangażowana była młodzież z Kusocińskiego, młodzież z José Martí przeznaczyła halę sportową na zbiórkę darów, które przekazano uchodźcom. To młodzi są naszą nadzieją – żeby zbudować fajną Polskę, otwartą, tolerancyjną, taką, w której nie zostawia się nikogo samemu sobie. Do końca życia nie zapomnę, jak

nich ważniejsze od matury jest to, żeby pomóc ludziom uciekającym przed wojną, żeby mieli gdzie spać i co zjeść... Powiedziałem tym rodzicom, że mogę im tylko pogratulować, że tak wspaniale wychowali swoje dzieci. Bo są fantastyczne.

Rodzice martwili się o wynik matur.

– Wszyscy pozdrawiali matury ze znakomitymi wynikami! Taka jest nasza młodzież. Rozbudzona intelektualnie, pełna empatii, takiego wewnętrznego, pozytywnego myślenia. Jestem z niej dumny. Prezydent Trzaskowski był u nich, słuchał tego, co zrobili. Doceńmy to, co mamy!

Wielej pacjentów niż możliwości

Ma pan zmartwienia?

– Stan psychiczny Polaków. Wzrost przemocy w rodzinach. W zeszłym roku wydaliśmy na Bielanych 309 niebieskich kart, co jest naszym niechlubnym rekordem. To pokazuje złe zmiany, które zachodzą w rodzinach. Bo to nie są tzw. rodziny z problemami. To są tzw. normalne rodziny. Klasa średnia, w miarę dobra praca, stabilna sytuacja finansowa. I w takich rodzinach coraz częściej ma miejsce bardzo silna przemoc psychiczna, czasami fizyczna. To jest

– To są dwie strony medalu. I od nas zależy, która będzie górą.

To znaczy?

– Niebawem ruszają zlecone przez dzielnicę badania, bardzo pogłębione, dotyczące skali przemocy i problemów psychicznych. Chcemy przebadać kilkaset rodzin. Pierwsze badania zrobiliśmy w roku 2016 i teraz je powtórzymy, chcemy zobaczyć, jak sytuacja się zmieniła i w którą stronę to idzie. Wiemy, że idzie w stronę złą. Że nasi psycholodzy i pedagodzy szkolni nie wyrobiają. Że nie mają możliwości udzielenia pomocy wszystkim. Chcemy wprowadzić pięcioletni plan szkolenia psychologów i pedagogów, żeby przygotować ich do bardzo trudnych sytuacji i rozmów. Zwracam na to uwagę, bo wiemy, co się dzieje w szpitalach psychiatrycznych – trzy razy więcej pacjentów niż możliwości. Dziesiątki rodzin, które znam, ma problemy z dziećmi. To narasta. Jesteśmy po covidzie, jesteśmy zapędzeni, przemoc w sieci... Na pewno będziemy rozbudowywać naszą bazę pomocy, chcemy rozbudować poradnię psychologiczno-pedagogiczną. Wizyta z dzieckiem w prywatnej poradni to koszt 400 zł za godzinę. To są ogromne kwoty, nie każdego na taki wydatek stać, więc musimy zapewnić dzieciom i rodzinom pomoc.

Nie kusi pana czasami przejście do krajowej polityki? Sejmowej, rządowej?

– Coraz częściej jestem na taki ruch namawiany. Ale rzecz w tym, że to, co się dzieje wyżej, zupełnie mi się nie podoba. Polityka krajowa to dziś kompletne odejście od spraw, które są istotne. Widzę tam złą wolę, chaos, niekompetencję.

Inaczej jest w samorządzie?

– Uważam, że bycie burmistrzem pozwala być bliżej prawdziwych problemów i lepiej je rozumieć. Choć robota jest ciężka, cały czas trzeba być w trybie czuwania – bo wciąż coś się dzieje. Życie burmistrza to jest życie na petardzie non stop. Dzielę więc politykę na parlamentarną i samorządową. I wolę samorządową.

Mechanizm jest prosty: deweloper stawia budynek, zarabia na nim i znika. A problemy zostają.

przyszli do mnie rodzice licealistów z Domeyki. Nie za bardzo miałem czas z nimi się spotkać, to były miesiące wielkiego napięcia, wielkiej pracy, niemal nocowałem w ratuszu, bo transporty z uchodźcami przyjeżdżały w nocy, spałem po cztery-pięć godzin na dobę. Byliśmy potwornie zmęczeni, a rodzice chcieli się spotkać.

W jakiej sprawie?

– Poprosili mnie, żebym porozmawiał z ich dziećmi, żeby zechciały łaskawie wrócić do domu i trochę odpuścić ten punkt noclegowy, który jest w Domeyce, itd. Popatrzyłem na nich: szanowni państwo, to są wasze dzieci! Jak mogę iść i coś im kazać? A oni odpowiedzieli, że młodzi nie chcą rozmawiać z rodzicami, bo dla

też bardzo zły stan psychiczny młodzieży. Próby samobójcze – wzrost o 77% w ostatnich latach. Mamy dzieci z grupy 7-12 lat, które próbują targnąć się na własne życie! To coś, co na Wiejskiej przegapili.

A na Bielanych?

– Poradnia psychologiczno-pedagogiczna na Bielanych pracuje non stop. Nie wyrabia się z diagnozami, z orzeczeniami... Powinniśmy bić na alarm. Bo jeśli będziemy mieć dzieci chore, pogrążone w depresji, to za parę lat będziemy mieli kompletnie chore społeczeństwo. O tym za mało się mówi.

Zaraz, zaraz! Przed chwilą mówiliśmy o wspaniałej młodzieży, pozytywnie myślącej, teraz o pogrążonej w depresji. Jak więc jest?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Ziobro wypycha Polskę z Unii

Antyunijność jest wehikułem, który pozwoli Ziobrze
zająć w Zjednoczonej Prawicy miejsce numer 2,
a z czasem – zostać następcą Kaczyńskiego

Robert Walenciak

Zbigniew Ziobro ma nową partię. Nazwał ją Suwerenna Polska. Ten ruch to nie przypadek, nie zwykły rebranding. To gra o władzę i pieniądze. O miejsce na scenie politycznej i w wyścigu wyborczym. Wszystko w jednym.

Zacznijmy od pieniędzy. W sierpniu 2022 r. Państwowa Komisja Wyborcza odrzuciła sprawozdanie finansowe Solidarnej Polski. Dopatrzyła się nieprawidłowości w finansach ziobrystów – „niedozwolonego swoistego kredytowania” przez osobę fizyczną. Oznacza to, że gdyby Solidarna Polska w roku 2019 była bytem samodzielnym i przekroczyła trzyprocentowy próg wyborczy, cofnięto by jej subwencję z budżetu państwa. Ziobryści problem rozwiązali inaczej. Powołali do życia nową partię, Suwerenną Polskę. I w związku z tym mają wobec PKW czystą kartę. Czy oznacza to, że szykują się do samodzielnego startu? Że chcą zaryzykować? Można tak zakładać. Ale przecież sytuacja wygląda inaczej – w interesie zarówno SP (skrót się nie zmienił), jak i PiS leży wspólny start, jedna lista. W PiS nawet mówią, że lepiej rządzić z Ziobrą, niż nie rządzić w ogóle. Ale nad tą teorią ciąży praktyka – przekonanie obu stron, że na wspólnym starcie w roku 2019 źle wyszły. Lub inaczej – powinny wyjść lepiej.

Smakosze polityki pamiętają ponurą minę Jarosława Kaczyńskiego w wieczór wyborczy 2019 r. On już wiedział, że co prawda Zjednoczona Prawica wygrała wybory, ale za moment będzie niewolnikiem ziobrystów i gowinistów. Zwłaszcza tych pierwszych – przeprowadzili udaną

kampanię i zdobyli 20 poselskich mandatów. To dało im kluczową pozycję w Sejmie, bo bez nich PiS nie ma większości.

W ten sposób Ziobro może licytować wysoko, mieć więcej, niż na to zasługuje. Sukces? Prawie. Bo solą w oku jest mu fakt, że Zjednoczona Prawica to koalicja tylko z nazwy. W rzeczywistości jest komitetem wyborczym, z list którego wystartowali politycy prawicy. Drobiazg? Nie za bardzo – ponieważ oznacza to, że subwencja wyborcza, czyli pieniądze przeznaczone na finansowanie partii, trafia do Jarosława Kaczyńskiego. A on rozdziela środki według uznania.

To jedna z kwestii, które utrudniają rozmowy na temat wspólnego startu PiS i SP. Pisowcy obawiają się poza tym, że gdy wpuszczą ziobrystów na listy, to oni, nawet z dalszych miejsc, przeskoczą na pozycje mandatowe. I znów na plecach PiS dostaną się do Sejmu. Ziobryści boją się czegoś innego. Otóż wiadomo, że listy wyborcze Kaczyński będzie układał latem, w ostatnim możliwym terminie. Pełnomocnicy Zjednoczonej Prawicy (a są to zaufani Kaczyńskiego) mogą po prostu ich oszukać i w ostatniej chwili wykreślić. Inne listy zostaną ustalone, a inne trafią do PKW.

Jest na to sposób. Ziobro chce zacząć rozmowy z Kaczyńskim, żądając powołania wspólnego komitetu wyborczego. Czyli oficjalnej koalicji PiS-SP. To zasadniczo zmieniłoby jego pozycję.

Po pierwsze, jako koalicjant kontrolowałby proces układania list wyborczych. Mógłby też żądać, by w każdym okręgu wyborczym na liście Zjednoczonej Prawicy był kandydat SP. Okręgów jest 41, więc tylu posłów przy dobrej kampanii mogłaby wprowadzić do Sejmu

Suwerenna Polska. Ziobryści są przekonani, że to by się udało. Po takich wyborach, jeśli Zjednoczona Prawica by je wygrała, Kaczyński nie mógłby rządzić bez Ziobry. A jeśli by przegrała – Ziobro byłby jego naturalnym następcą.

Po drugie, koalicyjny komitet gwarantowałby podział subwencji wyborczej. Prawo mówi bowiem, że partie zawiązujące koalicję muszą jej umowę przedłożyć PKW. A w niej muszą określić proporcje, w jakich środki z subwencji będą wypłacane poszczególnym ugrupowaniom. Suwerenna Polska, jeśli do takiej koalicji by doszło, byłaby samodzielną finansowo, niezależnie od wyniku wyborów.

Ale żeby tak się stało, żeby takie warunki uzyskać, Ziobro musi mieć lepsze argumenty niż tylko czysta hipoteka Suwerennej Polski i jego własne zasługi dla prawicy w roli ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

Tym argumentem jest pozycja SP na scenie politycznej. Między PiS a rosnącą w siłę Konfederacją. Tę pozycję Ziobro buduje na twardej krytyce Unii Europejskiej i na udawaniu szeryfa.

To rzecz znana – Jarosław Kaczyński od zawsze uważał, że racją stanu PiS jest nie dać się odepchnąć od prawej ściany. Tymczasem Konfederacja wcisnęła się między tę ścianę a PiS i jej znaczenie rośnie. W takiej sytuacji politycy, którzy mówią językiem konfederatów, są dla Kaczyńskiego niezwykle ważni.

Politycy SP chętnie się zresztą, że gdyby nie oni, to Konfederacja miałaby 20% poparcia. Na co pisowcy, zgrzyliwy Ryszard Terlecki jest tu najlepszym przykładem, przypominają, że w sondażach, w których partia



Konwencja Suwerennej Polski. Warszawa, 3 maja 2023 r.

Ziobry jest prezentowana jako samodzielne ugrupowanie, dostaje 1-3%. Cóż to więc za siła?

Rzecz jednak w czymś innym. Poparcie wyborców można zdobywać, wszystko zależy od tego, czy partia potrafi do nich dotrzeć, przekonać ich, uwieść. Tu Ziobro, jak pokazała konwencja Suwerennej Polski, postawił na jeden temat – na atakowanie Unii Europejskiej, Niemiec i Tuska. To jest melodia, którą chce grać. Czyli chce grać melodię PiS, tylko głośniej i bardziej zdecydowanie.

„Powołujemy Suwerenną Polskę, by w ten sposób jasno powiedzieć twarde „nie» tym, którzy zmierzają do odebrania nam suwerenności, a co za tym idzie, naszej niepodległości – wołał Ziobro podczas konwencji. – Mamy jednocześnie do czynienia z dwoma niebezpiecznymi procesami – z jednej strony Rosja prowadzi krwawą napastniczą wojnę z naszym sąsiadem, ta wojna może też bezpośrednio zagrażać nam. (...) Z drugiej strony lewicowi fanatycy w Europie Zachodniej forsują projekt zmian UE w państwo federalne pod niemieckim przywództwem”.

Co zatem robić? „Tak jak reformatorzy I Rzeczypospolitej bronili ojczyzny, bronili Polski przed targowiczami, tak my dziś musimy bronić polskiej suwerenności przed niemieckimi kolaborantami w polskiej polityce – przekonywał. – Jeśli się poddamy, nie będziemy mieli

demokracji, lecz posłuszną Berlinowi tuskową siłą”.

Pomińmy oczywisty dowód nieuctwa – gdy spiskowcy uchwalali 3 maja 1791 r. konstytucję, targowicy jeszcze nie było. Ale dla Ziobry i jego otoczenia to detal. Ważne jest pozycjonowanie polityczne.

Czy będzie ono skuteczne? A co to w ogóle znaczy? Większość Polaków jest za naszą obecnością w Unii Europejskiej, więc przekaz Ziobry jest dla nich złowrogi. Ale przecież nie

W programie Suwerennej Polski jest renegocjacja naszej umowy z Unią. A ponieważ ta umowa renegocjacji nie podlega, mamy partię polexitu!

do nich Ziobro się zwraca, tylko do elektoratu konserwatywnego. Obójtęnego na uroki obecności w Unii, za to bardzo przywiązanego do Kościoła i jego symboli (Ziobro woła wobec tego, że trzeba bronić Jana Pawła II przed Europą), przekonanego, że zmiany obyczajowe, które zachodzą nad Wisłą, to dzieło Brukseli.

Zresztą głos Ziobry jest dla tych wyborców o tyle autentyczny, że współbrzmi z głosem Jarosława Kaczyńskiego, konfederatów i polskiego Kościoła. Mamy oto wielką koalicję zohydzenia Unii Europejskiej i Ziobro zamierza grać w niej główną rolę. W programie Suwerennej Polski, w tzw. szóście, zostało to zapisane – renegocjacja naszej umowy z Unią. A ponieważ ta umowa

renegocjacji nie podlega, wszystko jest jasne – mamy partię polexitu! Partię wyjścia z Unii.

Czy Ziobro gra tym tematem cynicznie, czy z głębokiego przekonania? Nie ma to znaczenia. Tak jak w Wielkiej Brytanii nie miało znaczenia, czy David Cameron chciał wyjścia z Unii, czy nie. Wystarczyło, że rozpoczął pewien proces, który zmienił historię.

Ruch Ziobry także zmienia historię Polski – bo narzuca polskiej prawicy, od PiS po Konfederację, antyunijną agendę. Teraz musi ona rywalizować z nim w atakach na Brukselę. A to musi mieć konsekwencje...

Dla Ziobry agenda eurosceptyka, bądź eurofoba, jest też o tyle wygodna, że daje mu paliwo do ataków na Mateusza Morawieckiego. Premier potrzebuje miliardów z Krajowego Planu Odbudowy. Musi zatem grać z Unią, proponować różne kompromisy. A ponieważ sam Kaczyński jest wobec Unii sceptyczny, Morawiecki w unijnych sprawach stoi na przegranej pozycji. Po pierwsze, na pozycji „miększona”, który korzy się wobec unijnych urzędników, po drugie, osoby nieskutecznej – bo i tak nic nie może tam załatwić.

Antyunijność jest więc dla Ziobry wehikułem, który – jak wierzy – pozwoli mu zająć w Zjednoczonej Prawicy miejsce polityka numer 2, a z czasem zostać następcą Kaczyńskiego. Wiadomo, to nietatwe, większość liderów PiS serdecznie nienawidzi ziobrystów, traktuje ich jako bezzelnie rozpychających się konkurentów. Ale dla części działaczy sojusz z nimi jest okazją do wzmocnienia swojej pozycji. Mają ochotę na sojusz z Ziobrą, z tym szczupakiem wpuszczonym do stawu z tłustymi karpami. To zresztą kolejny lejtmotyw jego politycznej kariery – wodny. Że raz jest szczupakiem, innym razem delfinem, a jeszcze innym – leszczem.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Antyklerykalizm przestanie być potrzebny

W czasach, kiedy nawet liberalna prasa bała się krytykować episkopat, metale i punki pokazały, że można myśleć inaczej

Rozmawia Michał Sobczyk

Polska prowincja jest uważana za bastion postaw konformistycznych wobec Kościoła.

– Zarówno z perspektywy współczesnej, jak i historycznej wieś słusznie kojarzy się z większą religijnością, ale nie do końca słusznie z uległością wobec księdza.

Właściwie do czasów PRL chłopcy byli w większości posłuszni wobec kleru, ale przede wszystkim dlatego, że było to na nich wymuszane, bardzo często przemocą. Trzeba pamiętać, że mieszkańcy ziem należących do biskupa czy zakonu byli jego poddani. Oznaczało to nie tylko przymus świadczenia pracy czy płacenia czynszu, ale do XIX w. także podległość kościelnemu sądownictwu, bez możliwości odwołania się do jakiegokolwiek wyższej instancji. Na wszystkich chłopach, niezależnie od tego, do kogo należeli, ciążył ponadto obowiązek chodzenia na msze, a kto z niego się nie wywiązał, ten albo płacił karę, albo był zakuwany w tzw. kunę, czyli przypinany łańcuchem do ściany świątyni.

Nawet po uwłaszczeniu, w praktyce aż do zakończenia II wojny światowej, duchowni zachowali sporą część realnej władzy nad lokalnymi społecznościami. Jeśli za bardzo fikałeś, to ksiądz uniemożliwił ci ożenek bądź nie pochował matki, bo dopiero w Polsce Ludowej



DR HAB. MICHAŁ RAUSZER

– kulturoznawca, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książek „Ludowy antyklerykalizm. Nieopowiedziana historia” oraz „Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich”. Współautor podcastu „Wszyscy jesteśmy ze wsi”.

wprowadzono cywilne śluby i świeckie pogrzeby. Podsumowując: lud oczywiście był religijny i bardzo wobec Kościoła uległy, ale pewna część tej uległości wynikała nie z jego mentalności, lecz z tego, że ta instytucja dysponowała bardzo mocnymi narzędziami nacisku.

Za otwarte przeciwstawianie się duchownym można było zapłacić wysoką cenę.

– Lud nie mógł jawnie im się sprzeciwić ani ich krytykować, ale mógł praktykować opór „szeptany”, np. opowiadać o nich dowcipy i śpiewać złośliwe pieśni (tak na marginesie, tekst i formuła popularnej piosenki zespołu Piersi z 1992 r., obśmiewającej m.in. pijaństwo i wystawny styl życia proboszcza, są bardzo podobne do analogicznych utworów funkcjonujących w folklorze). Upust antyklerykalnym emocjom dawano także, łamiąc dyscyplinę podczas mszy oraz w dzień św. Szczepana, w który zgodnie ze zwyczajem obсыpywano plebana owsem. Gdy parafianie byli mu niechętni, mieszały zboże z kamieniami.

Ważnymi formami samobrony, stosowanymi również wobec innych panów, były symulowanie lub złe wykonywanie pracy podczas odrabiania pańszczyzny oraz sabotaż. Zdarzały się też spory w sądach biskupich o wysokość danin, strajki, a nawet bezpośrednie bunty, np. pobicia. Podczas rabacji galicyjskiej chłopcy atakowali także kościoły, postrzegane jako podpory systemu opresji.

Przypadki całosciowego odrzucenia Kościoła były jednak rzadkie.

– Przekonanie, że „inny świat jest możliwy”, było charakterystyczne dla radykalnych ruchów społecznych:

komunizmu, socjalizmu czy anarchizmu. Na wsi ludzie myśleli bardziej praktycznie: problemem były dla nich konkretne obowiązki czy zachowania księży. Bo sprzeciw budził nie tylko wyzysk, ale też niemoralne prowadzenie się czy pijaństwo. Świadczą o tym zachowane pieśni, które piętnowały księżowską pedofilię czy wykorzystywanie seksualne lub uwodzenie przez duchownych chłopskich żon.

Pod koniec XIX w. chłopci zaczęli się organizować politycznie.

– Wszędzie, gdzie pojawił się ruch ludowy, czyli najpierw w Galicji, był bardzo mocno zwalczany przez biskupów i księży. Obawiali się oni, że gdy ludzie na wsi zaczną myśleć samodzielnie, za chwilę mogą dojść do wniosku, że Kościół nie jest im do niczego potrzebny. Jeśli ktoś chce sobie wyobrazić, jak wyglądało wyklinalanie działaczy chłopskich, niech sobie przypomni niedawne odczytywanie podczas mszy listów hierarchów przeciwko „potworowi gender” albo to, jak katolicka prasa opisywała uczestniczki Strajku Kobiet. Prof. Andrzej Chwalba pisał, że łatwiej było dostać rozgrzeszenie za kradzież lub pijaństwo niż za czytanie ludowej prasy. Sympatykom „Zarania” czy „Przyjaciela Ludu” księża odmawiali sakramentów i piętnowali ich z ambon.

Efekt był często odwrotny do zamierzonego. W „Zaraniu”, które na początku nie było antyklerykalne, zaczęły się pojawiać np. listy chłopów o tym, że ksiądz nie będzie nimi



Wincenty Witos, zanim w niepodległej Polsce został premierem, pisał ostre antykościelne teksty, w których wprost nazywał klerykalizm zarazą.

Za to w wyniku kościelnej nagonki wielu mieszkańców wsi zwróciło się przeciwko ludowcom.

– Pionier ruchu ludowego w Galicji, Jakub Bojko, napisał świetną książeczkę „Dwie dusze”. Postawił w niej tezę, że wieki pańszczyzny sprawiły, że każdy chłop ma dwie dusze: własną oraz „niewolniczą”, która w obliczu każdej władzy każe mu zachowywać się w określony sposób. Dlatego może sobie o księdzu myśleć różne rzeczy, ale jak przyjdzie co do czego – będzie mu posłuszny.

po 1989 r. to się praktycznie skończyło, bo sojusz ołtarza z tronem znowu zaczął być bardzo ścisły. Dopóki jednak Kościół był bliżej ludu, trochę mniej od niego obrywał.

Również dlatego, że każda krytyka duchowieństwa mogła zostać przez rządzących wykorzystana do własnych celów.

– O ile uciły zarzuty związane z jego władzą, o tyle część ludu miała mu za złe rzekome sprzeniewierzenie się tradycji. Krytykowano reformy wprowadzane po Soborze Watykańskim II, zniesienie kilku świąt, które były dla ludzi ważne, a i to, że tolerowane jest przychodzenie kobiet na mszę w spodniach. Nawet w objawieniach maryjnych bardzo często pojawiał się wątek nadmiernego liberalizmu ówczesnego Kościoła.

W najnowszej książce, która ukazała się pod koniec kwietnia, opisujesz nie tylko chłopskie strategie radzenia sobie, ale też oddolny opór wobec rosnącej pozycji kleru w latach 90.

– Kościół otrzymał mocny mandat społeczny, dzięki któremu zyskał niebywały wpływ na życie polityczne, ale także na to, co i jak się pisze, ▶

Mieszkańcy ziem należących do biskupa czy zakonu byli jego poddaniymi.

rządził i że będą sami decydować, co będą czytać. Wincenty Witos, zanim w niepodległej Polsce został premierem, pisał ostre antykościelne teksty, w których wprost nazywał klerykalizm zarazą. Jednak ze względu na przyzwyczajenie chłopów do dominującej roli duchowieństwa oraz ich religijność ruch ludowy nigdy jednoznacznie nie odciął się od Kościoła.

Po wojnie do pewnego stopnia antyklerykalne stało się całe państwo.

– Kościół właściwie po raz pierwszy został trochę odpawany od władzy, w związku z czym zniknęło podstawowe paliwo antyklerykalizmu, czyli poczucie, że „ksiądz nami rządzi”. Zwłaszcza w latach 80. częściej uważano go za przestrzeń wolności, w której dobrze odnajdowały się nawet osoby niewierzące. Oczywiście

► jak się kręci filmy itd. Jednocześnie prawie wszyscy mieli z tyłu głowy, że jeśli go skrytykują, zostaną od razu oskarżeni o postkomunizm. Bardzo mało środowisk głosiło postulaty antyklerykalne, z biskupami układali się nawet politycy SLD. Oczywiście był tygodnik „Nie”, ale nie wszędzie docierał, poza tym słowo pisane zawsze jest do pewnego stopnia elitarne.

W mojej ocenie główną przestrzenią ludowej niezgody na pozycję Kościoła w Polsce były po 1989 r. subkultury młodzieżowe, zwłaszcza metal i punk. Te bardzo wówczas popularne środowiska – myślę, że

w ten sposób do wyrażania swoich poglądów.

Jak sądzisz, czy tamten bunt przeciw Kościołowi miał jakieś długofalowe skutki społeczne?

– Nic mi nie wiadomo o istnieniu jakichkolwiek badań na ten temat, ale na mój nos zdecydowana większość osób, które w jakimś momencie zaangażowały się w antyklerykalne subkultury, z czasem wróciła na tony społeczeństwa. Dawni metal i punkowcy czasem stali się nawet bardziej konserwatywni niż ich rodzice. Młodzieżowy bunt przeciw Kościołowi i religii bardzo często ma formę wyszumienia się. Jesteś

musi być równoznaczne z niewiarą). W czasach, kiedy nawet liberalna prasa bała się krytykować episkopat, udział w subkulturach pokazał im, że Kościół nie ma władzy absolutnej i że można myśleć inaczej.

Współcześnie podważanie i od-reagowywanie władzy Kościoła przyjmuje formę zarówno prowokacyjnych memów z Janem Pawłem II, jak i wypisywania dzieci z lekcji religii oraz aktów apostazji.

– Formy oporu zawsze zależą od tego, do czego się odnoszą. Memy z papieżem pojawiły się w reakcji na jego przesadny kult w przestrzeni publicznej i stały się tym bardziej brutalne, im bardziej był idealizowany. Dla kultury ludowej typowe jest, że obśmiewa to, co oficjalna kultura każe społeczeństwu traktować bardzo poważnie. Problem z taką karnawalizacją polega na tym, że najczęściej pozwala ona ludziom się wyszumieć, po czym sytuacja wraca do normy. Trwałe efekty będzie miał natomiast moim zdaniem Strajk Kobiet. Wszyscy pamiętamy obrazki, kiedy ksiądz wychodził do grupy dziewczyn, a one krzyczały, żeby wyp... Przed protestami przeciwko zaostreniu prawa aborcyjnego pozycja Kościoła była tak mocna, że w życiu bym nie uwierzył, że coś takiego będzie w Polsce możliwe w wyobraźalnej przyszłości.

Znam osoby z ludu, w podeszłym wieku, które jeszcze 10 lat temu nie powiedziałyby złego słowa o swoim proboszczu, nawet gdyby zrobił najgorszą możliwą rzecz, a teraz klą na kler i jego związki z partią rządzącą. Nadal chodzą do kościoła, bo jest to dla nich ważna przestrzeń, ale ksiądz przestał być jakimkolwiek autorytetem.

Ciekawe byłyby wyniki jakościowych badań nad stosunkiem młodzieży do Kościoła. Znamo, którzy mają dzieciaki w wieku licealnym, mówią mi, że one przeciwko niemu się nie buntują – on dla nich w ogóle nie istnieje lub co najwyżej jest jakimś śmiesznym reliktem. Wszystko wskazuje na to, że sekularyzacja będzie postępować tak szybko, że wszelki antyklerykalizm przestanie być potrzebny.

Michał Sobczyk

Wieki pańszczyzny sprawiły, że chłop ma dwie dusze: własną i „niewolniczą”, która w obliczu każdej władzy każe mu się zachowywać w określony sposób.

należała do nich lub wokół nich orbitowała ponad połowa młodych ludzi – były jawnie, bezwzględnie i beczelnie, wręcz obscenicznie antyklerykalne. Miało to szczególne znaczenie dla mieszkańców wsi i małych miast. Gdy takim osobom coś w Kościele się nie podobało, najczęściej były z tym same, bo w okolicy nie było grup o podobnych intuicjach. Muzyka punkowa czy metalowa z antykościelnym przesłaniem dawała poczucie, że jest się częścią większego ruchu, zachęcając

młody, mieszkasz na wsi, trochę pomstujesz na lokalny kler, ale on rządzi dalej, a ty z czasem wyrastasz z radykalizmu.

Z własnych obserwacji mógłbym zarówno podać przykłady osób z warstw ludowych, które w okresie dorastania wykrzykiwały na koncertach antyklerykalne hasła, a teraz są bardziej kościelne niż całe ich otoczenie, jak i wskazać ludzi, którzy dzięki tamtemu zaangażowaniu pozostają poza Kościołem lub są wobec niego krytyczni (co oczywiście nie

KSIĄŻKA

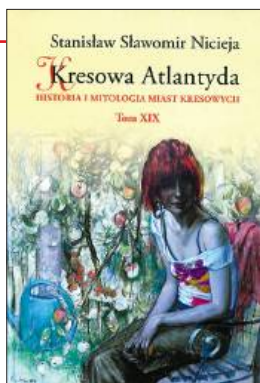
Stanisław Sławomir Nicieja

Kresowa Atlantyda

Historia i mitologia miast kresowych, tom XIX

Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2023

XIX tom słynnej sagi prof. Nicieja zawiera historię czterech miast kresowych: Żółkwi, Mostów Wielkich, Brodów i Czortkowa oraz kilkadziesiąt biografii niezwykłych mieszkańców tamtych okolic, w tym polskiego zdobywcę Kremla – hetmana Stanisława Żółkiewskiego, światowej sławy twórców: Józefa Rotha – pisarza i Wojciecha Kilara – kompozytora, piewcy Lwowa – Jerzego Janickiego czy matki psychologa Zygmunta Freuda. W najnowszej części jest też przedstawiona historia słynnej szkoły policyjnej w Mostach Wielkich oraz losy jej wychowanków. Profesor ostro polemizuje także z głosicielami tezy o „polskich kolonizatorach” na Kresach.



Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Pokolenie

Co pozostawia po sobie moje pokolenie – roczniki początku lat 50. ubiegłego wieku? Oglądało ono PRL z najlepszej strony: najpierw z perspektywy szkoły „popaździernikowej”, z jej szacunkiem dla sprawiedliwości społecznej, potem z perspektywy czasu studiów, gdy socjalistyczne ideały wyblakły, a na Zachód jeździło się z dolarową promesą. Zdążyliśmy się urządzić w Polsce Ludowej, jednak nie staliśmy się jej apologetami. Nasze rodziny odnosiły się do władzy z zimnym dystansem. A czasy zarówno Gomułki, jak i Gierka zbankrutowały. Gdy dokonało się to w sierpniu 1980 r., na porządku dziennym stanęły pytania o naturę systemu, a kontestująca go opozycja demokratyczna, w swoich korzeniach lewicowa, odpowiadała na nasze lewicowe tęsknoty. No i stykaliśmy się z ludźmi starszymi. W różnych okresach życia ściszałem dłonie Eugeniusza Kwiatkowskiego, Edwarda Raczyńskiego, Adama Bienia... Nie lubili oni Polski powojennej, ale znali realia i byli jak najdalsi od pokus fundamentalistycznych.

Gdy więc powstała Solidarność, moje pokolenie, powierzchownie tylko ukształtowane przez PRL, nie miało wątpliwości, po której stronie stanąć. Czy jednak byliśmy wystarczająco czujni? Czy już wtedy nie ulegliśmy licytowaniu się na radykalizm, w którym nie tylko „rzuciliśmy na stos naszego życia los”, lecz przede wszystkim położyliśmy na szali los polskiego państwa? Pokolenie o parę lat starsze pamiętało stalinizm i to ono wymyśliło termin „samoograniczająca się rewolucja”. Pokolenie o parę lat młodsze czuło się uwolnione od historii, więc było też wolne od wahań. Łaska późnego urodzenia powodowała, że młodszymi kolegom nie byliśmy w stanie sprostać, choć tak się nimi zachwycaliśmy. W rezultacie moje pokolenie wyglądało w ruchu Solidarności trochę bezbarwnie: oblicze ruchu kształtowali ludzie trochę od nas starsi (KOR) i trochę młodszy (SKS). My byliśmy pośrodku.

Potem przystąpiliśmy do rozbiórki PRL i do wznoszenia III Rzeczypospolitej. Czy byliśmy wierni trwaniu pośrodku? Długo nie chcieliśmy zrozumieć, że aby III RP mogła powstać, musiała najpierw zaistnieć PRL. Ilu z nas było gotowych uznać, że Wojciech Jaruzelski to nie tylko pogromca Solidarności, ale i współtwórca tejże III RP, jej było nie było pierwszy prezydent? Ilu miało odwagę przyznać, że aby mogły odbyć się wybory czerwcowe 1989 r., trzeba było w grudniu 1981 r. ocalić samą tylko obecność Polski w jej dotychczasowych granicach? Polski wasalnej wprawdzie, lecz przecież nie okupowanej.

Moje pokolenie w niewielkim tylko stopniu zasiliło ugrupowania prawicowe, w większości odnalazło się w Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Ale w tych partiach też było bombardowane przez „konserwatystów”, którzy wprawdzie godzili się na działanie wspólne z Jakiem Kuroniem, lecz zbliżali nas do prawdziwej prawicy. Ostatecznie bakcyl prawicowy zaraził Unię Wolności ideologią dekomunizatorsko-lustracyjną – widać ją było w rządzie AWS-UW Jerzego Buzka. A równocześnie zaraził katolików otwartych, choć oni z samej istoty swej wiary powinni być nań odporni. Czy potrafił się przeciwstawić się marszowi politycznego centrum w stronę prawicy? I ewolucji polskiego katolicyzmu w stronę dzisiejszego Kościoła?

Człowiek mojego pokolenia musi przyznać, że ojczyzny, którą kochał, Kościoła, w którym się modlił, już nie ma.

Mojemu pokoleniu zostało oszczędzone doświadczenie dziadów, którzy najpierw, w latach 1918-1920, oglądali zmartwychwstanie ojczyzny, a potem, w latach II wojny światowej, widzieli jej rozbiór i upadek. Zostało też oszczędzone doświadczenie rodziców, których świat rozsypał się na progu dorosłości. A jednak moje pokolenie było świadkiem czegoś podobnego. Wszak najpierw udało się nam zbudować najlepsze państwo w polskich dziejach, należące w dodatku do wspólnoty europejskiej i do najpotężniejszego w świecie sojuszu wojskowego. Trafilo się więc nam coś, o czym dziadowie, ojcowie, a i my sami w młodości nie śmieliśmy nawet marzyć. Lecz potem, gdy nasze państwo zaczęło być demontowane i zastępowane państwem partii, gdy polskie więzi z Europą zaczęły być zrywane, człowiek mojego pokolenia, który tak długo widział wroga głównie w „postkomunistach”, musi przyznać się do osobistej klęski. Ale w pierwszej kolejności musi wyznać, że jego zaangażowanie w Solidarność, jego trwający całe życie „romans z ojczyzną”, jego oddanie Kościołowi – to wszystko było nieporozumieniem. Że ojczyzny, którą kochał, Kościoła, w którym się modlił, już nie ma. Nie mógłby sobie przecież wyobrazić, że tylu naszych rodaków, ludzi wyrostłych z Solidarności, zachowa się wobec Polski tak jak niegdyś jej zaborcy.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Zuzanna Muszyńska

W Japonii można było głosować wyłącznie w ambasadzie RP w Tokio, bilet Osaka-Tokio w dwie strony kosztował ok. 1 tys. zł. Londyński konsul wypełnił przesyłkami do wyborców kilka ciężarówek. Ledwo się wyrobił w ustawowym terminie. Jeden z Polaków w Londynie otworzył firmę kurierską, by za darmo dowieźć na czas koperty z głosami Polonii. Polka z komisji wyborczej w Lyonie płakała, obsługując w okienku osobę, która wiozła przez pół Francji stos pakietów, i zdążyła. W Hiszpanii koperty wyborcze Polaków leżały na pocztach podczas hucznego świętowania Fiesta de San Juan.

Polki i Polacy za granicą od kilku lat trenują wyborczy surwiwal. Podczas tegorocznych wyborów do Sejmu i Senatu łatwiej nie będzie.

Władza boi się Polonii

Upadł mit o poparciu emigracji dla partii prawicowych. Jeszcze w 2015 r. Polacy za granicą wybrali na prezydenta Andrzeja Dudę (w pierwszej turze wygrał Paweł Kukiz). Kandydat PiS zdobył najwięcej głosów w USA – 81% i w Kanadzie – 77%.

Jednak w wyborach parlamentarnych w 2019 r. większość Polaków za granicą poparła Koalicję Obywatelską (122 tys. głosów). Na Prawo i Sprawiedliwość zagłosowało 78 tys., na Lewicę 65 tys., a na Konfederację – 36 tys. PSL zdobyło niecałe 13 tys. głosów. W Wielkiej Brytanii Polonia oddała ponad 80 tys. głosów, w Niemczech ok. 46 tys., w USA ponad 29 tys., w Holandii, Irlandii, Norwegii, Belgii i Francji po kilkanaście tysięcy, a we Włoszech, w Hiszpanii, Kanadzie, Austrii, Szwajcarii, Szwecji i Danii po mniej niż 10 tys.

W wyborach prezydenckich w 2020 r. Trzaskowski wygrał za granicą w 78 krajach, Andrzej Duda – w siedmiu. Kandydat KO dostał 74,12% głosów Polonii, Duda – 25,88%. W drugiej turze za granicą oddano 415 951 ważnych głosów (100 tys. więcej niż w pierwszej).

Urna i zagranica

PiS robi wszystko, aby utrudnić i zmarginalizować głosowanie Polonii



Na czoło polonijnego frontu walki o demokratyczne wybory wysunął się Londyn.

Andrzej Duda wygrał zdecydowanie w Kanadzie (60%), Nigerii (70%) i Kazachstanie (73%). W USA przewaga kandydata PiS wyraźnie stopniała od ostatnich wyborów – urzędujący prezydent zdobył 19 tys. głosów, a Rafał Trzaskowski 16 tys. Największe poparcie Trzaskowski miał w Wielkiej Brytanii (77,8%) i w Niemczech (77,3%). Ogółem uezbiarał za granicą prawie 201 tys. głosów więcej niż Duda.

Każdy kandydat wziął w sumie ponad 10 mln głosów. Andrzej Duda wygrał z Rafałem Trzaskowskim

o 422 tys. głosów. Jak wyliczył Piotr Pacewicz z OKO.press, wynik wyborów byłby odwrotny, gdyby 211 tys. osób zmieniło zdanie. Przy wyrównanych szansach kandydatów głosy zagraniczne mogą mieć niemałe znaczenie.

Tykająca urna

Nowelizacja Kodeksu wyborczego, wprowadzona jako ustawa poselska PiS, została przegłosowana z odrzuceniem weta Senatu 9 marca 2023 r. Oficjalnie ma „zapewnić



transparentność wyborów oraz wzrost frekwencji”, nieoficjalnie – pomóc partii rządzącej wygrać wybory. W wyborach do Sejmu głosy Polonii wlicza się do wyniku w Warszawie, skąd wybieranych jest 20 posłów. Jest o co się bić.

Transparentność ma zapewnić nowa metoda liczenia głosów – przewodniczący OKW będzie musiał pokazać kartę do głosowania wszystkim jej członkom, co wydłuży czas pracy każdej komisji, w Polsce i za granicą. Dla Polonii jednak kluczowy jest art. 230 par. 2 znowelizowanego kodeksu: „Jeżeli okręgowa komisja wyborcza nie uzyska wyników głosowania w obwodach głosowania za granicą albo na polskich statkach morskich w ciągu 24 godzin od zakończenia głosowania, głosowanie w tych obwodach uważa się za niebyłe”. Innymi słowy, jeden głos policzony po czasie spowoduje, że wszystkie inne oddane w danym lokalu i policzone w terminie wylądują w koszu. Prof. Andrzej Zoll nazywa to „skandalicznym rozwiązaniem”.

Druga zła wiadomość dla Polonii to brak głosowania korespondencyjnego za granicą. Obowiązywało, zanim PiS objęło władzę; zostało zniesione wskutek nowelizacji Kodeksu wyborczego w wyborach parlamentarnych z 2019 r. i wskrzeszone podczas pandemii covidu. W kilku krajach z liczną Polonią, takich jak Wielka Brytania, Niemcy czy USA, było jedyną możliwą formą głosowania. W wyborach z 2020 r. korespondencyjnie zagłosowało 95% Polek

i Polaków. Najchętniej pozostaliby przy tej metodzie na stałe.

Na czoło polonijnego frontu walki o demokratyczne wybory wysunął się Londyn. Małgorzata Hallewell z londyńskiej organizacji Polonia Głosuje pracowała przy czterech kampaniach informacyjno-profrekwencyjnych poprzedzających wybory w Polsce i w Wielkiej Brytanii. – Przygotowujemy się do piątej, która ruszy z dniem ogłoszenia daty wyborów parlamentarnych – mówi.

W styczniu br. na zaproszenie posła KO Roberta Tyszkiewicza, przewodniczącego sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą (LPG), działaczki PG wzięły udział w posiedzeniu komisji poświęconym organizacji wyborów za granicą. – Ponieważ trwały wtedy prace nad nowelizacją Kodeksu wyborczego, apelowałyśmy m.in. o przywrócenie głosowania korespondencyjnego dla Polonii. Bez sukcesu, mimo kompletnego braku argumentów przeciw takiemu rozwiązaniu – informuje Małgorzata.

Nie pomogła petycja Polonii z całego świata wystosowana w tej samej sprawie. Druga, dotycząca art. 230 par. 2 o limicie 24 godzin na dostarczenie wyników z komisji zagranicznych, jest ciągle w obiegu. Jej adresatem jest MSZ, organ odpowiedzialny za organizację wyborów za granicą. Główny postulat to utworzenie znacznie większej liczby komisji wyborczych za granicą. – Jest to niezbędne, nie tylko ze względu na konieczność zmniejszenia liczby

W Londynie podczas wyborów prezydenckich w 2020 r. działali kurierzy społeczni.

wyborców przypadających na jedną komisję, ale również ze względu na rosnącą frekwencję wyborczą i brak głosowania korespondencyjnego – tłumaczy Małgorzata Hallewell.

– Mam lekką traumę – kontynuuje – wynikającą z pracy w komisji wyborczej w Londynie podczas wyborów prezydenckich. Mieliśmy do przeliczenia w drugiej turze ponad 18 tys. głosów, co zajęło nam ponad 40 godzin. Dlatego propozycja spowalniająca proces liczenia głosów wywołała u mnie niepokój. Kiedy nowelizacja została przyjęta i zaczęliśmy się zastanawiać, ile dodatkowych lokali wyborczych będzie potrzebnych w związku z rosnącą frekwencją, postanowiłam zrealizować pomysł symulacji głosowania.

Spotkali się w dniu roboczym, wieczorem, około godz. 21, w gronie pięciorga działaczy (tyle osób liczy minimalny skład komisji). Każdy miał za sobą cały dzień pracy i był już zmęczony. To ważne, ponieważ komisje przystępują do liczenia głosów w 15. lub 16. godzinie pracy. Karty wyborcze w formie książeczkowej przygotowali ręcznie i o godz. 22.30 przystąpili do liczenia. W ciągu godziny, pracując non stop, przeliczyli 98 głosów.

Kilka dni później powtórzyli eksperyment, w częściowo zmienionym składzie i przy użyciu wydrukowanych kart wyborczych w formacie arkuszym. W ciągu godziny przeliczyli 156 kart. – Uzyskane wyniki wskazują, że w zależności od formatu kart, liczebności komisji oraz warunków lokalowych tam, gdzie zgłasza 2 tys. osób, komisja będzie potrzebować od 20 do 30 godzin na przeliczenie wszystkich kart do Sejmu i Senatu, zakładając, że liczenie odbywa się bez przerw i w tym samym tempie, co oczywiście jest fizycznie niemożliwe – podsumowuje Hallewell. – To nierówne traktowanie zarówno polonijnych wyborców, jak i pracowników zagranicznych komisji. Niekonstytucyjne, uderzające w podstawowe prawo obywatelskie zapisane w art. 62 Konstytucji RP. ▶

► Kamil Arendt, działacz polonijny i jeden z uczestników eksperymentu, przypomina, że w 2019 r. głosy ponad 2 tys. zapisanych wyborców należało przeliczyć w aż 51 z 314 zagranicznych komisji, co stanowi 16% wszystkich zagranicznych komisji, podczas gdy w kraju takich obciążonych komisji było jedynie 0,7%.

Najtrudniej miały placówki w Europie, gdzie głosowało 84% zagranicznych wyborców, zwłaszcza w dużych miastach. – Rekord padł w londyńskiej dzielnicy Ealing, gdzie komisja musiała obsłużyć 6 tys. głosujących – mówi Arendt. – To ponad dwa razy więcej niż w najbardziej obciążonej komisji w Polsce, na warszawskim Targówku, gdzie głosowało 2,7 tys. obywateli.

O eksperymencie londyńczyków zrobiło się głośno w mediach. Do problemu Polonii odniósł się rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek. Uznał, że znowelizowany kodeks narusza istotę prawa wyborczego oraz uzależnia ważność i skuteczność głosu od

okoliczności, które są niezależne od obywatela i wynikają z problemów ze sprawnością działania administracji wyborczej. RPO zaapelował do marszałków Sejmu i Senatu, aby rozważyli konieczność zmiany przepisów Kodeksu wyborczego i usunięcia ograniczenia czasowego liczenia głosów w zagranicznych obwodach.

Senat już wystąpił z inicjatywą ustawodawczą, aby wykreślić zapis o limicie 24 godzin z Kodeksu wyborczego. Małgorzata Hallewell komentuje: – Mamy nadzieję, że wszystkie siły polityczne poprą ustawę, dając wyborcom za granicą szansę udziału w wyborach.

Każdy głos się liczy

Diaspora w tzw. rozwiniętym świecie zachowuje prawa wyborcze w większości krajów pochodzenia, z nielicznymi wyjątkami (Duńczycy walczą o prawo głosu niezależne od długości pobytu za granicą). Rumuńscy emigranci wybierają swoich przedstawicieli do parlamentu,

Francuzi żyjący za granicą głosują od 2012 r. zgodnie z mapą świata podzieloną na 11 okręgów wyborczych i wybierają 11 posłów do Zgromadzenia Narodowego, którzy reprezentują ich interesy. Wcześniej głosowali wyłącznie w wyborach prezydenckich.

– Również Polki i Polacy w świecie organizują się coraz lepiej i to jest budowanie czegoś ważnego na przyszłość – mówi Dagmara Caignac z Annecy, która mieszka we Francji od 18 lat. Dagmara uczestniczyła w pracach nad petycją w sprawie nowelizacji Kodeksu wyborczego, wcześniej pracowała w komisji w Lyonie podczas wyborów prezydenckich. To ona płakała, kiedy do lokalu wyborczego wpadła roztrzęsiona dziewczyna z naręczem pakietów na chwilę przed jego zamknięciem. Przejechała 500 km i zdążyła! Nerwy były ogromne, podobnie jak odległości do pokonania, bo komisje wyborcze działały tylko w dwóch miastach – trzy w Paryżu, jedna w Lyonie. – Bez głosowania korespondencyjnego Polakom



Filharmonia
Narodowa

BEETHOVEN V SYMFONIA

12/13.05

Orkiestra Filharmonii Narodowej

Mykoła Diadiura – dyrygent / Dima Tkachenko – skrzypce

Noskowski, Stankowycz, Beethoven

Na koncerty zaprasza
Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej



PGE
Polska Grupa Energetyczna

Organizator



Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Sponsorzy




rozrzuconym po różnych zakątkach Francji będzie ciężko zgłosować – stwierdza Dagmara.

Ona ze swojego kawałka Francji działa głównie w sieci. – Zbieram deklaracje chętnych do zasiadania w komisjach wyborczych lub do ról mężów i żon zaufania – tłumaczy. – Zgłaszają się osoby na całym świecie. Jest co prawda kwiecień, nie każdy wie na pewno, co będzie robił w październiku, ale chcemy mieć konkretne liczby, żeby zameldować konsulowi pełną gotowość do wyborów. Damy odpór argumentom, że nie można zorganizować dodatkowych punktów wyborczych z braku chętnych do zasiadania w komisjach.

Blanka Genini mieszka w szwajcarskim Bernie. Opowiada, że podczas ostatnich wyborów Polacy stawili się licznie przed berneńską ambasadą. – Chyba nikt nie przewidział takich tłumów, bo w komisji pracowało tylko kilka osób. To doświadczenie może zniechęcić niektórych do ponownego przyjazdu na wybory – obawia się Blanka. Jej dotarcie do lokalu wyborczego zabiera około kwadransa, ale Polacy rozrzućeni po kraju, ci z małych miejscowości górskich lub z leżących po drugiej stronie Alp kantonów Ticino i Gryzonii, jadą do stolicy dwie-trzy godziny.

Mąż Blanki jest Szwajcarem, mają dwójkę dzieci. – W Szwajcarii głosowań w ciągu roku jest naprawdę dużo, a o frekwencji na poziomie 60% mówi się, że jest niska – opowiada Polka. – Głosowanie korespondencyjne jest praktykowane od wielu lat. Do domu dociera pakiet wyborczy, który do soboty włącznie można wysłać do punktu głosowania lub w niedzielę dostarczyć go osobiście. Polacy mieszkający tu na stałe przyzwyczaili się do takiego systemu również w wyborach polskich, zanim PiS zlikwidowało tę możliwość.

W Australii udział w wyborach stanowych i federalnych jest obowiązkowy dla wszystkich obywateli. – Tutaj płaci się kary za uchylenie się od obowiązku wyborczego, a sam dzień wyborów to wielkie święto demokracji. Lokale wyborcze organizują BBQ (grilla), serwują kawę i ciastka – mówi Lucyna Dymorz-Bak z Melbourne. Według niej tak samo powinno się

świętować wybory w Polsce oraz ułatwiać, a nie utrudniać Polakom oddanie głosu. Lucyna mieszka w Australii od 19 lat, od 12 prowadzi grupę polonijną na Facebooku. Pomaga m.in. osobom przybyłym na antypody na pobyt czasowy, do pracy czy na studia. – To właśnie wśród nich panuje teraz ogromny niepokój – podkreśla. – Polacy podróżują dziś po całym świecie, mieszkają tam, gdzie chcą, ale mają firmy w Polsce i chcą decydować o tym, kto rządzi krajem, bez względu na to, na jakim kontynencie przebywają w dniu wyborów. Takie słyszę opinie i takie opinie podzielam.

Podczas ostatnich wyborów prezydenckich działał już tylko jeden z dwóch lokali wyborczych w Melbourne, bez możliwości dojazdu komunikacją publiczną. – Zorganizowaliśmy *carpooling*, żeby dowieźć na miejsce jak najwięcej chętnych. To pokazuje, jak bardzo ludziom zależy, żeby oddać głos! – wyjaśnia Lucyna. Wskazuje też inny problem, z którym boryka się Polonia: skutek pandemii i utrudnień w podróżowaniu wiele osób ma nieważne paszporty. Niestety, poza kilkoma dyżurami paszportowymi w Melbourne – rocznie! – na które niełatwo się dostać, pozostaje opcja podróży do Sydney i wyrobienia paszportu w konsulacie. To duży koszt, ale ludzie te paszporty wyrabiają. – Pytanie, czy nasze głosy, oddane z takim poświęceniem, będą się liczyć – powątpiewa Lucyna.

Piotr Włodarczyk z organizacji Polish Freedom Network w Stanach Zjednoczonych przedstawia sytuację Polonii amerykańskiej: – W 2019 r. mieliśmy 48 komisji wyborczych, skupionych w czterech okręgach – Waszyngton, Nowy Jork, Chicago i Los Angeles, a w 2020 r. zostało ich już tylko dziewięć. Bez udogodnienia w formie głosowania korespondencyjnego większość Polaków w Stanach Zjednoczonych będzie pozbawiona prawa wyborczego. W 2019 r. zgłoszono ponad 29 tys. osób, a w 2020 r., gdy można było głosować osobiście lub korespondencyjnie, zrobiło to prawie 36 tys. obywateli. Warto przypomnieć, że Polacy z Florydy mają do najbliższego lokalu wyborczego w Waszyngtonie ok. 2 tys. km, podobnie jest z wieloma skupiskami

Polonii, zarówno na obu wybrzeżach USA, jak i w stanach centralnych.

Dużym ograniczeniem dla demokratycznej Polonii jest brak możliwości pracy w komisjach wyborczych. – Od początku byliśmy otwarci na nurty od lewej do prawej, jesteśmy po prostu za demokratycznym państwem prawa w Polsce i chcemy bronić tych wartości, które reprezentowali sobą pierwsza Solidarność i ludzie, którzy doprowadzili do Okrągłego Stołu. A jednak nasze oferty pomocy przy obsadzaniu komisji do tej pory spełzały na niczym. Mamy jedynie możliwość wysyłania mężów zaufania reprezentujących demokratyczną opozycję i na pewno skorzystamy z tej możliwości, tak aby w każdej komisji był nasz reprezentant – podsumowuje Włodarczyk.

– Liczy się każdy oddany głos – mówi Małgorzata Zenari z Werony, która zgłosiła u Dagmary chęć pracy w komisji wyborczej w Mediolanie. Tam głosowała w latach 2019 i 2020, po półtoragodzinnej podróży w jedną stronę i oczekaniu swojego w kolejce, zwłaszcza podczas wyborów prezydenckich. – Nikt nie narzekał, gdyż były to wybory wyjątkowe, z nadzieją na zmianę – ocenia. – Jednak wybory korespondencyjne to byłby strzał w dziesiątkę – dodaje – bo Włochy to duży kraj i np. Polacy z Apulii, Sardynii czy Piemontu mają daleko do lokali wyborczych w Rzymie lub w Mediolanie.

Grażyna Wegrin z Västervik mieszka w Szwecji od ponad 30 lat, ale w Polsce ma dom i spędza w kraju co roku trzy-cztery miesiące. – Jestem żywo zainteresowana losami Polski. Staram się dopasować daty wyjazdów do ważnych wydarzeń. Zresztą do najbliższego lokalu wyborczego w Szwecji mam ponad 300 km, co przy obecnych cenach paliwa oznacza koszt ok. 1,6 tys. koron szwedzkich (650 zł – przyp. Z.M.). Do tego opłata za wjazd do centrum i parking 55 koron za godzinę – wskazuje. – I jeszcze nie ma pewności, że uda się oddać głos, czy zostanie policzony i na czyje konto. PiS robi wszystko, aby utrudnić i zmarginalizować głosowanie Polonii.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

Wasi i nasi oligarchowie

Czy ukraińscy miliarderzy, którzy zdecydują się osiedlić w Polsce, zmienią swoje obyczaje?

Marek Czarkowski

Strony internetowe Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, Narodowego Funduszu Zdrowia i Podatki.gov.pl mają wersje w języku ukraińskim. Bankowość elektroniczna w Pekao, Alior Banku czy mBanku także jest dostępna w tym języku. W praktyce oznacza to, że ukraiński stał się drugim oficjalnym językiem w naszym kraju. I trudno, by było inaczej.

Mieszkający w Polsce Ukraińcy posiadają numery PESEL, posyłają dzieci do polskich szkół i mogą korzystać z opieki społecznej. Zakładają firmy, rozwijają działalność gospodarczą, zapewne wkrótce sięgną po środki unijne z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości oraz innych instytucji zajmujących się dzieleniem dotacji.

A ponieważ nie sposób ignorować kilkumilionowej grupy przybyszów, jest tylko kwestią czasu, gdy uzyskają oni bierne i czynne prawo wyborcze oraz reprezentację polityczną w parlamencie. Niektórzy ukraińscy oligarchowie przeniosą zaś swoje interesy nad Wisłę.

Jeśli w Rosji prezydent Władimir Putin decyduje o tym, kto zostanie bogaczem, to w Ukrainie bogacze decydowali, kto zostanie prezydentem.

To wyjątkowo barwne i kontrowersyjne postacie. Przez lata trzęsili polityką Kijowa, brutalnie walcząc między sobą o pieniądze i wpływy. Jeśli w Rosji prezydent Władimir Putin decyduje o tym, kto zostanie bogaczem, to w Ukrainie bogacze decydowali, kto zostanie prezydentem.

Anders Åslund, jeden z czołowych liberalnych ekspertów zajmujących

się Rosją i Europą Wschodnią, w przygotowanym na początku XXI w. studium dla amerykańskiej fundacji Carnegie Endowment for International Peace zauważał, że o ile w Rosji grupy biznesowe finansują różne partie i rząd, o tyle w Ukrainie „grupy ekonomiczno-polityczne skłaniają się raczej do posiadania własnych partii. [Pawło] Łazarenko i [Julia] Tymoszenko utworzyli parlamentarną partię Hromada jako partię kompanii Zjednoczone Systemy Energetyczne Ukrainy. Wadym Rabinowicz podobno »kupił« Partię Zielonych. [Hryhorij] Surkis i [Wiktor] Medwedczuk podobno posiadają Zjednoczoną Socjaldemokratyczną Partię Ukrainy. Charakterystyczne jest, że wszystkie te oligarchiczne partie są centrowe, co stawia je w wygodnej pozycji do robienia dobrych interesów, bez żadnej rzeczywistej ideologii”. Czy podobnie będzie nad Wisłą?

Ihor Kołomojski – „Benia”

To oligarcha nie najbogatszy (w 2019 r. majątek Kołomojskiego szacowano na 1,48 mld dol; obecnie będzie to pewnie ok. 800-900 mln dol.), lecz z pewnością

najbardziej kontrowersyjny i barwny. A w przeszłości również niezwykle wpływowy. W Kijowie Ihora Kołomojskiego nazywa się „Benią” lub „Ihorem Wałerijowyczem”.

Telewizyjny serial „Sługa narodu”, który wyniósł Wołodomyra Zełenskiego na szczyty ukraińskiej polityki, miał premierę w 2015 r. w należącej do Kołomojskiego stacji

telewizyjnej 1+1. Ihor Wałerijowycz nie ukrywał, że chciał w ten sposób zaszkodzić prezydentowi Petrowi Poroszenko, który w marcu 2014 r. powołał go na funkcję przewodniczącego Dniepropietrowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Ukrainy (w Polsce to odpowiednik wojewody), by bronił kraju przed separatystami z Donbasu, a w marcu 2015 r. bezceremonialnie ze stanowiska odwołał.

Rok wcześniej, korzystając z pieniędzy należącego do niego PrivatBanku, największego komercyjnego banku w Ukrainie, oligarcha sfinansował powstanie dwóch ochotniczych batalionów – Dniepr oraz Dniepr I, które na początku konfliktu podjęły w Donbasie walkę z promoskiewskimi separatystami. Następnie wsparł bataliony Azow, Ajdar i Donbas, kupując broń, żywność, wyposażenie i wypłacając żołd ochotnikom. Przeciągnął też na ukraińską stronę wpływowego mera Charkowa Hennadija Kernesza, nazywanego „Giepą”. Gdyby nie „Benia”, separatyści zajęliby z pewnością większy obszar na wschodzie Ukrainy, niż im to się udało.

Po ustaniu działań wojennych Kołomojski nie zadowolili się niczym nieograniczoną władzą w obwodzie dniepropietrowskim i próbował przejąć kontrolę nad portem w Odessie, co zapewniłoby mu ogromne profity. Zaniepokoił tym prezydenta Poroszenkę i sprzymierzonych z nim oligarchów. W marcu 2015 r. wybuchł konflikt wokół dwóch kontrolowanych przez Kołomojskiego kompanii: Ukrtransnafty oraz Ukrnafty. Najpierw odwołano dyrektora Ukrtransnafty, który był tam wstawiony przez Ihora Wałerijowycza. By tak się stało, ukraiński parlament zmienił przepisy w sprawie zwotyływania walnych zgromadzeń



Gdyby nie Kołomojski, separatyści zajęliby z pewnością większy obszar na wschodzie Ukrainy, niż im się to udało.

akcjonariuszy. Wcześniejsze pozwały Kołomojskiemu wprowadzać swoich ludzi do władz obu firm.

Na wieść o tym wściekły oligarcha w otoczeniu uzbrojonych ochroniarzy wdarł się do biur obu spółek, po drodze wulgarnie rugając dziennikarza Radia Swoboda. Swoich przeciwników oskarżył o związki z separatystami i chęć pozbawienia go majątku. Na jego nieszczęście zajście zostało zarejestrowane przez kamery. Wybuchł skandal i prezydent Poroszenko przyjął rezygnację Kołomojskiego, choć powszechna jest opinia, że „Benia” został do niej zmuszony.

Był to początek powolnego upadku oligarchy. 18 grudnia 2016 r. w obliczu niewypłacalności banku rząd podjął decyzję o jego nacjonalizacji. A oligarchę oskarżył o wyprawienie z niego kilku miliardów dolarów.

Kołomojski nie zrezygnował z walki. Jego najskuteczniejszą bronią okazał się Wołodymyr Zełenski, który pokonał Petra Poroszenkę w wyborach. Jednak nowy prezydent banku „Beni” nie oddał. A gdy zachowanie miliardera stało się zbyt nachalne, Zełenski odebrał mu ukraińskie obywatelstwo.

Dziś majątek Kołomojskiego jest znacznie skromniejszy niż kilka lat temu. Choć „Benia” pozostaje miliarderem. A także obywatelem Cypru i Izraela. Musi jednak uważać, gdyż w marcu 2021 r. władze amerykańskie objęły go sankcjami, oskarżając o korupcję, w czasie gdy piastował stanowiska gubernatora obwodu dnepropietrowskiego, oraz o nieustanne próby „podważania

W marcu 2021 r. władze amerykańskie objęły Kołomojskiego sankcjami, oskarżając go o korupcję, w czasie gdy był gubernatorem obwodu dnepropietrowskiego.

demokratycznych procesów i instytucji w Ukrainie”. Amerykanie skonfiskowali mu też kilka nieruchomości, które nabył w Stanach Zjednoczonych.

Gdy Rosjanie zaatakowali Ukrainę, Kołomojski nie wyjechał z kraju. Zamieszkał w willi wybudowanej pod Dnipro (dawniejszym Dniepropietrowskiem) i czekał na rozwój sytuacji. W Polsce raczej się nie pojawi. Wie, że amerykańskie wpływy nad Wisłą są silne i gdyby coś poszło nie tak, mógłby szybko

się znaleźć w więziennej celi na Florydzie.

Gdzie się podział Rinat Achmetow?

Smutny los dotknął również najbogatszego z ukraińskich oligarchów, niegdyś króla przemysłu stalowego, do którego należały m.in. zakłady Azowstal w Mariupolu, gdzie w ubiegłym roku toczyły się ciężkie walki, oraz położone obok zakłady im. Iljicza.

W 2014 r. majątek oligarchy szacowano na 12,5 mld dol. Jego najbardziej wartościowe składniki znajdowały się na terenie obwodu donieckiego zajętego przez separatystów. Niegdyś Achmetow miał ogromne wpływy w tym obwodzie i znakomite relacje z Moskwą. Był też sponsorem Partii Regionów, będącej zapleczem politycznym prezydenta Wiktora Janukowycza. Po Majdanie i przejęciu władzy przez Petra Poroszenkę oligarcha dogadał się z nowymi władzami, zmniejszył swoją aktywność polityczną i więcej czasu poświęcił interesom. Podejrzewano, że utrzymuje kontakty z separatystami, gdyż jego nieruchomości, znajdujące się na zajętych przez nich terenach, nie zostały ani przejęte przez nowe władze, ani zniszczone. Zostawiono go jednak w spokoju, ponieważ niczego mu nie dowiedziono.

Tuż przed wybuchem wojny wielu ukraińskich oligarchów wyjechało z kraju. 19 lutego 2022 r. prezydent Zełenski w telewizyjnym orędziu zaapelował do nich, by wrócili, i ostrzegł, że zostaną wyciągnięte konsekwencje wobec tych, którzy go nie posłuchają. Pierwszym, który zjawił się w Kijowie, był Rinat Achmetow. Cztery dni przed atakiem wojsk rosyjskich odwiedził jedną ze swoich firm w Mariupolu i starał się uspokoić pracowników. Być może nie chciał pogłębiać konfliktu ▶

z obozem prezydenckim, do którego doszło kilka miesięcy wcześniej w związku z przygotowywaną tzw. ustawą o oligarchach. Media należące do Achmetowa zwalczały ten projekt wyjątkowo energicznie. Cóż, ich właściciel był przecież modelowym ukraińskim oligarchą.

Jego dzisiejszy majątek jest cieniem dawnej świetności. Nie wiadomo też, gdzie Rinat Achmetow przebywa. Z racji obowiązującego prawa powinien mieszkać w Ukrainie, lecz oligarchowie nie mieli i nie mają problemów z podróżowaniem po Europie.

Batalion Monako i nie tylko

To symboliczna nazwa elitarnej grupy ukraińskich oligarchów, urzędników państwowych wysokiego szczebla, a także deputowanych do Rady Najwyższej Ukrainy i polityków, którzy po rosyjskiej agresji wybrali luksusowe życie na południu Francji. Pojęcie to wprowadził dziennikarz „Ukraińskiej Prawdy” Mychajło Tkacz, publikując w ubiegłym roku artykuł zatytułowany „Batalion Monako. »Ukraińska Prawda« znalazła uchodźców na Lazurowym Wybrzeżu”.

Na liście „bojowników” są bracia Ihor i Hryhorij Surkisowie, miliarderzy i właściciele klubu Dynamo Kijów, milioner Wadym Stolar, znany biznesmen Wadym Jermolajew, Ihor

W Ukrainie powszechne jest przekonanie, że po wojnie nie będzie w kraju oligarchów, których bogactwo opiera się na wpływach politycznych i korupcji. Nie jest to pewne, gdyż ekipa prezydenta Zełenskiego nie jest wolna od tego typu słabości. Już po rosyjskim ataku na Ukrainę w kręgu podejrzeń

Rinat Achmetow był pierwszym oligarchą, który zareagował na apel prezydenta Zełenskiego i wrócił do kraju.

znalazł się m.in. były minister spraw wewnętrznych Arsen Awakow i po raz kolejny Ihor Kołomojski, który miał być zamieszany w sprawę defraudacji miliarda euro z udziałem krajowych firm naftowych.

7 czerwca 2022 r. na granicy między Serbią a Macedonią Północną został zatrzymany gen. bryg. Andrij Naumow, były szef Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, który wyjechał z kraju kilka godzin przed rosyjską inwazją. W jego samochodzie znaleziono 600 tys. euro w gotówce, dużą kwotę w amerykańskich dolarach i kamienie szlachetne, w tym diamenty. W sierpniu ub.r. Polska Agencja Prasowa doniosła, że w Serbii grozi Naumowowi do 12 lat więzienia, lecz władze rosyjskie zaoferowały mu azyl

Odszedł wiceminister obrony narodowej Władimir Szapowałow, do dymisji podał się zastępca szefa kancelarii prezydenta Zełenskiego Kyryło Tymoszenko, funkcjonariusze Narodowego Antykorupcyjnego Biura Ukrainy (NABU) zatrzymali Wasyla Łożyńskiego, wiceministra rozwoju wspólnot, terytoriów i infrastruktury,

a ze stanowiska zastępcy prokuratora generalnego Ukrainy odszedł jakoby na własną prośbę Ołeksij Symonienko. W Kijowie mówiono, że tak zdecydowane działania związane były z naciskami władz amerykańskich, do których dotarły sygnały, że pomoc wysyłana Ukrainie jest rozkradana.

Dziś wokół tych spraw panuje cisza. Amerykanie wiedzą, że ich kontrola nad przekazywanym Ukraińcom sprzętem kończy się na polskiej granicy. Mają świadomość, że trafia on na czarny rynek, lecz milczą, by nie pogarszać sytuacji. Przynajmniej oficjalnie nie ma w Ukrainie amerykańskich wojskowych, którzy kontrolowaliby transport i dystrybucję pomocy militarnej. Waszyngton musi wierzyć, że formalnie wszystko jest w porządku, choć wojna zawsze była okazją do szybkiego bogacenia się. Jest pewne, że po jej zakończeniu część ukraińskich wojskowych zajmie się polityką. I będą potrzebowali dużych pieniędzy.

Szybko pojawi się pytanie, czy ci nowi ludzie będą chcieli rozwijać swoje kariery nad Dnieprem, czy może nad Wisłą. Musimy się pogodzić z tym, że nie będzie powrotu do sytuacji sprzed 24 lutego 2022 r., gdy między naszym krajem a Ukrainą była granica. Problemy sąsiadów już są, a w przyszłości będą w jeszcze większym stopniu, naszymi problemami. A ukraińscy oligarchowie staną się polskimi oligarchami.

Luksusowe życie na południu Francji wybrali m.in. bracia Ihor i Hryhorij Surkisowie, właściciele klubu Dynamo Kijów.

Abramowycz – miliarder i polityk, deputowany do Rady Najwyższej. A także Ołeksandr Jarosławski – prezes charkowskiego klubu piłkarskiego FK Metalist, Konstantin Żewago – jeden z najbogatszych Ukraińców, czy Serhij Lowoczkin – były szef administracji prezydenta Wiktora Janukowycza.

Po tej publikacji ukraińscy dziennikarze zaczęli tropić kolejnych polityków i milionerów, którzy postanowili przeczekać wojnę w spokojniejszych niż Kijów miejscach. Tak powstały kolejne „bataliony” – Monako 2 i Wiedeń.

polityczny, w zmian za zeznania obciążające prezydenta Zełenskiego. Po czym zapadła cisza.

Byłego generała nazwano w Kijowie „portfelem Bakanowa” – chodzi tu o Iwana Bakanowa, do lipca ub.r. szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Karierę zawdzięczał on przyjaźni z prezydentem Zełenskim. Jego dymisja była konsekwencją serii zrad i przypadków korupcji, do których doszło w podległej mu służbie. W styczniu br. przez Kijów przetoczyła się fala dymisji i aresztowań wysokich rangą urzędników państwowych oskarżonych o korupcję.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Ciężko pracujesz, odnosisz sukces, masz czas dla siebie, pielęgnujesz pasję, żyjesz pod Bydgoszczą. Twoją miłością są konie, a konkretnie jazda konna. Jest sobota, możesz, więc jedziesz na leśną przejażdżkę na swoim rumaku (rumacze). Stępa, klusem, a i chwilami galopem, po duktach, ale i w teren. Las jest piękny niesłychaną urodą majowego przebudzenia, pachnie obezwładniająco, korony drzew szumią. Aż nagle wierzchowiec prychnie, chrapy pracują, koń staje, zapiera się, nie chce iść, jak jeszcze chwilę wcześniej ochotczo biegał. I teraz ty też czujesz dziwny zapach, smród raczej, po chwili mózg podsuwa ci obraz lotniska, podobną nutę zapachową. Ki diabeł – myślisz – samolot się rozbił? Czytelniku/ czytelniczko, pamiętaj bowiem: prawdopodobieństwo, że ktoś, kto w Polsce w weekend sobie klusuje (w sensie jazdy, a nie nielegalnych polowań), nigdy nie był na lotnisku i nie poczuł tej charakterystycznej woni, jest bliskie zera. A więc czujesz

jakieś 500 km, i przede wszystkim wie, że polskie niebo jest bezpieczne. Sam minister obrony narodowej mówił w październiku, konkretnie czternastego dziesiątego dwudziestego drugiego: „Zbudowaliśmy wielowarstwowy system obrony przeciwlotniczej. Mamy Pioruny, zestawy Pilica, Małą Narew i Patrioty. Dzięki staraniom rządu PiS nasze niebo jest bezpieczne. Nie musimy przystępować do proponowanych przez Niemcy programów zakładających budowę mniej zaawansowanego systemu”. Bezpieczeństwa lasów pilnują także Lasy Państwowe, tnąc je na potęgę, żeby lepiej było widać każde zagrożenie z powietrza, ziemi i morza. A nic nie było widać ani słyszać. To znaczy, niektórzy słyszeli, że coś, ten tego, owszem i podobnie, ale nie wiadomo, a jak wiadomo, to i tak tajemnica. Taki gen. Tomasz Piotrowski, jakby nie było obecny szef Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, szczerze oświadcza, że „dokładnie śledzimy to, co dzieje się

Leć, rakieto, leć, może nad Noteć?

smród paliwa. Zsiadasz, wążesz konia, który wciąż jest podenerwowany. Idziesz w stronę coraz bardziej intensywniej woini. Widzisz, co widzisz – nadwyrężone drzewo, za nim wbitą w ziemię powyginaną rurę w kolorze szarym. Cóż, nie musisz być mjr. Michałem Fiszerem, żeby skojarzyć, że wygląda to na jakiś obiekt latający, który zakończył lot. Zmysł obywatelski, niezależnie od poglądów pro- lub antyrządowych, każe ci sięgnąć po telefon komórkowy. Wybierasz 112 lub od razu policję, żadna karetka rusze i tak by już nie pomogła. Próbujesz spokojnie przekazać grozę i powagę odkrycia, podajesz współrzędne. Na koniec rzucasz okiem na poranione drzewo, wracasz do niespokojnego wierzchowca. Zaraz przyjadą – myślisz – zrobiłem/zrobiłam (wszelkie dane świadka są tajne, milczec mu lub jej nakazano) wszystko, teraz się zajmą, wyjaśnią, zbadają. Koniec przejażdżki, musisz o tym komuś opowiedzieć.

I tu wkracza nasze onnipotentne, złotousto, zafrzesowione państwo... Zaraz, zaraz, nie tak szybko! Nikt nigdzie nie wkracza, nikt nigdzie nie jedzie, szczytem zarobienia jest notatka po telefonie. Pójdzie służbową drogą, gdzie tu pędzić, gdzie się śpieszyć, czym przejmować? Ofiar nie ma, a tyle, ile ludzie smrodów wylewają i wyrzucają do lasu, tobyś nie ogarnął. Policjant dyżurny zachowuje zatem stójkowski spokój. Pisz, składa litery w słowa, słowa w zdania, dorzuca przecinek, język przygryza, to pisanie uciążliwe jest bardzo. Uff, zadanie wykonane.

Pierwszy patrol pojawi się w lesie w okolicach wsi Zamość po ponad dwóch dobach, w poniedziałek. Kolejny, już cokolwiek liczniejszy, dopiero w środę, wtedy i wojsko zawita, a potem już nikt nie wlezie (no, prawie nikt). Funkcjonariusz wie przecież, ten od rozmowy i notatki służbowej, że za naszą granicą trwają działania wojenne, ale wie też, że jest od niej

w polskiej przestrzeni powietrznej, powstały pewne hipotezy i mamy pewne wątki, które można byłoby powiązać z tym zdarzeniem w Zamościu pod Bydgoszczą. Chciałbym uspokoić, że panujemy nad tym, co się dzieje, i w porozumieniu z prokuraturą na pewno wyjaśnimy całą sytuację”. Hipotezy, wątki – po pięciu miesiącach. Sytuacja jest z 16 grudnia, wtedy nasi bezpardonowi pilnowacze polskiego nieba zorientowali się, że obiekt jakowyś nadleciał od wschodniej strony, pardon, flanki, czyli zza wschodniej granicy. Bez zapowiedzi, bez kontaktu, wleciał i leciał. Nie wiedzieć dokąd, po co i co w ogóle leciał. Ale teraz wyjaśnił to premier Mateusz „Pinokio” Morawiecki z charakterystycznie przekonującą wiarygodnością: „Istnieją przesłanki, (...) by połączyć to znalezisko (...) z informacją, którą powzięły nasze służby już w grudniu zeszłego roku, a co do której również byliśmy w stałym kontakcie z naszymi sojusznikami. W trakcie tego incydentu samoloty F-35 i nasze własne zostały poderwane, aby śledzić trajektorię tego sprzętu, tej rakiety, która znalazła się nad terytorium Rzeczypospolitej Polskiej”. Znalezisko, nie żadna rakietka. F-35 (nie nasze, bo nie mamy) poderwane. No, śledziły, ale nie wyśledziły, poleciały za nim, ale on, ten obiekt, rakietka, słowo się rzekło, odleciał w stronę, czyli podbydgoską dal. Poleciał, huku nie narobił, po co drażnić temat? Ktoś w końcu przecież pojedzie konno do lasu.

Dzisiaj już wiadomo, że to była rosyjska rakietka, zdolna do przenoszenia także głowic jądrowych, choć tym razem się upiekło. Niedaleko wioski Zamość płynie rzeka Noteć. Jak mógł to upilnować system Pilica albo Mała Narew? Trzeba nam systemu Noteć zamiast niemieckich (tzn. amerykańskich) patriotów.

Nawet nie zdążymy się zorientować, co nam na łeb spadło.

Prawica. Nowy rozdział

Najpopularniejszy prezenter amerykańskiej prawicy znika z ekranu. Ale to nie koniec Tuckera Carlsona

Jakub Dymek

Pożegnanie Tuckera Carlsona ze stacją Fox News miało w sobie coś z ogłoszenia śmierci partyjnego notabla w totalitarnej dyktaturze. Prezenterka na antenie odczytała obowiązkowy komunikat z chłodem godnym najlepszych koreańskich i radzieckich wzorów. Kierownictwo stacji opublikowało oświadczenie suche jak partyjny nekrolog: „Fox News Media i Tucker Carlson porozumeli się w sprawie rozstania. Dziękujemy za służbę stacji jako gospodarz programu i komentator. Ostatni program wyemitowano w piątek...”.

Ta oszczędność słów jest odwrotnie proporcjonalna do rozgłosu i emocji, jakie budził wieczorny program Carlsona. I, rzecz jasna, sam jego gospodarz. Fakt, w ostatnim półwieczu nie brakowało w Ameryce krzykaczy medialnych i ekranowych populistów. Bill O'Reilly i Glenn Beck, Sean Hannity i Rush Limbaugh, Alex Jones i Ben Shapiro, Laura Ingraham i Kellyanne Conway – aż po Donalda Trumpa. Jednak większość współczesnych prawicowych osobowości medialnych została przez Trumpa zepchnięta w cień, zwasalizowana albo ośmieszona. Tucker Carlson nie.

Ten w szczycie kariery mógł się pochwalić, że jako jedyny ma podobny wpływ na amerykańskie nastroje jak Trump. I klucz do zdobycia uwagi połowy społeczeństwa (tej prawej).

Gdy Tucker mówił, że wybory mogły zostać skradzione, amerykańskie korporacje wyzyskują zwykłego człowieka, a demokraci chcą zniszczyć naszą kulturę – Amerykanie słuchali. Jego program stał się najpopularniejszym wieczornym show w historii telewizji kablowej, lecz Carlson docierał także do rekordowo dużej



Carlson w szczycie kariery mógł się pochwalić, że jako jedyny ma podobny wpływ na amerykańskie nastroje jak Trump.

widowni w kluczowej dla reklamodawców grupie wiekowej 25-54 lata, generował więc niebagatelne zyski. Gospodarz Fox przyciągał przed ekrany nie tylko więcej wyborców republikańskich niż konkurencja (co dość oczywiste), ale też więcej demokratów i wyborców identyfikujących się jako „niezależni”. W czasach gdy telewizja przegrywa z rozrywką online prawie na wszystkich frontach, show Tuckera Carlsona był enklawą, gdzie magia wieczornych programów dalej działa, a głos nadający z telewizyjnego studia jest wciąż mocniejszy niż ten z okienka YouTube’a.

Kusi, by powiedzieć, że kończy się pewna epoka. Jednak ten zgrany slogan nie do końca oddaje prawdę o tym, co właśnie oglądamy.

Odejście Carlsona z Fox na pewno nie jest końcem jego kariery. Z pewnością nie wyczerpał się również potencjał pewnego modelu charyzmatycznego ekranowego kaznodziei, mówcy i demagoga. Wpływu Carlsona na amerykańską prawicę też nie należy oceniać w czasie przeszłym. Ta historia się nie kończy, ale wciąż dzieje – i to w bardzo żywiołowy sposób – na żywo. Jak w prime time TV!

W bohaterze prawicy żyją dwa wilki

Tucker Carlson urodził się w San Francisco, jego ojciec Richard „Dick” Carlson w trakcie swojej długiej kariery występował w rolach dziennikarza, propagandysty, lobbysty i dyplomaty. Carlson senior był dyrektorem

Głosu Ameryki i antykomunistycznego Radia Martí w ostatnich latach zimnej wojny, mianowanym przez Busha seniora ambasadorem na Seszelach i dyrektorem w firmie, która lobbowała na rzecz Viktora Orbána w Waszyngtonie – a to ledwie wycinek jego CV. Biologiczna matka Tuckera była artystką, która wyprowadziła się do Francji jeszcze w latach 70. Patricia Swanson, druga żona Dicka i przybrana matka Tuckera, jest zaś – choć to zawiła historia – dziedziczką fortuny w branży spożywczej. Młody Tucker wylądował na pewien czas w szwajcarskiej szkole z internatem, jednej z wielu kolejnych prestiżowych szkół, w których nauczył się donośnie mówić i sprawnie wiązać muszkę (nosił ją do 2006 r.). Wszystko w jego życiu wskazywało, że zostanie dziennikarzem – nic natomiast, że akurat trybunem ludowym i obrońcą zwykłego człowieka.

Początki kariery przyszłej gwiazdy Fox były tak elitarne jak jego rodzinne koneksje i wykształcenie. Po studiach dostał pracę w „Policy Review”, piśmie wydawanym przez konserwatywną The Heritage Foundation, skąd szybko przeskokczył do najbardziej prestiżowych tytułów głównego nurtu: od „Esquire”, przez „New York Magazine”, po „Slate” i „Wall Street Journal”. Wcześniej próbował się zaczepić w CIA. W powtarzanej do znudzenia anegdocie Carlson przypomina, że poszedł wtedy do dziennikarstwa, bo „tam biorą każdego”. „Ani trochę nie szanuję moich kolegów z branży. Trudno mi nawet wskazać środowisko, na którego uznaniu zależy mi jeszcze mniej. Dziennikarze są niewiarygodnie przeciętni. Przeciętniactwo po prostu”, podsumowywał świat mediów w rozmowie z branżowym „Columbia Journalism Review” w 2018 r.

Udawana skromność i autoironiczny dystans są stałym elementem wypowiedzi Carlsona, a równocześnie ewidentne jest u niego przekonanie o własnej wybitności i patologicznej głupocie jego krytyków. W bohaterze populistycznej prawicy żyją dwa wilki. Carlson uważa się za ostatniego myślącego pośród morza głupców i wprost mówi, że jego polemiki są zwyczajnie za

tępi na ucziwą rozmowę. „Nie mam racji? Nie? To powiedz mi czemu. No, powiedz, tylko wolno, żebym zrozumiał. Co, nie umiesz? No, słucham, gdzie nie mam racji, co takiego mówię źle?”, brzmi jego typowy monolog. Tucker domaga się odpowiedzi, udowodnienia mu, że jest głupkiem, po czym nie daje dojść do słowa. Prawdę mówiąc, odpowiedzi na zadane pytanie wcale nie oczekuje, a głupkiem oczywiście okazuje się każdy, kto coś Carlsonowi zarzuci. Zadawanie pytań, na które albo odpowie się tak, jak on tego chce, albo w ogóle, szybko stanie się jego specjalnością.

Jego program był najpopularniejszym wieczornym show w historii telewizji kablowej.

Druga wersja Carlsona to swójak, który po prostu trafił do mediów, bo nigdzie indziej by go nie wzięli, i do dziś z tego powodu świetnie rozumie problemy zwykłego człowieka. Carlson pierwszy nosił muszkę od czasu zakończenia nauki w liceum do 37. roku życia. Ten drugi co wieczór pomstuje na pychę i oderwanie wielkomięskiej elity, które wciąż niezmiennie go zadziwiają, choć ma ponad pięćdziesiątkę, pracuje w mediach trzecią dekadę i, jeśli chodzi o podłość demokratów, to widział już chyba wszystko. Co wieczór jednak udaje mu się szeroko otworzyć oczy (i usta!) w niedowierzaniu i oburzyć na nowo: „Ale z tym żaden robaków to kto to widział?!”.
Zawsze ma ostatnie słowo

Tu trzeba powiedzieć, że Carlson ma ów talent, bez którego trudno liczyć na zwycięstwo we współczesnej polityce czy życiu publicznym. To umiejętność ukrycia swojego uprzywilejowania i elitaryzmu pod maską oburzenia, „mówienia, jak jest” i swojskości. To ten sam pierwiastek, dzięki któremu miliarder, telewizyjny celebryta i dziedzic deweloperskiej fortuny Donald Trump był głosem biednych białych Amerykanów z postprzemysłowego „pa-sa rdzy”.

Prawdziwego populistę wyciągnęła z Carlsona telewizja. A także spektakularne porażki zaliczone na ekranie. W połowie pierwszej dekady XXI w. młody, wciąż będący na fali wznoszącej Tucker Carlson współprowadził „Crossfire”, program publicystyczny w ramówce CNN. Jego mechanizm był prosty i chwytliwy: dwaj prowadzący, z prawicy i lewicy, prezentują swoje poglądy i odpytują gości (również o określonych stanowiskach).

Mimo jasno przydzielonych ról i wygadanych prowadzących program w tamtych latach podupadał. Jednak śmiertelny cios zadany został

z niespodziewanej strony – i to przez komika. Nie byle jakiego, bo Jona Stewarta, zarówno wtedy, jak i dzisiaj jednego z najpopularniejszych prezenterów telewizyjnych łączących satyrę z komentarzem politycznym. A w przypadku Stewarta – błyskotliwy humor i talent do nieprawdopodobnie szybkiej riposty z wpadającym w patos patriotyzmem i czasem nadętą krytyką republikańskiej prawicy.

Stewart przyszedł do programu „Crossfire” jesienią 2004 r., by promować swoją nową książkę. Przynajmniej takie było założenie. Gdy w studiu zapaliły się czerwone światła i program wystartował, komik, zamiast wejść w konwencję, postanowił całkowicie ją wywrócić. Zaatakował obu prowadzących. „Szkodzicie Ameryce, robicie nam wszystkim ▶



► krzywdę”, wypalił. Stewart zrobił coś, czego zawsze boją się wydawcy telewizyjnych programów na żywo, czyli uchylił kurtynę. Zamiast odpowiadać na (tendencyjne) pytania prowadzących, zarzucił im, że odgrywają teatryk, pozorowaną debatę i „partyjniactwo”. Programy takie jak „Crossfire” – kontynuował – tworzą wrażenie ostrego i zaangażowanego sporu, ale w rzeczywistości służą transmitowaniu partyjnych przekazów dnia. To nie odważne dziennikarstwo, ale wysługiwanie się dwóm partiom i wielkim korporacjom. Carlson próbował kontrować i zasugerował gościowi, że z takimi wykładami

się na wojennej ścieżce – z demokracją, poprawnością polityczną, „socjalistycznymi” pomysłami rządu federalnego i przemyślanymi jagłowymi obu wybrzeży. Ale po 2008 r., gdy urząd prezydenta objął Barack Obama, a opozycja wobec niego skupiła się wokół niedosłej republikańskiej wiceprezydent Sarah Palin i ruchu Tea Party, zmieniło się coś jeszcze. Republikanie (a więc i Fox News) po kryzysie bankowym zaczęli nabierać populistycznego, ludowego kolorytu, mniej lub bardziej otwarcie flirtując z rasizmem. Przesuwając się nieznacznie w stronę gospodarczego protekcjonizmu,

i nie robią z nich „nieatrakcyjnych, androgynicznych lesbijek”.

Carlson nie był jednak tak głupi jak tytuły jego programów. Gwiazdor Fox News nie płynął w głównym nurcie Partii Republikańskiej, ale samodzielnie go wyznaczał. Wyborcy Trumpa – a więc i widzowie Fox News – nie chcieli już prawicy z XX w. i gardzili jej programem. Mieli po dziurki w nosie słuchania o tym, że misją Ameryki jest szerzenie demokracji i wolnego handlu, zbrojne interweniowanie w najodleglejszych miejscach świata i obrona dysydentów, których nazwiska i tak nic przeciętnemu człowiekowi nie mówiły. Chcieli Partii Republikańskiej, która – jak głosiło hasło Trumpa – postawi Amerykę na pierwszym miejscu i dokona symbolicznego „powrotu do domu”. Czyli: zamknie granice, porzuci egzotyczne wojny i zacznie odbudowę swoich własnych fabryk, kopalń i dróg, a nie cudzych państw i demokracji.

Tucker, który po upokorzeniu przez Stewarta nie chciał być już „partyjniakiem”, tym gorliwiej zapisał się do ruchu odrzucającego świętości starej Partii Republikańskiej. Zamiast powtarzać zużyte slogany, postanowił razem z Trumpem walczyć z elitami wszystkich ideowych odcieni – porzucił przy tym swój gospodarczy libertarianizm i poparcie dla amerykańskich wojen.

Gwiazdor Fox News nie płynął w głównym nurcie Partii Republikańskiej, ale samodzielnie go wyznaczał.

powinien „zatrudnić się w szkole dziennikarstwa”. „Ty zaś powinienes w końcu do jakiejś pójść”, odwinął się Stewart.

Występ Jona Stewarta wykończył „Crossfire” i przyspieszył rozwód CNN z Carlsonem. Program zdjęto z anteny zaledwie kilka miesięcy później. Dla bohatera tego tekstu bolesne przeczołganie na oczach milionów widzów miało dalej idące konsekwencje. Przez kilka lat trochę się błąkał po telewizji – żaden z jego programów w kolejnych kanałach nie zadomowił się na ekranach na dobre. Tucker wystąpił nawet w „Tańcu z gwiazdami”, ale kilkaset godzin przygotowań nie pomogło – odpadł jako pierwszy uczestnik sezonu.

Poza upokorzeniem wyniósł jednak ze spotkania ze Stewartem lekcję. Oglądając go dziś, niemal 20 lat później, łatwiej zrozumieć, dlaczego stał się na ekranie tym, kim jest. Teraz to on nie daje sobie przerwać, zadaje trudne pytania i ośmiesza swoich krytyków. I to on ma zawsze ostatnie słowo.

Herold nowej epoki

Carlson swój prawdziwy dom znalazł w Fox News. I nie powinno to dziwić. Stacja konglomeratu Ruperta Murdocha od zawsze była wyrazicielem prawicowa i wiecznie znajdowała

amerykańska prawica tylko zwiększyła swoje poparcie wśród białych mieszkańców postprzemysłowej Ameryki, resztek klasy robotniczej i emerytów. Demokratów zepchnęła na pozycje partii wykształconych, klasy kreatywnej i białych koźnierzyków oraz mniejszości.

W 2016 r. wygrał Donald Trump. Jego obietnice odbudowy amerykańskiego przemysłu, podniesienia z kolan małych miasteczek, wycofania się z „wiecznych wojen” w Afganistanie i Iraku oraz chronienia

W programie Tuckera Carlsona nie brakowało celnych argumentów wymierzonych w wielki biznes, globalizację czy elity finansowe.

własnego rynku przed konkurencją z Chin zwiastowały nową epokę. Carlson był jej heroldem. Nie tylko poparł Trumpa, ale także sprawnie kierował emocjami i uwagą swoich widzów. Podgrzewał strachy, dzięki którym Trump wygrał wybory. Carlson straszyl imigracją („sprowadza biedę i brud”), Chińczykami, muzułmańskim terroryzmem, Wenezuelą i Kubą. W kultowych dzisiaj tyradach biadał, że siepacze poprawności politycznej nie spoczną, póki nie pozbawią atrybutów seksapilu nawet czekoladowych drażetek M&M’s

Jak zauważyła na łamach lewicowego „The American Prospect” Lee Harris, w programie Tuckera Carlsona nie brakowało słusznych i celnych argumentów wymierzonych w wielki biznes, globalizację czy elity finansowe. Na przykład nie mógł nie wymienić nazwiska republikańskiego kandydata na prezydenta Mitta Romneya bez przypomnienia, że zbił fortunę na nieszczęściu zwykłych ludzi, doradzając szczególnie agresywne strategie optymalizacji biznesowej i cięć. Harris pytała, dlaczego krytycy Carlsona nie wprowadzą

w życie jego skutecznej recepty na populistyczny program. „Zróbcie to samo, co Tucker, tylko bez jego rasizmu”, wzywała. Błyskawicznie jej własna redakcja odcięła się od tego tekstu i dała do zrozumienia, że więcej nie przepuści żadnych dobrych słów o Tuckerze Carlsonie, w żadnym kontekście. Redaktor naczelny pośpiesznie opublikował samokrytykę. Cała sytuacja była jakby żywcem wyjęta z jakiegoś programu Fox News o liberalno-lewicowej cenzurze, tyranii poprawności politycznej i kulturze anulowania. Jak gdyby karykatury lewicy z programów Carlsona na chwilę ożyły i zaczęły odgrywać napisane dla nich role. „Co, ja rasistą? Udowodnij mi. No, słucham, mów powoli, żebyś zrozumiał!”, grzmiałby pewnie Carlson, gdyby wciąż miał program.

Tucker wytrzymał dłużej niż Trump

W 2021 r. Trump, po przegranych wyborach, usunięciu z platform cyfrowych i obarczany odpowiedzialnością

za zamieszki na Kapitolu, został odsunięty na dalszy plan. Tucker Carlson przez kolejne 30 miesięcy był zaś najchętniej oglądaną i najbardziej poważaną twarzą amerykańskiej prawicy. Krytycy zarzucają mu, że zamiast łagodzić napięte nastroje,

Dzięki olbrzymiej widowni i popularności, którą może eksploatować w internecie, to dla Carlsona nie koniec, lecz nowy początek.

wciąż igrał z ogniem. Nie odciął się od teorii o ukradzionych wyborach ani nie zrezygnował z rasistowskich aluzji. Żeby była jasność, nie prowadził swojego programu w stylu biuletynu Ku Klux Klanu, jednak konsekwentnie rozgrywał strachy białych widzów, szczególnie ze starszego pokolenia, bojących się statusu „obcych we własnym kraju”.

Dlatego że wytrzymał dłużej niż Trump i być może wywarł nawet większy wpływ na nowe generacje konserwatystów, publicysta „New York Timesa” Ross Douthat napisał

niedawno, że cała amerykańska prawica minionej dekady przeżyła „Tuckerowski zwrot”. Jednak w obliczu wpływu, jaki przypisuje się Carlsonowi, tym żałośniej wyglądają prawdziwe powody jego wyrzucenia z Fox News.

W ujawnionych podczas procesu sądowego wiadomościach tekstowych pisał wulgarnie o swoich szefach, używając czteroliterowego słowa na c. „Nigdy nie radziłem sobie z hierarchią, z wykonywaniem poleceń”, tłumaczył już kilkanaście lat temu, gdy zwolniono go z innej sieci, MSNBC. Mimo wszystko teraz, dzięki olbrzymiej widowni i popularności, którą może bez końca eksploatować w internecie, to dla Tuckera nie koniec, lecz nowy początek.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

wishsurfing.pl

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

Zablokować Szczecin

Kulisy polsko-enerdowskiego konfliktu granicznego w Zatoce Pomorskiej

Grzegorz Sołtysiak

1 stycznia 1985 r. władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej zdecydowały o rozszerzeniu swoich wód terytorialnych z 3 mil morskich do 12. Na skutek tego obszary polskich wód terytorialnych, m.in. podejścia do portu w Świnoujściu, znalazły się na terytorium NRD.

Taka decyzja musiała wywołać ostry konflikt dyplomatyczny między Polską a NRD. W tamtych czasach uważano jednak, że spory pomiędzy państwami socjalistycznymi są nie do przyjęcia, i sprawę usiłowano trzymać w tajemnicy, ale zachowanie Niemców i użycie przez nich okrętów wojennych nie pozwoliło uniknąć skandalu. Polaków najbardziej dotknęło diametralnie inne potraktowanie Duńczyków i Niemców z RFN. Tory wodne prowadzące do Lubeki i duńskiego Gedser zostały umieszczone poza granicami enerdowskich wód terytorialnych, mimo że też leżały w odległości mniejszej niż 12 mil. Konflikt szybko nabrał międzynarodowego zasięgu. Był przedmiotem negocjacji dyplomatów nie tylko obu krajów, ale także innych państw socjalistycznych, w tym oczywiście ZSRR. Dopiero osobista interwencja Michaiła Gorbaczowa ostudziła zapędy przywódców NRD, co potwierdził w wywiadzie prof. Marian Orzechowski, ówczesny polski minister spraw zagranicznych*.

Jak należy tłumaczyć postępowanie Niemców? Wydaje się, że chodziło jeżeli nie o zniszczenie, to o osłabienie ekonomiczne polskich portów, ich znaczenia. Niemcy liczyli na przejęcie obsługi tranzytowej ruchu towarowego na linii wschód-zachód.

Poniżej publikujemy kilka dokumentów ukazujących atmosferę konfliktu. Wszystkie materiały pochodzą ze zbiorów Archiwum Dokumentacji Historycznej PRL.

Pilna Notatka Urzędu Morskiego w Szczecinie w sprawie podejściowych torów wodnych i kotwiczowisk do Zespołu Portowego Szczecin-Świnoujście, 5 stycznia 1987 r.

W nawiązaniu do Pilnej Notatki z dnia 30 grudnia 1986 r. Nr AM-01/86/8 informuję, że w dniu 4 stycznia br. o godz. 5.00 na kotwiczowisku Nr 3 rzucił kotwicę statek PZM „Generał Ignacy Prądzyński” w oczekiwaniu na wolne nabrzeże w Porcie Świnoujście.

O godz. 8.30 NRD-owski okręt patrolowy nawiązał łączność ze statkiem, nakazując kapitanowi natychmiastowe opuszczenie kotwiczowiska. Kapitan zgodnie z instrukcją odpowiedział, że polecenia wykonać nie może, znajduje się bowiem na pełnym morzu, na kotwiczowisku wyznaczonym i ogłoszonym przez władze polskie – w związku z czym polecenia wydawać mu mogą wyłącznie właściwe władze PRL. O godz. 10 okręt patrolowy NRD podszedł bezpośrednio do polskiego statku, ponawiając polecenie opuszczenia kotwiczowiska. Po godzinnym postoju i wymianie zdań z kapitanem, w której kapitan powoływał się na nasze stosunki polityczne i przynależność do wspólnego paktu obronnego, sugerując umiar w działaniach – okręt NRD opuścił miejsce postoju przy burcie statku, udając się do portu NRD.

Statek polski pozostaje nadal na kotwiczowisku Nr 3. Do chwili obecnej brak jakichkolwiek raportów o dalszych próbach naruszania postoju statku.

Pilna Notatka Ministerstwa Spraw Zagranicznych z rozmów w MSZ ZSRR w sprawie rozgraniczenia obszarów morskich między PRL a NRD, 16 stycznia 1987 r. (fragmenty)

1. Przy okazji konsultacji w sprawie problematyki albańskiej, w rozmowach z Wiceministrem SZ – W. Łoginowem, dyrektorem Zarządu Europejskich Państw Socjalistycznych – G. Gorynowiczem, dyrektorem Departamentu Państw Socjalistycznych Europy Środkowej – W. Swirinem oraz dyrektorem Departamentu Prawno-Traktatowego – J. Rybakowem przedstawiłem nasze stanowisko oraz aktualny stan prowadzonych z NRD negocjacji w sprawie rozgraniczenia obszarów morskich na Bałtyku. (...)

2. Wszyscy rozmówcy z dużą uwagą i wręcz z zaskoczeniem odebrali przekazaną informację. Zauważalne było, iż mieli uprzednio niepełny pogląd na sprawę rozgraniczania obszarów morskich między PRL a NRD, oparty na jednostronnych, nieobiektywnych interpretacjach, przekazywanych przez NRD. Podkreślali, że z pełnym zrozumieniem odnoszą się do przedstawionego stanowiska Polski, w tym zwłaszcza do znaczenia kwestii dostępu portów Szczecin/Świnoujście do morza pełnego. Uważają, iż rozgraniczenie obszarów morskich powinno zostać osiągnięte w drodze dwustronnych porozumień obu państw. Podkreślili przy tym, że zrealizowanie przez NRD zapowiedzi publicznego oświadczenia o nieistnieniu kotwiczowiska Nr 3 byłoby krokiem bardzo niepożądanym, stanowiącym pożywkę dla antykomunistycznych kół na Zachodzie.

3. Wyrażali także zdziwienie, że mimo obustronnych ustaleń w sprawie przestrzegania dotychczasowego stanu prawnego w Zatoce Pomorskiej do czasu osiągnięcia rozwiązania umownego, NRD podejmuje działania powodujące eskalację rozbieżności i komplikujące proces negocjacji. Ze szczególnym zaskoczeniem przyjęli, że przy rozszerzaniu morza terytorialnego do 12 mil NRD zastosowała inne zasady w odniesieniu



Fregata Volksmarine NRD w czasie próby zablokowania Szczecina w 1988 r.

do RFN i Danii, nie obejmując nim wodnych torów podejściowych do Lubeki i Gedser, oraz że uzasadniała to obawą o powstawanie incydentów zbrojnych z udziałem okrętów państw NATO, co zagrażałoby interesom obronnym Układu Warszawskiego.

4. Nawiązując do mojej uwagi, iż strona NRD próbuje dać nam do zrozumienia, jakoby jej stanowisko zyskało poparcie ZSRR, tow. W. Łoginow stwierdził wręcz: „Nikt w ZSRR nie przyznaje racji stanowisku NRD”. Generalnie biorąc, uważają, że w przypadku roźbieżności między państwami socjalistycznymi powinno się prowadzić rozmowy do osiągnięcia zgodnego rozwiązania. Jeżeli natomiast niemożliwe jest dojście do wspólnych uzgodnień, sprawę należy odłożyć (podobnie jak w problemie macedońskim bądź stosunkach węgiersko-rumuńskich). Dodał przy tym, że podobnie wypowiedział się wobec Wiceministra SZ NRD – H. Krolikowskiego, który skarżył się na „upór i nieustępliwość” strony polskiej w omawianej kwestii. (...)

2. Wnioski:

a) szczegółowe poinformowanie towarzyszy radzieckich o naszym stanowisku i argumentacji było nie tylko potrzebne, ale wręcz konieczne. Pozwoliło ono uzmysłowić rozmówcom wagę, jaką Polska przywiązuje do całego kompleksu spraw związanych z rozgraniczeniem obszarów morskich z NRD, a także skorygować jednostronne, wypaczone informacje, jakie przekazywała NRD;

b) argumentacja nasza została dobrze przyjęta przez towarzyszy radzieckich, co wyrażało się zwłaszcza

w podkreślanu przez wszystkich rozmówców pełnego zrozumienia dla stanowiska Polski i jej dotychczasowych działań dla rozwiązania tej kwestii. Tym samym osiągnięty został zakładany cel rozmów.

Pilna Notatka Ministra Spraw Zagranicznych PRL, Mariana Orzechowskiego, z rozmów z Oskarem Fischerem, Ministrem Spraw Zagranicznych NRD

w sprawie rozgraniczenia obszarów morskich między Polską i NRD, 9 listopada 1987 r.

9 bm., zgodnie z decyzją tow. gen. W. Jaruzelskiego, odbyłem rozmowy w Berlinie z tow. O. Fischerem w sprawie rozgraniczenia obszarów morskich między Polską i NRD. Rozmowy przeprowadziłem na spotkaniu w cztery oczy oraz na wniosek O. Fischera na sesji plenarnej. Ze strony polskiej uczestniczył tow. E. Kucza, kierownik Wydziału Zagranicznego KC PZPR, amb. J. Obodowski i eksperci MSZ. Ze strony NRD – eksperci z MSZ i kierownik sektora polskiego w Wydziale Zagranicznym KC NPSJ oraz dwóch wyższych oficerów.

1. Punktem wyjścia do rozmów były projekty dwóch umów przekazanych amb. Obodowskiemu w Berlinie 6 bm. w sprawie żeglugi z i do portów w Świnoujściu i Szczecinie oraz ustanowienia kotwiczowiska „na wodach terytorialnych NRD w celu zapewnienia żeglugi” do tych portów. W komentarzu do przekazanych projektów umów O. Fischer, nawiązując do ducha szerokiej i dobrze rozwijającej się współpracy oraz pomyślnej realizacji

ustaleń spotkań przywódców obu naszych krajów, wyjaśnił, że NRD jest gotowa do przekazania Polsce nieograniczonych praw korzystania z kotwiczowiska Nr 3 (w nowej lokalizacji) i północnego toru podejściowego. Umowy w tych sprawach byłyby zawarte na czas nieograniczony i nie podlegałyby wypowiedzeniu. W odpowiedzi na moje pytania wyjaśnił, że zarówno tor północny, jak i kotwiczowisko Nr 3 znajdowałyby się na NRD-owskich wodach terytorialnych. Szczegółowe postanowienia tych umów mogłyby być, według niego, dopracowane przez ekspertów.

2. (...) Podkreśliłem, iż przy rozstrzygnięciu tego problemu powinniśmy zdecydować o głównej kwestii, tzn. o rozgraniczeniu naszych wód terytorialnych, i w związku z tym określeniu zakresu rozciągania się suwerenności obu państw na wodach Zatoki Pomorskiej. Wskazałem, że przedstawione propozycje NRD nie mogą być podstawą uregulowania, gdyż zakładają uznanie przez stronę polską jednostronnych zarządzeń Rady Ministrów NRD rozszerzających wody terytorialne NRD do 12 mil i objęcie nimi polskich torów wodnych i kotwiczowiska Nr 3. Podkreśliłem, że nie kwestionujemy prawa NRD do rozszerzania pasa wód terytorialnych do 12 mil, ale nie może to naruszać polskich historycznych praw do nieograniczonego dostępu portów w Szczecinie i Świnoujściu do morza otwartego, co zostało zagwarantowane w Umowie Poczdamskiej i Układzie Zgorzeleckim. Zwróciłem uwagę, że rozszerzając swe wody terytorialne, NRD dąży do zajęcia ▶

► polskich torów wodnych, a nie zajęła torów wodnych prowadzących do portów przeciwników klasowych naszych państw – Lubeki (RFN) i Gedser (Dania).

Przypominałem, że strona polska nie uznała i nie uznaje jednostronnych zarządzeń NRD dot. podziału żeglugi w Zatoce Pomorskiej.

3. W odpowiedzi O. Fischer podtrzymywał swoje zasadnicze stanowisko, iż NRD gotowa byłaby udzielić Polsce szerokich uprawnień korzystania z północnego toru wodnego i kotwiczowiska Nr 3 (nieograniczone korzystanie, umowa bezterminowa i bez prawa wypowiedzenia przez strony), ale znajdujących się na NRD-owskich wodach terytorialnych. Podkreślił jednocześnie, że nasze rozmowy wskazują, iż obie strony nie będą naruszać swoich suwerennych praw, natomiast „utrzymują się różnice poglądów co do tego, gdzie zaczyna się suwerenność jednego państwa, a kończy drugiego”. (Jest to sformułowanie wskazujące na możliwość prowadzenia z NRD dalszych rozmów w kluczowej sprawie podziału suwerenności nad wodami Zatoki Pomorskiej do 12 mil). Apelowat jednocześnie o utrzymanie dalszego spokoju wokół tej sprawy. Wskazywał, że rozwiązując sprawę w Zatoce Pomorskiej, NRD musi uwzględniać potrzebę

uzasadnienia tego wobec własnej i międzynarodowej opinii publicznej. Widząc, że nie możemy osiągnąć zasadniczego rozstrzygnięcia, wyraził gotowość kontynuacji rozmów na szczeblu ministrów spraw zagranicznych w Warszawie, najdogodniej po 12 grudnia br.

Ustosunkowując się do stanowiska rozmówcy, wskazałem, że ujawnione w rozmowach różnice dotyczą spraw zasadniczych i wymagają decyzji kierownictw politycznych. Dlatego przypominałem o celowości doprowadzenia do spotkania tow. J. Czyrka z tow. O. Axenem w Warszawie, które zdecydowałoby o zasadniczej kwestii. Potem mogłyby nastąpić rozmowy ministrów. (...)

Ocena i wnioski:

1. Rozmowy pozwoliły na pełne przedstawienie naszego stanowiska i wyjaśnienie pozycji NRD, która dąży do narzucenia stronie polskiej rozwiązań na bazie uznania przez nas pełnej suwerenności NRD nad jednostronnie rozszerzonym pasem wód terytorialnych, obejmującym polskie tory wodne prowadzące do Szczecina i Świnoujścia i kotwiczowisko Nr 3.

2. (Nowa lokalizacja tego kotwiczowiska wymagałaby nakładów finansowych wynoszących ok. 14 mld zł).

W swej taktyce NRD dąży do przeciągania rozmów i dyskusowania

spraw szczegółowych, uchylając się jednocześnie od kompromisowego rozstrzygnięcia zasadniczej sprawy rozgraniczenia wód terytorialnych.

3. Proponuję w związku z tym:

a) uzyskać w ciągu 2 dni odpowiedź strony NRD w sprawie terminu spotkania tow. tow. Czyrek-Axen;

b) w razie odmowy odbycia takiego spotkania lub gdyby spotkanie nie dało zadowalających wyników, upoważnić rząd do ogłoszenia optymalnej redy zespołu portowego Szczecin-Świnoujście, co wzmocniłoby nasze pozycje prawne i wychodziłoby naprzeciw postulatowi opinii społecznej Pomorza Zachodniego;

c) przy najbliższym pobycie tow. J. Czyrka w Moskwie poinformować tow. radzieckich o przebiegu rozmów w NRD ze wskazaniem na nasze daleko idące kompromisowe stanowisko i całkowity brak elastyczności NRD.

Informacja wewnętrzna Polskiej Agencji Prasowej, Szczecin 19 marca 1988 r.

Według informacji uzyskanej od dziennikarza Polskiego Radia w Szczecinie, 17 marca br. po długotrwałej bezincydentowej przerwie w Zatoce Pomorskiej, kanonierka NRD ingerowała w stosunku do polskiego statku handlowego m/s „Narwik”, który, powracając z rejsu z Morza Północnego, znalazł się na kotwiczowisku przed wejściem do portu w Świnoujściu. Zwrócono uwagę kapitanowi statku, że znajduje się na wodach terytorialnych NRD. Podobna ingerencja w tym samym dniu miała miejsce wobec innej polskiej jednostki o nieustalonej nazwie. Według tego samego źródła informacji, na wieść o ingerencji jednostki wojennej NRD wyszły z portu świnoujskiego demonstracyjnie polskie jednostki marynarki wojennej. Kanonierka NRD miała opuścić wody kotwiczowiska.

Ingerencja strony NRD-owskiej na kotwiczowisku podejściowym miała miejsce na dwa dni przed manifestacją patriotyczną w Świnoujściu pod hasłem: „Tutaj zaczyna się Polska – morze, wiernie będziem ciebie strzec”. „Przegląd”, 21.06.2001

* *Konflikt w Zatoce Pomorskiej 1987-1989*, red. Paweł Dybicz i Grzegorz Soltysiak, Warszawa 2007.

Autorzy PRZEGŁĄDU w niezwyklej trylogii

Dokumenty z kraju i emigracji obnażają nieudolność rządów sanacyjnej elity

KTO ODPOWIADA ZA KŁĘSĘ WRZEŚNIOWA 45 zł

JAKA POLSKA PO WOJNIE? 44 zł

ANI SANACJA, ANI SOWIEKA

Obietnice partii i środowisk politycznych w okupowanym kraju i Londynie

Gdy Polacy się kłócili, Stalin z Churchilllem zadecydowali o losach Polski

JAKA POLSKA PO WOJNIE? OD MANIFESTU PKW DO JALTY 46 zł

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

PAKIET
135 zł 115 zł

Piotr Kimla

Zaakceptować siebie

Stale aktualne przesłanie Karskiego brzmi: zaakceptujcie status średniego państwa

Poruszyła mnie sztuka teatralna „Zapamiętaj. Świadek Jana Karskiego” z wybitną rolą Davida Strathairna. Moje studia teatrologiczne zakończyły się jednak zbyt szybko, bym mógł i chciał wchodzić w parady fachowcom od teatru. Chcę mówić „po kompetencjach”, czyli o polityce.

O Janie Karskim dużo się w Polsce pisało, pisze i, sądzę, będzie pisać. Przyklaskuję temu. Ale można odnieść wrażenie, że w tych wypowiedziach umyka sedno sprawy – jego najważniejszy przekaz wy stosowany do Polaków. Stale aktualne przesłanie polityczne Karskiego brzmi: starajcie się patrzeć na siebie we właściwych proporcjach, zaakceptujcie siebie, zaakceptujcie status średniego państwa. Także średnie państwa mogą odgrywać istotną i pozytywną rolę w systemie międzynarodowym, o ile znajdą dla siebie adekwatne miejsce i użyteczną funkcję. A przede wszystkim – o ile się nie wygłupiają, przybierając pozę wielkiego mocarstwa. O ile nie symulują siły, której nie mają. Symulowanie takie jest wyłącznie błaznada. Pustą gestykulacją wywołującą równie pusty śmiech.

Nie tylko zatem pojedynczy ludzie czasami popadają w próżność i wykazują skłonności do przeceniania siebie i własnej inteligencji, przypisywania sobie urojonego znaczenia. Podobnie rzecz może wyglądać w odniesieniu do całej zbiorowości, całego państwa. Tymczasem, jak przypomina Aleksander Bocheński, „w historii ludzkości było więcej narodów, które spotkała niewola i zacofanie, niż takich, które osiągnęły potęgę o zasięgu światowym, względnie kontynentalnym”. Innymi słowy, tylko nielicznym państwom udało się osiągnąć status mocarstwowy. Zazwyczaj przy nie lada szczęściu i sprzyjającym położeniu geograficznym. Znakomita większość musiała i musi się kontentować znacznie skromniejszą kondycją. Warto o tym pamiętać i nie pozwolić się omamiać propagandowym frazesom, w stylu „razem jest nas 80 mln”.

Lekkomyślność i brak czujności w tym względzie okazywały się dla nas w przeszłości bardzo kosztowne. Wiadomo, do jakiego stopnia w polskim społeczeństwie zostały rozbudzone fantasmagoryczne wyobrażenia na temat znaczenia i sprawczości Polski po 1918 r. Jak uderzenie obuchem muszą brzmieć w tym kontekście słowa Karskiego z jego studium „Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919-1945”: „Od wskrzeszenia Polski pod koniec I wojny światowej aż po jej zgon w następstwie II wojny światowej raz tylko dane było Polakom zdecydować samodzielnie o własnym losie. Było to podczas wojny polsko-bolszewickiej lat 1919-1920. (...) We wszystkich innych wydarzeniach Polska nie zdołała odegrać niezawisłej i skutecznej roli na arenie międzynarodowej, bez względu na sukcesy i błędy swojej polityki. W istocie los jej zależał od wielkich mocarstw – ich krótko- czy długodystansowych celów i wzajemnych stosunków. Polacy nigdy nie byli na tyle silni, aby zmienić tę rzeczywistość”. To wielkie mocarstwa zdecydowały w Teheranie o powojennej przynależności Polski do strefy wpływów ZSRR. Dlatego w styczniu 1944 r. Karski stwierdził bez ogródek, że Polska przegrała II wojnę światową. Nie zalał się łzami, tylko wyprowadzał z tego faktu wniosek, że wszystko, co Polacy powinni w tej sytuacji zrobić, to przegrać wojnę inteligentnie. Czyli zastosować zasadę oszczędności w stosunku do ludzi i do kultury materialnej. Wiemy, że polscy decydenci polityczno-wojskowi postąpili dokładnie na odwrót. Jak rzecz ujął Stefan Kisielewski, po dwóch miesiącach prowadzenia „polityki” przez ludzi „prostolinijnych a honornych” nie było miasta. Kisiel miał na myśli Warszawę. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że ze wszystkich państw biorących udział

w wojnie ponieśliśmy relatywnie największe straty osobowe. Jeśli chodzi o samą inteligencję, to utraciliśmy 39% lekarzy, 33% nauczycieli, 30% wykładowców uczelni, 28% księży, 26% prawników. W kontekście puszczonego mimo uszu przez polską klasę polityczną zaleceń Karskiego przychodzą do głowy słowa Władysława Studnickiego, który stwierdził kiedyś, że pośród Polaków zawsze byli ludzie roztropnie myślący o polityce. Ludzie, których wskazówki polityczne „zbawiłyby” naród, gdyby trwale osadziły się w zbiorowej świadomości. Tragizm dziejów Polski wyraża się w ignorowaniu uwag ludzi legitymujących się zmysłem rzeczywistości.

Zaakceptowanie statusu państwa średniego nie jest tożsame z polityką bez ambicji. Z niezrozumieniem, że siła jest wartością przechodnią. Z zamykaniem oczu na fakt, że silni nie na zawsze są silni, a słabi nie są skazani na wieczną słabość. Stosunek sił można zmienić. Możliwość zmiany stosunku sił przesądza zresztą o dynamice sfery politycznej i w dużej mierze ją definiuje. Państwo małe lub średnie musi jednak dążyć do korzystnej dla siebie zmiany w długim, ostrożnym procesie. Starać się przy tym nie zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. Ponieważ ma ograniczone zasoby, nie stać go na rozrzutność, na powetowanie strat wynikłych chociażby ze skrajnie nieodpowiedzialnych prób grania w nie swojej lidze. Paradoksalnie powinno mieć bardziej utalentowaną klasę polityczną niż wielkie mocarstwo. Mocarstwo stać czasami na popełnianie błędów przez bardzo długi okres bez widocznych konsekwencji. Na taki luksus z pewnością nie mogą sobie pozwolić mali i średni. Po 1989 r. Polska zainicjowała proces powolnego wzrastania w siłę. Ale od kilku ładnych lat cofamy się przy zadowoleniu 30% Polaków. ■

Rusycyści na cenzurowanym

Agresja Rosji na Ukrainę skomplikowała sytuację nauczycieli języka rosyjskiego i badaczy rosyjskiej literatury

Marek Książek

Wybuch wojny był szokiem dla całej Europy, a już na pewno dla prof. Iwony Ndiaye, kierującej Katedrą Literatury i Języka Rosyjskiego na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. – To był prawdziwy szok. Nie chciałam czytać i pisać po rosyjsku, nie widziałam sensu swojej dalszej pracy – wspomina. – Zwłaszcza gdy oficjalnie wprowadzono zakaz współpracy z instytucjami i ośrodkami z Rosji, z którymi od wielu lat realizowaliśmy wspólne projekty naukowe i edukacyjne. Brak tych kontaktów negatywnie odbija się również na kształceniu studentów i szkoleniu tłumaczy języka rosyjskiego.

Przed wojną katedra współpracowała z Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia w Warszawie, do którego zgłaszała różne projekty i skąd otrzymywała dofinansowanie. Na przykład na przygotowanie wystawy „Iwan Bunin w Polsce”. Wystawa, popularyzująca wiedzę o laureacie Literackiej Nagrody Nobla z 1933 r., została opracowana przy wsparciu znawców twórczości Bunina, w tym prof. Tatiany Marczenko z Domu Rosyjskiej

trzeba było zawiesić. A doprawdy Bunin, który sam opuścił Rosję po przewrocie bolszewickim, skazując się na nędzny los emigranta, ma niewiele wspólnego z Putinem i jego agresywną polityką wobec Zachodu. Tak jak inni emigracyjni pisarze rosyjscy, o których prof. Iwona Ndiaye pisze od dawna. Od 30 lat tłumaczy utwory literackie i wydaje monografie, chociaż po wybuchu wojny napotkała nowe bariery nie do pokonania.

Z przekory

Została rusycystką, choć we wczesnej młodości nie cierpiała rosyjskiego, a właściwie nauczycielki, która próbowała uczyć tego obowiązkowego wówczas języka w szkole podstawowej w Żyrardowie. Jej bunt, jak dzisiaj wyjaśnia, wynikał z tego, że pani od rosyjskiego nie miała odpowiedniego przygotowania pedagogicznego ani pojęcia o dydaktyce języka obcego. Po skończeniu podstawówki Iwona poszła

Na uniwersytecie w Lyonie wykładałam po rosyjsku.

Zagranicy im. Aleksandra Sołżenicyna w Moskwie. Olsztyńska uczelnia jest ważnym ośrodkiem badań z dziedziny emigrantologii (nauki o literaturze i kulturze emigracyjnej), powstało tam kilka tomów poświęconych Buninowi, a wiele tekstów zostało przetłumaczonych na język polski po raz pierwszy. Ale gdy odgórnie zalecono wstrzymanie kontaktów z Rosją, dalsze prace badawcze

nie do liceum ogólnokształcącego, jak jej koleżanki, ale do technikum elektronicznego. Od tej pory utrzymywała się za własne pieniądze zarobione m.in. przy zbieraniu truszkówek i jabłek. Ale w szkole średniej znów walczyła z rusycystką, nie podając się jej przemożnej chęci wpojenia słówek i zasad gramatycznych obcego, aczkolwiek brzmiącego znajomo języka. Po maturze poszła,



Prof. Iwona Anna Ndiaye zajmuje się rosyjską literaturą emigracyjną.

z przekory, nie na politechnikę, lecz na... filologię rosyjską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie. Dlaczego tam? Bo chciała być daleko od domu, a Olsztyn jej się podobał.

Zaczęła studia w 1986 r. Pierwszy rok był trudny. Miała wprawdzie duże braki lingwistyczne, ale przetrwała, a mgr Julia Janukowicz przepuściła ją na drugi rok. Iwona z tej szansy skorzystała, przyłożyła się do nauki na tyle, że na koniec była jedną z dwóch absolwentek, którym na WSP zaproponowano asystenturę. Tak sama stała się rusycystką.

Pod egidą Puszkina

Odnalazła się w rosyjskiej literaturze emigracyjnej. Jeden z pierwszych

staży odbyła u prof. Floriana Nieuważnego na Uniwersytecie Warszawskim. W archiwach biblioteki uniwersyteckiej i Biblioteki Narodowej natrafiła na mnóstwo materiałów o emigracji rosyjskiej w okresie II Rzeczypospolitej. Zwieńczeniem tego zainteresowania była pierwsza w Polsce monografia Dymitra Filosofowa, mieszkającego i publikującego w Warszawie. Opracowanie jego twórczości trwało wiele lat; prof. Ndiaye przygotowuje do druku czterotomowe wydanie publicystyki tego Rosjanina, dla którego Polska okazała się schronieniem na resztę emigracyjnego życia.

Po raz pierwszy o publicystyce Filosofowa pani Iwona pisała ponad 20 lat temu, jeszcze jako dr Obłąkowska-Galanciak, wówczas prodziekan ds. studiów dziennych Wydziału Humanistycznego UWM. Później pełniła inne funkcje, w tym kierownika studiów podyplomowych dla tłumaczy języka rosyjskiego w zakresie przekładu sądowego i prawniczego. Sama zresztą jest tłumaczem przysięgłym. Kieruje również olsztyńską filią partnerskiej sieci o nazwie Instytut Puszkina w Moskwie – zajmuje się on nauczaniem obcokrajowców języka rosyjskiego (w różnych dziedzinach, np. medycynie i biznesie) i kształci kadrę pod tym kątem. Dzięki instytutowi cudzoziemcy mogą korzystać z rosyjskich archiwów, prowadzić badania naukowe, pisać doktoraty. Właśnie w Moskwie pani Iwona poznała Senegalczycza Barę, który robił doktorat z językoznawstwa rosyjskiego oraz studia podyplomowe z dziennikarstwa z francuskim językiem wykładowym. Wkrótce ich losy się połączyły, przyjęła nazwisko męża i ma z nim dwójkę dzieci, a Bara Ndiaye obronił habilitację w języku polskim i też pracuje na UWM.

Rosjanie na uczelniach francuskich

Sytuacja po napaści Putina na Ukrainę na tyle zakłóciła rytm pracy uniwersyteckich rusycystów, że obawiali się, czy uda im się stworzyć grupę na kierunku filologia rosyjska. O ile w większych miastach

młodzi myślą pragmatycznie i nie boją się epitetów w rodzaju „ruskie onuce”, o tyle w mniejszych można było się spodziewać ograniczonego naboru. Ale i w Olsztynie w zeszłym roku udało się stworzyć grupę 10-12 studentów, a tym samym zapewnić rusycystom pracę.

Co nie znaczy, że nie było innych kłopotów, chociażby w katedrze kierowanej przez Iwonę Ndiaye, od 2020 r. profesor tytułarną. Po pierwszym szoku wywołanym wojną prof. Ndiaye nie mogła znaleźć sobie miejsca. Tym bardziej że nie mogła odwiedzać znajomych ośrodków akademickich w Moskwie, Petersburgu, Tomsku, Permie, Rostowie nad Donem, Piątigorsku czy leżącego po sąsiedzku z Warmią i Mazurami obwodu kaliningradzkiego. Nie ma wyjazdów na praktyki studenckie w ramach Erasmusa, nie ma współpracy z uczelniami ani kontynuowania pracy badawczej w rosyjskich miastach. Pani profesor zdecydowała się zatem wyjechać na staż do Francji, by zobaczyć, jaka jest w wojennej sytuacji kondycja slawistyki na Zachodzie.

– Okazało się, że funkcjonujemy w różnych rzeczywistościach – opowiada Iwona Ndiaye. – Na uniwersytecie w Lyonie wykladałam po rosyjsku na kierunkach literatura, język, cywilizacja, odpowiadających naszym filologom. Rosjanie tam wykładają, biorą udział w seminariach naukowych, do bibliotek dociera bieżąca prasa, a rosyjska proza cieszy się zainteresowaniem czytelników, i to na całym Zachodzie. Co ciekawe, zaraz po wybuchu wojny w witrynach francuskich księgarni pojawiły się powieści m.in. Lwa Tołstoja i Fiodora Dostojewskiego. Bo przecież to klasyka światowa!

Szlaban na wydawnictwa

Literaturę światową, było nie było, reprezentuje również Vladimir Nabokov, autor „Lolity”, sam z wykształcenia romanista i... rusycysta. Jego monografia, pod redakcją Iwony Ndiaye i Natalii Nesterowej, specjalistki z uniwersytetu w Permie

pod Uralem, miała się ukazać nakładem wydawnictwa UWM w ramach współpracy między uczelniami. W przygotowaniu był też drugi tom, zatytułowany „Nostalgia – mioty, losy i literackie doświadczenie rosyjskiej emigracji”, pod redakcją pani Iwony. I oto 5 maja zeszłego roku prof. Ndiaye otrzymała z wydawnictwa pismo informujące, że „na podstawie zaleceń Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, a także stanowiska Kolegium Wydawniczego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie rekomenduje się zawieszenie

Na Zachodzie język rosyjski nie jest postrzegany w aspekcie politycznym.

na czas nieokreślony współpracy z instytucjami naukowymi i szkolnictwa wyższego, uczelniami oraz ośrodkami badawczymi Federacji Rosyjskiej i Republiki Białorusi”. Dalej przeczytała, że ma to zastosowanie do wszystkich czasopism oraz monografii i podręczników naukowych „w stosunku do wszystkich osób afiliowanych w wyżej wymienionych instytucjach”. I tym samym obie pozycje „nie mogą być obecnie złożone, przygotowane do druku i opublikowane”.

Co dalej? Pani profesor zdaje sobie sprawę, że nadzwyczajna sytuacja wymusza radykalne zmiany w nauce. Trzeba więc zacząć współpracę z jednostkami naukowymi o podobnym profilu, ale na Zachodzie. Jak można założyć, będzie się z nimi porozumiewała w języku rosyjskim, który na Zachodzie nie jest postrzegany w aspekcie politycznym. Prof. Ndiaye uważa, że na świecie jest miejsce dla języka każdego narodu. Dlatego ma nadzieję, że w nauce powróci normalność i będzie mogła bez ograniczeń kontynuować badania slawistyczne, obejmujące kulturę krajów, narodów i języków słowiańskich, w tym rosyjskiego. I prędzej czy później, choć może już nie w takim wymiarze jak wcześniej, również w Polsce ten język stanie się pełnoprawny. Taka jest w świecie kolej rzeczy. ■

Bronisław Tumitowicz

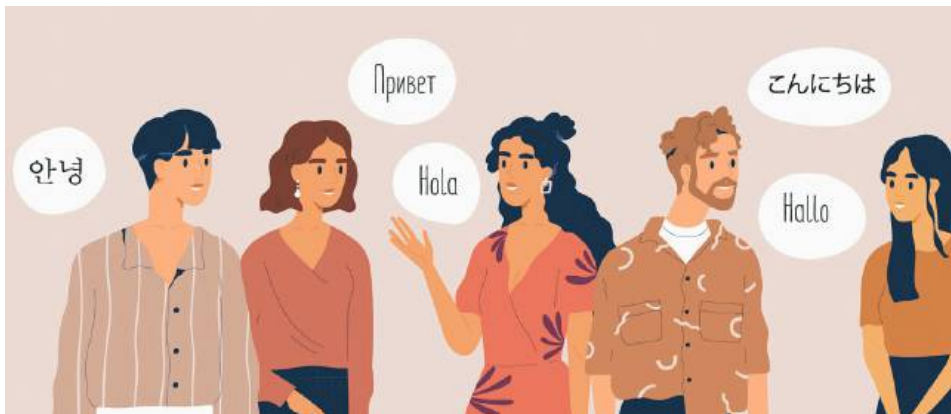
Im człowiek młodszy, tym bardziej światowy. Już 63% pracowników z grupy wiekowej 18-24 lata używa języka obcego w swoim mieście zatrudnienia. Wśród starszych, w wieku 45-65 lat, tylko 36%. Dane wskazują, że polski rynek pracy zyskał nowe oblicze: używanie obcego języka w młodszych pokoleniu staje się standardem.

Zaczynaliśmy prawie od zera

W ostatnich dekadach w kwestii uczenia się języków obcych i ich znajomości zaszły w Polsce wręcz kolosalne zmiany. Starsi pamiętają, jak w piątej klasie podstawówki zaczynała się obowiązkowa nauka języka rosyjskiego, a dopiero w pierwszej klasie liceum do rosyjskiego, który wciąż był obowiązkowy i nieco lekceważony, można było sobie dobrać jeszcze jeden język obcy, tzw. zachodni, np. angielski, francuski lub niemiecki. Potem na studiach znajomość dodatkowego języka miały podtrzymywać bądź rozwijać lektorały. Jednak i to traktowano raczej jako sprawę drugoplanową. Nie zdarzyło się chyba, aby ktoś nie mógł ukończyć studiów z powodu złej oceny z języka obcego.

Taki stosunek do uczenia się języków pozostał w szkolnictwie wyższym do dziś. Krąży anegdota o tym, jak swobodnie podchodziło się do wymagania dobrej znajomości języka obcego nawet od kandydatów do stopnia doktorskiego. Dziekan pyta swojego asystenta: – Byłeś w Londynie? To przeprowadzisz egzamin dla doktorantów z angielskiego. – Ale ja... yyy... nie jestem orłem. – I bardzo dobrze – odpowiada dziekan. – Jeśli kandydat będzie lepszy od ciebie, dasz ocenę bardzo dobrą, jeśli na twoim poziomie – ocena dobra, a jeśli będzie słabszy, to wstawiś dostateczny. I tak to pozostało w pokoleniu 50+.

Dziś z językiem angielskim dzieci stykają się już w przedszkolu czy w zerówce pod postacią zabawy. Formalnie nauka mowy Szekspira zaczyna się w klasie pierwszej.



Młodzi poligloci

Używanie języka obcego w pracy dla młodszego pokolenia staje się standardem

Dzieciom pokazuje się jakieś obrazki, próbując im przypisać odpowiednie nazwy. Nie za wiele z tego wynika także w drugiej i trzeciej klasie. Ale podstawówka trwa osiem lat, a w siódmej klasie do tego pogłębianego angielskiego dochodzi drugi język nowożytny, np. niemiecki, francuski, hiszpański, włoski, może nawet rosyjski. A potem jest egzamin ósmoklasisty, na którym poziom angielskiego jest dosyć precyzyjnie sprawdzany – jest zadanie do wystąpienia, zadanie do napisania, zadanie na rozumienie podanego tekstu i takie, które sprawdza poprawność gramatyczną, oraz test polegający na znalezieniu właściwej odpowiedzi na pytanie. Ale to jeszcze nie jest biegła znajomość języka w mowie i piśmie, tylko lepiej lub gorzej ugruntowane podstawy. Główny problem wynika z tego, że uczniowie na co dzień nie mają możliwości rozmawiania np. po angielsku.

Weekend z językiem

Aby przenieść znajomość stówek na poziom praktyczny, wiele szkół podstawowych organizuje dla uczniów wymianę z zagraniczną młodzieżą. Zofia Cudak, germanistka

z podwrocławskiej szkoły, opowiada, że na Dolnym Śląsku uczniowie czasem jeżdżą do Niemiec w ramach tzw. euroweekendów. Tę formę unieważnił na dwa lata covid, a Niemcy w kwestiach epidemicznych są wciąż bardzo drobiazgowi i ostrożni. Z nabytych już doświadczeń wynikało, że uczniowie niemieccy niekiedy słabiej znają angielski od polskich. Z kolei polscy uczniowie, nawet prymusi, są tak zestresowani, że początkowo nie mogą wydusić z siebie słowa po angielsku. Jeden z nich przez trzy dni jadł tylko chleb i popijał wodą, bo odpowiadał przecząc na pytania, czy chce szynki, a może sera, a może dżemu? Okazuje się, że lepiej na takich kontaktach wychodzą dzieci może mniej zdolne, ale bardziej przebojowe.

Po podstawówce spora część trafia do liceów, a tutaj już obowiązkowe są dwa języki nowożytne, angielski po ośmiu latach nauki i drugi – po dwóch latach. Czy ta nauka przynosi dobre efekty? Na pewno nie u wszystkich, ale są jeszcze rodzice. Jeśli kierują się osobistymi ambicjami i są zasobni, to wiedzą, że umiejętności językowe trzeba szlifować albo u prywatnego korepetytora, albo w jednej z licznych szkół językowych. To wszystko kosztuje – w ubiegłym



roku 80 zł za godzinę w najtańszej ofercie. Dorośli wiedzą jednak, że umiejętności językowe dziecka to kapitał na resztę życia. Dlatego uczenie i doskonalenie kompetencji językowych stało się prężną dziedziną biznesową, istnieją dziesiątki firm i szkół językowych, które np. w wakacje organizują obozy z native spikerami.

A po maturze co zdolniejsi i bardziej przebojowi mogą korzystać z Erasmusa na studiach. Nie jest wykluczone, że ten sukces grupy wiekowej 18-24 lata jest zasługą unijnego programu wspierającego kształcenie, szkolenie, młodzież i sport. Dla naszych studentów uczestnictwo w Erasmusie oznacza najczęściej półroczne staże na zagranicznych uczelniach, które zmuszają do większej aktywności, w tym szlifowania kwalifikacji językowych.

Bez angielskiego ani rusz

Wróćmy na rynek pracy. Oczywiście nie tylko wiek wpływa na praktyczne używanie języków obcych w dorosłym życiu. Znaczenie ma zdobyte wykształcenie czy miejsce zamieszkania. Miejsca pracy stają się coraz bardziej kosmopolityczne. Badanie preferencji językowych przeprowadziła działająca również w Polsce międzynarodowa firma Babel zajmująca się edukacją lingwistyczną. Wynika z nich, że używanie języka obcego w pracy zadeklarowało 48% wszystkich badanych. Im starsza grupa respondentów, tym rzadsze porozumiewanie się w innym języku niż polski. Co czwarty ankietowany używa języka obcego przynajmniej trzy-cztery

razy w tygodniu. Najczęściej pracownicy mówią w języku angielskim (83%), a ostatnie globalne i krajowe wydarzenia sprawiły, że na miejscu drugim uplasował się język ukraiński (6%). Podium zamyka język niemiecki (5%).

Zrozumiałe jest, że osoby z wyższym wykształceniem najczęściej deklarują wykorzystywanie języka obcego w swoim miejscu zatrudnienia (63%), natomiast niemal trzy czwarte (72%) osób z wykształceniem podstawowym lub zawodowym przyznaje, że w ogóle go nie używa. Widać też, że tendencje światowe czy europejskie w wykorzystaniu umiejętności językowych najczęściej przejawiają mieszkańcy regionu południowo-zachodniego, a najrzadziej – z regionu wschodniego.

– Obecność Polski w Unii Europejskiej, swoboda podróżowania i – dzięki nowoczesnym technologiom – świat na wyciągnięcie ręki to czynniki, które zachęcały nas do nauki języków obcych. Coraz więcej osób znakomicie mówi po angielsku czy niemiecku i ma ambicje, by opanować jeszcze jeden język. Ponadto obecność zagranicznych firm w Polsce i kontakty handlowe z partnerami w różnych krajach wymuszają na pracownikach rozwój kompetencji językowych. Nasze najnowsze badania tylko to potwierdzają. Według nich rośnie liczba młodych ludzi, którzy od niedawna znajdują się na rynku pracy i już używają języka obcego na co dzień – zauważa Piotr Wojsznis, ekspert językowy Babel. Firma ta kusi chętnych sprytnym sloganem reklamowym – spośród ankietowanych 45 tys. uczestników kursów językowych na

świecie aż 73% stwierdziło, że potrafi przeprowadzić prostą rozmowę w innym języku już po pięciu godzinach nauki. Oczywiście nie zapytano, co się rozumie pod pojęciem „prosta rozmowa”.

Szkoła, kursy, internet, gry, kontakty osobiste

Nie wszystkie umiejętności językowe wynikają z wkuwania słówek czy reguł gramatycznych. Są też przyjemniejsze, zbliżone do zabawy instrumenty szlifowania formy, np. gry komputerowe. A dla pracodawcy ważny jest nie papiererek poświadczający ukończenie kursu językowego, tylko otwarta postawa pracownika. Jego umiejętności lingwistyczne to klucz do nowych możliwości zawodowych. Dziś rozwój językowy następuje niemal naturalnie: bardzo dużo można się nauczyć z internetu i mediów społecznościowych. Zacofana jest natomiast telewizja, która do wszystkich obcojęzycznych filmów dokłada polski głos lektora. A np. w Finlandii dodaje się tylko napisy. Tak często krytykowana ze względu na ideologiczne wielokulturowość również zaczyna być standardem, szczególnie w globalnych korporacjach czy centrach usług biznesowych. I tu coraz częściej obok młodych Polaków zaczynamy zauważać młodych, wykształconych Ukraińców.

Bo oczywiście nic nie zastąpi dobrej szkoły i o nią warto się dopominać. Skuteczność kształcenia językowego widać po uczniach, którzy przyjechali do Polski z Ukrainy. Trafiając do szkoły, mają oni już na starcie pięć godzin tygodniowo lekcji języka polskiego z polskimi dziećmi oraz dodatkowo pięć godzin tygodniowo lekcji polskiego dla Ukraińców. Lekcje języka angielskiego tak samo wchodzi do ich programu nauczania i w siódmej klasie podstawówki dochodzi drugi język nowożytny. Jeśli to wszystko jest na dobrym poziomie, niewykluczone, że ukraiński absolwent szkoły podstawowej będzie mówił i pisał po polsku lepiej niż średnio pracowity Polak. Dzieciom nauka języka przychodzi dużo łatwiej niż dorosłym. ■

Marcin Ogdowski

Jako urodzony w „środkowym Gierku” wezwanie z wojskowej komendy uzupełnień odebrałem w połowie lat 90. Armia była w trakcie „humanizacji”, budżet państwa zaś w marnym stanie, wymuszającym cięcia wydatków. Zimna wojna przebrzmiała, wojsko w dotychczasowym kształcie powszechnie uchodziło za zbędne. Kasowano jednostki i sprzęt, służbę zasadniczą skrócono z 24 do 18, a następnie do 12 miesięcy (później nawet do dziewięciu, ale to już w innej epoce). Mimo to wśród młodych mężczyzn o „zetce” nadal mówiło się jako o przerwie w życiu, armię określając mianem „syfu”. „Naprawdę chcesz iść do syfu?!” pytali mnie zdumieni koledzy. Chciałem. Planowałem odbyć służbę zasadniczą, a potem – jak to się wówczas mówiło – „na stałe zaćpieć się w wojsku”. Życie chciało inaczej, ale wtedy – wiosną 1995 r. – należałem do mniejszości w gronie poborowych – tych, którzy „nie kombinowali”.

Niepożądany ślad w papierach

Kombinowano na różne sposoby, najmniej wyrafinowanym, ale i najpewniejszym, była łapówka. W „moich czasach” przede wszystkim pieniądze – wraz z kresem socjalistycznej „gospodarki niedoboru”

W tym roku kwalifikacja potrwa do 21 lipca, obejmując przede wszystkim mężczyzn z rocznika 2004.

wziątki typu świńska półtusza straciły rację bytu. A i apetyty się zaostriły. Do przekupywania członków komisji dochodziło z rzadka, zwykle mechanizm korupcyjny wprawiany był w ruch na etapie gromadzenia „mocnych papierów”. Najlepiej, i najczęściej, medycznych. Nie mieliśmy internetu, ale adresy zaprzyjaźnionych lekarzy zdobywało się bez trudu. Gwoli uczciwości należy wspomnieć o nielicznych medykach, którzy wystawiali zaświadczenia za darmo, traktując tę działalność jako

Już nie pobór, ale kwalifikacja

Emocje nie te, jednak wciąż trochę strach stawać przed komisją wojskową. Bo a nuż wezmą na ćwiczenia

rodzaj obywatelskiej powinności. W cenie były świadectwa leczenia chorób serca, nerek, kręgosłupa, potwierdzające wady wzroku i słuchu, im gorsze, tym lepiej. Dobrze było mieć kwity na schorzenia neurologiczne (np. padaczkę), najlepiej – z uwagi na kłopotliwą weryfikację – tzw. żółte papiery. Choroby psychiczne wybornie sprawdzały się w kasowaniu z listy poborowych.

Tak radykalna metoda nie tylko wymagała dysponowania odpowiednimi funduszami, ale również pozostawiała ślad w papierach. Urzędowo potwierdzone choroby czy uzależnienie (niemało poborowych udawało narkomanów lub alkoholików) mogły w przyszłości odbić się czkawką, np. podczas starań o pracę. Stąd inne sposoby, niekiedy desperackie, jak próby samookaleczeń. Złamana ręka lub noga w końcu się zrastały, więc dawały jedynie czasowe odroczenie.

W efekcie w ostatnich latach „zetki” do „woja” trafiały dwa rodzaje rekrutów. Fascynaci, z których część traktowała służbę jako bramę do zawodowstwa, oraz ci, którzy z braku życiowej zaradności nie potrafili się wykpić. Problemy szkoleniowe i wychowawcze, jakie ów stan rzeczy generował, zasługują na odrębny artykuł.

Szeroki oddźwięk w internecie

A jak jest dziś? Powszechnego poboru nie ma – zawieszono go w 2008 r. Od zeszłego roku nie ma również wojskowych komend uzupełnień – zastąpiły je centra rekrutacyjne. Wprowadzona w marcu 2022 r. Ustawa o obronie Ojczyzny wyróżnia kilka rodzajów służby ochotniczej – w tym dobrowolną (i odpłatną), 12-miesięczną „zetkę”. Wojsko jest zatem dla chętnych – zainteresowanych służbą na stałe bądź na jakiś czas – ale to nie znaczy, że armia rezygnuje z budowania rezerw.

Byli zawodowcy i ochotnicy to za mało, żeby myśleć o odpowiednio liczным rozwinięciu mobilizacyjnym sił zbrojnych na czas wojny lub kryzysu. Stąd konieczność ewidencjonowania zasobów ludzkich, zebrania informacji o stanie zdrowia obywateli pod kątem ich przydatności w armii. Służy temu rokroczna kwalifikacja wojskowa, która tym się różni od poboru, że nie skutkuje obowiązkowym wcieleniem. Objęci nią mężczyźni i wybrane grupy kobiet otrzymują cztery różne kategorie zdrowia (A, B, D, E – gradacja następuje w porządku alfabetycznym, od zdolnych po trwale niezdolnych). Kwalifikowani



nadający się do służby, bezwzględnie bądź w określonych warunkach, z nadanym stopniem szeregowego trafiają do tzw. rezerwy pasywnej. Nie otrzymują książeczek wojskowych i nie składają przysięgi.

W tym roku kwalifikacja ruszyła 17 kwietnia i potrwa do 21 lipca, obejmując przede wszystkim mężczyzn z rocznika 2004. Obowiązkowi kwalifikacji podlegają także kobiety i mężczyźni urodzeni w latach 1999-2004, z umiejętnościami zawodowymi przydatnymi w służbie wojskowej. Mowa tu m.in. o lekarzach, weterynarzach, psychologach, rehabilitantach, radiologach, diagnostach laboratoryjnych, informatykach, nawigatorach czy tłumaczach; specjalistach z już wydanymi dyplomami albo kończących edukację w bieżącym roku szkolnym/akademickim. W sumie, jak wynika z danych Ministerstwa Obrony, to 230 tys. osób – z racji wieku i cech społecznych bardzo aktywnych w cyfrowym świecie. O czym wspominam, bo okazuje się, że wezwania do centrów rekrutacji oraz doniesienia prasowe na temat kwalifikacji szeroko rezonują w internecie.

„Czy mogę nie stawić się przed komisją?”, „Co zrobić, żeby dostać kategorię E?”, „Czy kwalifikacja oznacza, że wezmą mnie do wojska?”, pytają internauci. W dyskusjach czuć nerwowość, trochę przypomina to atmosferę towarzyszącą niegdyś poborowi, choć warto zauważyć, że

jednym ze źródeł lęków jest widmo eskalacji rosyjsko-ukraińskiego konfliktu. Coś, czego „stare roczniki” rekrutów bać się nie musiały.

Ryzyko doprowadzenia siłą

Jednak nie o wojnę głównie chodzi, ale o bardziej przyziemne sprawy. Pasywna rezerwa ma się szkolić – na jak najczęstsze i najliczniejsze ćwiczenia naciska generalicja. Zgodnie z Ustawą o obronie Ojczyzny „pasywnych” można powołać na ćwiczenia jednodniowe i krótkotrwałe – trwające nieprzerwanie do 30 dni, długo-

Obowiązkowi kwalifikacji podlegają także kobiety i mężczyźni urodzeni w latach 1999-2004, z umiejętnościami zawodowymi przydatnymi w służbie wojskowej.

trwałe – trwające nieprzerwanie do 90 dni, rotacyjne – trwające łącznie do 30 dni i odbywane z przerwami w określonych dniach w ciągu danego roku kalendarzowego. Z reguły wojsko poprzestaje na ćwiczeniach krótkotrwałych, najczęściej dwutygodniowych. „Taka forma szkolenia spotyka się ze sporym oporem społecznym – pisze portal Trójmiasto.pl. – Przedsiębiorcy obawiają się o swoje biznesy, które będą musieli zostawić na czas ćwiczeń, również pracownicy etatowi, którym przysługuje na ten czas bezpłatny urlop, nie garną się do zamiany codziennych obowiązków

na kilka lub nawet kilkadziesiąt dni w jednostce. Potwierdzają to wyniki naszej ankiety. Internauci pytani o to, co by zrobili, gdyby dostali wezwanie na ćwiczenia, najczęściej wybierali opcję »wymagam się« (61% odpowiedzi)”.

Lokalne medium i społeczność? Tak, ale wyniki nie odbiegają od rezultatów profesjonalnych badań ogólnopolskich. 58,5% Polaków nie chce przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej – wynika z sondażu United Surveys dla RMF i „Dziennika Gazety Prawnej”, przeprowadzonego w lutym br. Po prawdzie MON nie ma takich planów, ale pytania o „zetkę” są papierkiem lakmusowym stosunku Polaków do powinności związanych z obronnością (tych wymagających założenia munduru).

Teoretycznie w 2023 r. wojsko może powołać na ćwiczenia nawet 200 tys. osób – tyle że to górny limit, tożsamy z zapisem obowiązującym w roku minionym. A czy w 2022 r. zapędzono na poligony 200 tys. rezerwistów? Nie, wojsko nie przedstawia dokładnych danych, ale wiadomo, że pula była dużo mniejsza. W 2023 r. zapewne też skończy się na kilku- lub kilkunastoprocentowym wykorzystaniu limitu. Dość zauważyć, że MON chciałoby w bieżącym roku w ramach dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej przeszkolić

niemal 29 tys. osób, a budżet ministerstwa z gumy nie jest, bazy szkoleniowej (i personelu) także nie da się z miesiąca na miesiąc pomnożyć.

Niezależnie od tych uwarunkowań warto mieć świadomość, że osoba, która nie stawia się na kwalifikację, może zostać doprowadzona przed komisję siłą, a sam czyn uznawany jest za wykroczenie i podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny. Z kolei niestawienie się na ćwiczenia rezerwy to ryzyko nie tylko kar pieniężnych, ale i trzech lat więzienia.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl



Szklane ściany, ruchome schody

Kobiety wciąż mają trudniej na rynku pracy.
Zresztą nie tylko w Polsce, właściwie na całym świecie

PROF. MAGDALENA MUSIAŁ-KARG

– politolożka, prodziekanka Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu

Rozmawiają Wojciech Harpula i Maria Mazurek

Dlaczego kobiety w Polsce zarabiają mniej niż mężczyźni?

– Odpowiadając najkrócej: bo wciąż mają trudniej na rynku pracy. Zresztą nie tylko w Polsce, właściwie na całym świecie.

A rozwijając myśl?

– Wciąż mamy do czynienia z poziomą i pionową segmentacją zawodową. Pozioma segmentacja dotyczy podziału sektorów gospodarki na męskie i kobiece. Praca w tych drugich jest zazwyczaj gorzej płatna i „mało prestiżowa”. Segregacja pionowa dotyczy z kolei sytuacji, w której kobiety mają utrudniony dostęp do awansu. Jeżeli statystycznie mężczyźni pracują w branżach o wyższych zarobkach i piastują wyższe stanowiska, to oczywiście

jest, że różnica w zarobkach będzie na ich korzyść.

Jaka to różnica?

– W zależności od metody badań – kilka, kilkanaście procent. Eurostat obliczył, że w 2020 r. kobiety w Polsce zarabiały o 4,5% mniej niż mężczyźni, ale już według Głównego Urzędu Statystycznego – aż o 14,7% mniej. Niektóre niepubliczne pracownie wskazują nawet na 20%. Tak czy inaczej: ktośkolwiek i jakkolwiek by liczył – kobiety zawsze zarabiają mniej. Przy czym oczywiście luka płacowa nie w każdej branży będzie taka sama. Z najmniejszymi różnicami mamy do czynienia w strefie budżetowej, gdzie pensje są wyznaczane dość sztywnymi regulacjami.

Prawie 62% pracowników budżetówki to kobiety. A w sektorze publicznym zarabia się średnio miesięcznie o 400 zł więcej niż w prywatnym. Ta okoliczność powinna działać na korzyść kobiet.

– Tylko że statystyki płac w sektorze prywatnym są zaniżane przez małe firmy handlowe, produkcyjne i usługowe, które oficjalnie płacą pensje równe lub nieznacznie wyższe od minimalnej, a resztę przekazują „pod stołem”. Zarobki w przedsiębiorstwach prywatnych – gdzie mężczyźni w ogóle i mężczyźni na dobrze płatnych stanowiskach jest więcej – w istocie są więc od lat wyższe niż średnie wynagrodzenia w budżetówce.

Poza tym kobiety w Polsce stanowią większość pracowników w branżach o najniższym przeciętnym wynagrodzeniu. W niedofinansowanym sektorze zdrowia i pracy socjalnej 80% pracowników to kobiety, w edukacji – niewiele mniej. Wszyscy wiemy, jak skromnie zarabiają pielęgniarki czy nauczycielki, choć przecież pełnią bardzo ważną

funkcję społeczną, a dodatkowo ich praca wymaga wysokich kwalifikacji. Mocno sfeminizowanymi sektorami są także gastronomia i hotelarstwo oraz pozostała działalność usługowa. Kobietom też trudno o awans. Badacze rynku pracy nazywają to zjawisko „lepką podłogą”.

Bo pracownice tkwią „przyklejone” do obecnej funkcji?

– Dokładnie. Do niskiej funkcji i niskich zarobków. Sprzątaczką, ekspedientką, fryzjerką, szwaczką, pracowniczką pomocy socjalnej, sekretarką, urzędniczką administracji, pielęgniarką i nauczycielką – w takich zawodach możliwości rozwoju zawodowego i awansu prawie się nie pojawiają. A nawet jeśli już się pojawiają, to kobiety widzą wokół siebie „szklane ściany” i „szklane ruchome schody”.

Częściej słyszy się o „szklanym suficie”.

– Ze „szklanym sufitem” mamy do czynienia, gdy kobiety natrafiają na „niewidzialne” bariery, które utrudniają lub wręcz uniemożliwiają im awans na najwyższe stanowiska kierownicze. I to pomimo że posiadają odpowiednią wiedzę, umiejętności, doświadczenie. Awansują w hierarchii i gdy już są o krok od szczytu, tracą szansę na zajęcie wyższego stanowiska. Najważniejsze funkcje w firmach są dla nich powyżej „szklanego sufitu”. Widoczne, ale nieosiągalne.

Zaraz. Aż 43% wszystkich menedżerów w Polsce to kobiety – to drugi wynik w Europie. Zostawiliśmy w tyle Europę Zachodnią, a nawet szczególnie wyczułona na kwestie równości Skandynawię.

– Ta liczba pokazuje, że Polki chcą się rozwijać i zdobywać kompetencje (i dobrze, bo dzięki temu mamy mocną bazę, z której mogą pochodzić przyszłe liderki firm). Tylko na razie droga awansu kobiet kończy się zazwyczaj na niższych stanowiskach menedżerskich. Im wyżej, tym gorzej. W Polsce kobiety stanowią jedynie 15% wyższej kadry zarządzającej – a to już 10% mniej niż w krajach nordyckich.

Powiedzieliśmy o szklanym suficie. A o co chodzi z pozostałymi „szklanymi” zjawiskami?

– Ze „szklanymi ścianami” mamy do czynienia, gdy kobiety są otoczone barierami, które uniemożliwiają

im przejście na stanowiska lepiej płatne i bardziej odpowiedzialne. Pełnią funkcje pomocnicze, peryferyjne czy administracyjne w stosunku do mężczyzn zajmujących stanowiska kierownicze. Mówimy tu np. o sekretarkach, recepcjonistkach czy asystentkach. W Polsce 72% wszystkich osób obsługujących sekretariaty to kobiety. Takie stanowiska mają niski prestiż i wynagrodzenie, a jednocześnie wymagają dużych umiejętności interpersonalnych i wiedzy na temat sposobu funkcjonowania firmy. Pełniąc taką funkcję w firmie, nie ma możliwości zdobycia doświadczenia i kompetencji niezbędnych do awansu. Nie jest to oczywiście niemożliwe, ale bywa utrudnione. Wciąż szybciej i w większej liczbie awansują mężczyźni. Oni korzystają z tzw. szklanych ruchomych schodów.

Czyli?

– To pojęcie opisuje zjawisko, do którego dochodzi w mocno sfeminizowanych branżach, tradycyjnie uznawanych za kobiece. Paradoksalnie – większe szanse na awans mają w nich mężczyźni, podczas gdy kobiety pozostają na niższych szczeblach w hierarchii stanowiskowej. Niewidzialna siła wynosi mężczyznę wyżej, choć ani jego wykształcenie, ani doświadczenie nie jest większe od tego, jakim mogą pochwalić się jego koleżanki. Ma to związek z mocą decyzyjną tych, którzy o awansach decydują. A to głównie mężczyźni.

Męska solidarność?

– Cóż, jeśli przez wieki utrzymywał się tradycyjny podział ról płciowych – wedle którego to mężczyzna ma pracować i zapewnić byt rodzinie, a kobieta zajmować się domem i dziećmi – to trudno, żeby stereotypy wyrosłe na tym gruncie zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zmiany społeczne nie zachodzą z dnia na dzień, choć oczywiście obserwujemy je dziś – także w Polsce.

Pani mówi o tradycyjnym podziale ról. Ale przecież pańszczyźniane chłopki pracowały niemal tak samo jak mężczyźni. A w PRL kobiety siadały na traktory.

– Nie jestem historyczką, ale sądzę, że w systemie pańszczyźnianym mimo wszystko to mężczyźni wykonywali większość prac związanych

z powinnościami feudalnymi, a kobiety pełniły funkcje pomocnicze. A już na pewno chłop po robocie szedł do karczmy lub siadał w domu za stołem, a kobieta zajmowała się przygotowaniem posiłku, doglądała dzieci i obejścia. W Polsce Ludowej faktycznie wzrósł poziom zatrudnienia kobiet, bo polityka tzw. pełnego zatrudnienia była jedną z kluczowych wartości tego ustroju, ale istniał wyraźny podział rynku pracy na „kobiece” i „męskie” branże i zawody (okres prób likwidacji tych podziałów, przypadający na czasy stalinowskie, gdy promowano „kobiety na traktorach”, szybko się skończył). Stereotypy związane z płcią miały się więc w PRL-u całkiem nieźle.

Jakie to stereotypy?

– Jest ich całe mnóstwo. Kobiętom stereotypowo przypisuje się brak odpowiednich kompetencji, nieumiejętność samoorganizacji, brak cech przywódczych, słabą decyzyjność, „naturalne” skupienie się na sprawach rodzicielstwa i domu kosztem pracy zawodowej. Ostatnio rozmawiałam ze znajomym, który ma mocno konserwatywne poglądy na temat ról kobiecych i męskich. Mówił: „Ja sobie nie wyobrażam, żeby moja żona pracowała tak jak ty. Żeby zostawiała dziecko i wyjeżdżała na konferencję na dwa, trzy dni. A na dodatek żeby tam w większości byli mężczyźni. Nie wyobrażam sobie, żebym musiał gotować obiad, a moja żona w tym czasie dyskutowała i chodziła na bankiety z innymi facetami”.

Proszę wybaczyć, ale pani znajomy to żywa skamielina.

– Zapewniam, że żyje i ma się bardzo dobrze. To, co państwu wydaje się skamieliną, w innych środowiskach jest poglądem nie tylko akceptowanym, ale wręcz pożądanym. Funkcjonujemy w ramach, które narzuca nam kontekst kulturowy. Oczywiście ten kontekst się zmienia. Dziewczynki coraz rzadziej słyszą: „To nie wypada dziewczynkom”, młode kobiety postrzegają kobiecość jako siłę i ani myślą rezygnować z rozwoju i kariery. Ale mam wrażenie, że te zmiany dotyczą tylko niektórych środowisk, najbardziej otwartych na prądy równościowe. W innych reprodukuje się w dużej mierze tradycyjny schemat, dyskryminujący ▶

► kobiety. Umacniany jest wpływem Kościoła katolickiego, który widzi kobiety przede wszystkim w roli strażniczek ogniska domowego.

Jestem osobą wierzącą i praktykującą, ale trudno mi w pełni zaakceptować płynące czasem ze strony duchownych głosy przypominające kobietom, że powinny głównie troszczyć się o to, by wszystko w domu było poukładane i na swoim miejscu, bo wtedy wszyscy będą szczęśliwi: dzieci, mąż i ona.

O „cnotach niewieścich” mówią nie tylko duchowni. Jakiś czas temu najgłośniej przypomnieli o nich Ministerstwo Edukacji i Nauki, które chciało je ugruntowywać wśród uczennic.

– Nie do końca wiadomo, czym miałyby one być, ale sądzę, że ich skuteczne ugruntowanie nie pomogłoby kobietom na rynku pracy – ani w żadnej innej sferze życia. Jeden z większych problemów, które

spędzać całe dnie poza domem i być „niedoopiekowane”, to rozwój zawodowy nie może się stać moim priorytetem. Uogólniam, ale da się zauważyć taką prawidłowość. Dobrze widać to na przykładzie mojej branży, czyli szkolnictwa wyższego – w tym przypadku akurat nauk o polityce. Wiem, że praca akademicka jest dość specyficzna, ale i na uczelniach widać często trudności, jakie mają kobiety w pogodzeniu aktywności zawodowej z życiem rodzinnym. W momencie startu kobiet jest sporo. Na stypendium doktorskim kobiet i mężczyzn było mniej więcej po połowie. Gdy zrobiłam habilitację, byłam już jedną z nielicznych kobiet w radzie wydziału. Teraz na naszym wydziale pracuje około stu pracowników naukowych. Wśród nich mamy kilkadziesiąt osób ze stopniem doktora habilitowanego, w tym kilkunastu profesorów „bezwederskich”. Wśród nich są zaledwie trzy kobiety. Malutko.

Niewidzialna siła wynosi mężczyznę wyżej, choć ani jego wykształcenie, ani doświadczenie nie jest większe od tego, jakim mogą się pochwalić jego koleżanki.

nas dotyczą, wynika bowiem z pokutującego wśród wielu pracodawców przekonania, że kobieta nie jest tak samo pełnowartościowym pracownikiem jak mężczyzna. To utrudnia nam samo wejście na rynek pracy. Kobiety są często blokowane już na starcie.

Bo pracodawca myśli, że kobieta urodzi dziecko, a potem drugie, i w efekcie zniknie na kilka lat?

– Tak. Dla wielu pracodawców kobieta to wciąż pracownik podwyższonego ryzyka. Mężczyźni – w ich opinii – są bardziej uniwersalni i bardziej przewidywalni. Stąd jeszcze nie tak dawno pojawiały się na rozmowach kwalifikacyjnych pytania o plany prokreacyjne. (...)

Trudno zaprzeczyć, że pojawienie się dzieci i opieka nad nimi może mieć wpływ na zaangażowanie pracownika w sprawy firmy.

– Tak, ale to w dużej mierze dlatego, że w Polsce to nadal przede wszystkim kobiety opiekują się dziećmi. Wiele matek myśli następująco: jeśli przez moją pracę dzieci mają

Myśli pani, że w środowisku naukowym wciąż może pokutować stereotyp, że kobiety są zwyczajnie głupsze?

– Myślę, że dzisiaj świadomie prawie nikt tak nie myśli. Ale wieki patriarchy mogły zakodować w nas pewne nieuświadomione przekonania. W 2012 r. opublikowano wyniki ciekawego badania przeprowadzonego na Uniwersytecie Yale. Badacze przygotowali fikcyjne CV kandydata na kierownika laboratorium, po czym rozstali je do ponad stu naukowców, prosząc o ocenę kompetencji tego (w istocie nieistniejącego) człowieka.

Mieli też podać wysokość pensji odpowiadającej jego kwalifikacjom. Wszyscy naukowcy dostali dokładnie to samo CV, z jedną różnicą – połowa opisywała mężczyzn, połowa kobiety. **Zgadnijmy: mężczyźni zostali ocenieni wyżej?**

– Dokładnie. Naukowcy ocenili wyżej ich kompetencje, byli bardziej skłonni ich zatrudnić,

proponowali też wyższe pensje. Co więcej, CV należące do kobiety zostało ocenione gorzej zarówno przez naukowców, jak i naukowczynie. Podobnie dzieje się w innych branżach. Nawet jeśli kobiety i mężczyźni startują – co wcale nie jest oczywiste – z podobnego poziomu, wyżej docierają przede wszystkim mężczyźni.

Co się dzieje „po drodze”?

– Zazwyczaj zdarza się małżeństwo i rodzą się dzieci. Kobieta staje wobec życiowych wyzwań, które ją pochłaniają. Bierze urlop macierzyński, potem rodzicielski. W sumie to 52 tygodnie urlopu. Prawie rok.

Nawet więcej. Zwykle matki biorą też „zgromadzony” urlop wypoczynkowy. A później można wziąć bezpłatny urlop wychowawczy. Nawet trzyletni.

– Tak, a przecież wystarczy już rok, żeby wybić się z rzeczywistości zawodowej i mieć problem z powrotem na poprzednie stanowisko lub w ogóle na rynek pracy. A co dopiero, gdy kobieta rodzi dwójkę lub trójkę dzieci w niewielkich odstępach czasu. Wtedy jej obecność w pracy jest epizodyczna. Pracodawcy patrzą na kobiety przez pryzmat młodej matki, dla której priorytetem będzie opieka nad dzieckiem, a nie obowiązki zawodowe.

Biologii nie pokonamy. To kobiety rodzą dzieci.

– Możemy jednak wprowadzać rozwiązania ułatwiające kobietom godzenie życia zawodowego z rodzinnym. I to w dwóch wymiarach. Po pierwsze, bardziej zaangażować ojców w opiekę nad małymi dziećmi. Badania Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju pokazują, że w krajach, w których mężczyźni aktywniej opiekują się dziećmi, luka płacowa między kobietami a mężczyznami jest niższa. Tymczasem

w Polsce tylko ok. 1% mężczyzn decyduje się na wzięcie urlopu rodzicielskiego.

Fragment rozmowy z książką Wojciecha Harpuli i Marii Mazurek *Panie przodem. O co walczą kobiety i mężczyźni we współczesnej Polsce*, Znak Literanova, Kraków 2023



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Smutek dzieci

Miesięczniki artystyczne, kiedyś słynne i prestiżowe, które przetrwały PRL, a rangę zdobyły właśnie w tamtych czasach, po 1989 r. dramatycznie zmały i straciły na wadze. Tym bardziej jest uderzające, że PiS po kolei je przejmując, te małe skrawki niezależnej myśli, mianując na szefów swoich najemników kultury. Nawet na tym im zależy, bo pełzająca rewolucja jest jak rozlana woda, wszędzie się wciśnie. To stało się już choćby z „Nowymi Książkami” i z „Twórczością”, a teraz przejęty zostaje „Dialog”, czasopismo poświęcone dramaturgii współczesnej. Redakcja „Dialogu” alarmowała, że Instytut Książki chce im narzucić nowego naczelnego. I już jest, to Antoni Winch, który, jak ustaliła „Gazeta Wyborcza”, został niedawno zwolniony z Polskiej Akademii Nauk za brak osiągnięć naukowych.

Już widać, że przekop Mierzei Wiślanej nie miał większego sensu, to będzie głównie atrakcja turystyczna, co przewidywali liczni specjaliści. Oddano właśnie do użytku lotnisko w Radomiu, dziecko znanego intelektualisty Marka Suskiego, który mówił, że to dobra lokalizacja, bo bardziej na południe, a Polacy latają na południe. Radomskie lotnisko, źle skomunikowane z Warszawą, nie ma sensu, twierdzą fachowcy. Taka sama porażka będzie z Centralnym Portem Komunikacyjnym, jeśli w ogóle powstanie. Gdy PiS straci władzę, następcy z tego projektu zrezygnują. Wtedy PiS będzie krzychało: taki genialny projekt zmarnowali! A gdzie jest ten milion samochodów elektrycznych? Mieszkania dla młodych? Te wielkie, narodowe inwestycje, które miały być pomnikami chwały PiS, stają się pomnikami jego niekompetencji. Jak pisowcy odbudują pałac Saski, też na fali wzmoczenia narodowego, to może obok 500+ będzie to dla mnie jedna dobra rzecz, jaką po sobie zostawią. Ale wiem, że w sprawie pałacu Saskiego w środowisku artystów i architektów jestem w mniejszości.

Hołownia idzie do wyborów z PSL, dobre i to. Nie jest to jednak wspólna lista wszystkich partii opozycyjnych, której oczekujemy. Można się pocieszać, że jak będą dwa bloki, jest to ryzyko, ale i jakaś nadzieja, że niezdecydowani zagłosują na nie-Platformę. Szymon Hołownia gładko mówi, zdania wypolerowane aż lśnią. Ale jest w nim coś podejrzanego, to prawdopodobnie narcyzm.

Nie tylko ja to czuję. Niby powszechne schorzenie u polityków, więc to pewnie kwestia skali. Hołownia chyba marzy, aby być premierem lub prezydentem, najlepiej prezydentem. Byłby jeszcze bardziej wygadany niż Duda i na pewno o niebo lepszy.

Fundacja Martyny Wojciechowskiej opublikowała raport „Młode Głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym”. Na pytania dotyczące zdrowia psychicznego, poczucia własnej wartości i sprawczości wśród dzieci i młodzieży w wieku 10-19 lat odpowiedziało 180 tys. osób z 2 tys. szkół w całej Polsce. Coś mi się nie mieści w głowie aż taka liczba badanych, jeśli jest prawdziwa, badanie jest bardzo reprezentatywne. A od wyników więcej grozą. Co drugi polski uczeń ma skrajnie niską samoocenę. Dowiadujemy się, że 65,9% chciałoby mieć więcej szacunku do samego siebie, 58,4% towarzyszy poczucie bezużyteczności, a aż 46% ma skrajnie niską samoocenę. 31,6% ankietowanych uczniów mówi wprost, że nie lubi siebie. A przecież poczucie własnej wartości to fundament naszego życia psychicznego. Z pewnością na tak złe samopoczucie rzutuje też stres, który przytłacza 81,9% młodych osób. Narastające frustracje i niskie poczucie wartości przyczyniają się do tego, że 8,8%

Wielka zagadka naszych czasów: dlaczego, skoro jest tak dobrze, jest tak źle?

dzieci i młodzieży podjęło próby samobójcze (może to się przekładać na liczbę aż 340 tys. osób). Do myśli samobójczych przyznało się 39,2% uczniów, co stanowi ok. 1,5 mln osób. Co szóste dziecko okalecza się. Niemal połowa mierzy się z zaburzeniami odżywiania, kompulsywnie objadając się lub głodząc. To przerażające.

Dzieci i młodzież są dzisiaj bardzo nieszczęśliwe. A przecież nigdy jeszcze młodzi nie mieli tak dobrych warunków życia, takiej bazy do szczęścia. Naszą cywilizację drażni więc jakaś choroba, a szczęście i dobre samopoczucie mają swoje tajemne drogi i ścieżki. To może być narcystyczny charakter naszych czasów. Coraz bardziej jesteśmy skupieni na sobie i każdy ma wielkie ambicje, niemożliwe do spełnienia. Permisywne wychowanie, teraz powszechne, o ile lepsze od opresyjnego, ma także drugą, mroczną stronę. Brakuje wyraźnych reguł, a jak widać, są potrzebne. Z kolei powszechność depresji u dorosłych mówi, że z nieszczęśliwych dzieci wyrastają nieszczęśliwi dorośli. Wielka zagadka naszych czasów: dlaczego, skoro jest tak dobrze, jest tak źle? ■

Faust była kobietą

Czyli nieoczywista awanturnicza powieść historyczna

Rozmawia Rafał Piłkuła

Co ma wspólnego bohater twojej powieści Filip Kallimach z Antonim Macierewiczem?

– Co?! A, już wiem, o co ci chodzi. No, rzeczywiście, pewien historyk dedykował Macierewiczowi swoją rozprawkę, w której przekonuje, że Kallimach z pewnością był weneckim szpiegiem na polskim dworze.

Spiskowa teoria dziejów. Pasuje do adresata dedykacji.

– Tak, i to nie tylko teza, ale i argumentacja. Autor tego dzieła zauważa np., że Kallimach spotykał się z pewnym wysoko postawionym weneckim dostojnikiem, który przekazał mu klucz do szyfrowania służbowej korespondencji. No, dla mnie to świadczy tylko o tym, że zabiegi dyplomatyczne Kallimacha o pozyskanie Wenecji do sojuszu militarnego z Polską były już w fazie zaawansowanej, chociaż ostatecznie nic z tego nie wyszło. A że poufna korespondencja na szczeblu państwowym musiała być w tamtych czasach szyfrowana, podobnie jak dziś, jest chyba oczywiste, wtedy było to nawet bardziej konieczne niż teraz, skoro pisma takie były przewożone konno na ogromne odległości i łatwo mogły po drodze wpaść w niepowołane ręce.

Ze źródeł historycznych i z twojej powieści dowiadujemy się jednak, że Polska nie była pierwszym wyborem Kallimacha.

Maciej Hen – kończył studia na wydziale operatorskim łódzkiej PWSFTviT. Debiutował w 2004 r. powieścią „Według niej” pod pseudonimem Maciej Nawariak. Jego druga książka, „Solfatara”, zdobyła Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza i znalazła się wśród finalistów Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus.

MACIEJ HEN

– pisarz, dziennikarz

– Kallimach dotarł do Polski w 1470 r. przez wschodnie Bałkany, jako uchodźca polityczny zagrożony w Rzymie karą śmierci za spisek na życie papieża, mając już za sobą dwuletnią tułaczkę po wyspach greckich i imperium osmańskim. W Polsce też nie od razu znalazł bezpieczne schronienie, bo Sejm w Piotrkowie zdecydował o wydaniu go papieżowi, i gdyby nie wziął go pod swoje skrzydła arcybiskup lwowski Grzegorz z Sanoka, z pewnością marnie by skończył. Szczęśliwie dla mojego bohatera po roku zmienił się papież i niebezpieczeństwo minęło, ale Kallimach, zamiast wrócić w rodzinne strony, wybrał się do Krakowa, gdzie udało

mu się z czasem dostać na dwór Kazimierza Jagiellończyka.

Zdaje się, że poprzez tego bohatera chcesz pokazać Polskę tamtej epoki.

– Tak, a po trosze i resztę Europy. Dodam, że interesował mnie nie tyle wymiar polityczny tamtych czasów – te ich wszystkie konflikty, wojny, sojusze i intrygi, zupełnie dziś nieaktualne – ile cywilizacyjny i po prostu ludzki. Czyli to, co jest ponadczasowe.

Zresztą losy Kallimacha poznajemy w książce nie wprost. O poecie opowiada jego sekretarz Georg, który tak naprawdę jest kobietą, Gredechin.

– Kiedy zabierałem się do pracy nad tą powieścią, pomyślałem sobie, że lepiej będzie nie pokazywać Filipa wprost, tylko za pośrednictwem kogoś, kto pozostaje pod jego wpływem. Trochę tak jak w „Imieniu róży” widzimy postać Wilhelma z Baskerville oczami zafascynowanego nim młodego Adso. To nadaje opowieści

Umberto Eco temperaturę emocjonalną. U mnie to nie jest młody chłopak, tylko udająca chłopaka dziewczyna, która w listach do przyjaciółki z dzieciństwa zwierza się z tego, co się u niej dzieje, i oczywiście nie potrafi przestać opowiadać o Filipie – jaki on jest, jak nikt go nie rozumie, jaką miał burzliwą młodość itd. Chodziło mi o to, żeby czytelnik miał uczucie, że zagląda jej niepostrzeżenie przez ramię, kiedy ona dzieli się

nie do końca świadomie, odczuwa jakiś pociąg do niej jako do chłopca, nie wiedząc, że ona jest dziewczyną. I w tym samym czasie Kallimach zupełnie traci głowę dla pewnej mocno dojrzałej pani, wylewnie zwierając się Gredechin z tej fascynacji, jak też bardzo emocjonalnie wspomina gorący romans sprzed ćwierćwiecza z pewną prostą, lecz rezolutną młodą dziewczyną, z której zrobił heroinę swoich najważniejszych wierszy.

Kallimach dotarł do Polski w 1470 r. przez wschodnie Bałkany, jako uchodźca polityczny zagrożony w Rzymie karą śmierci za spiszek na życie papieża.

z przyjaciółką najbardziej intymnymi myślami.

Przedstawienie Kallimacha oczami kobiety pozwala lepiej oddać sposób jego myślenia, a był to człowiek na owe czasy bardzo otwarty, wprost mówił o równości płci, o tym, że każdy, niezależnie od urodzenia i płci, powinien mieć równe szanse.

– To, że społeczeństwa były wtedy głęboko patriarchalne, nie jest żadną tajemnicą. Dla większości ówczesnych ludzi czymś oczywistym było, że kobieta jest istotą niższego rzędu – i ja te realia staram się rzetelnie przedstawiać, ale chodziło mi głównie o to, żeby przez nie uprzytomnić czytelnikowi, ile z tych przesądów ciągle pobrzmiwa czymś znajomym, wciąż jeszcze, w XXI w., zalega w wielu głowach.

Powieściowy Kallimach dowiadyuje się o mistyfikacji płciowej dopiero na łożu śmierci. Sam moment ujawnienia tajemnicy jest i nasycony nabrzmiewającymi od dawna emocjami. Choć, jak sugerujesz w powieści, włoski poeta mógł być homoseksualny.

– Z całości jego dorobku poetyckiego można wywnioskować, że był biseksualny, chociaż chyba z przewagą skłonności hetero. Od strony literackiej pozwala mi to na podjęcie pewnej gry z czytelnikiem, w której nic nie jest jednoznacznie dopowiedziane. Gredechin opisuje w listach pewne zachowania pryncypała, które zdają się świadczyć, że on, być może

Niejednoznaczność to ważny trop powieści. Drugim, moim zdaniem kluczowym, jest transgresja. Gredechin na samym końcu postanawia pozostać mężczyzną. Przybiera nazwisko Faust.

– Tak, ale nie wynika to z pobudek transseksualnych, jak dziś byśmy powiedzieli. Nie jest tak, że czuje się mężczyzną i odrzuca swoją kobiecość. Po prostu wie, że będąc kobietą, nie zdobędzie wiedzy, przywilejów, zawsze będzie osobą w pewien sposób społecznie upośledzoną. Tylko

To, że ówczesne społeczeństwa były patriarchalne, nie jest tajemnicą, ale warto uprzytomnić czytelnikowi, ile z tych przesądów nadal zalega w wielu głowach.

bycie mężczyzną gwarantuje życie, o jakim marzy. Widać w jej listach, że ona nie zatracą swojej „kobiecej natury”. Radzi przyjaciółce, jak reagować na to, że mąż ogląda się za innymi kobietami, mówi także, choć nie wprost, o seksualności.

Takie ujęcie sprawia, że twoja powieść ma bardzo feministyczną, równościową wymowę. Przenikają się w niej również światy Krakowa chrześcijańskiego i żydowskiego. Kraków przełomu XV i XVI w. to miasto kosmopolityczne, żyli tam Niemcy, Polacy, Żydzi, Węgrzy, Rusini, Ormianie, Wołosi. Twoja książka jest więc też manifestacją, pokazaniem, że Polska od zawsze była wieloetniczna, multikulturowa.

– Cóż, tu także nie odkrywam Ameryki, wiemy, że Polska jednolita etnicznie to nowość, efekt II wojny światowej, zmian granic, przesiedleń i czystek etnicznych. Dziś jednak wieloetniczność powoli powraca, z różnych powodów, budząc oczywiście różne emocje, nie zawsze sympatyczne. Ja uważam, że to dobrze, taki wielokulturowy tygiel tworzy warunki do rozkwitu myśli, sztuki, przedsiębiorczości – wszystkiego.

Skąd wybór powieści epistolarnej? Czy to kwestia bezpieczeństwa? Nie mamy narratora wszechwiedzącego, młoda kobieta, pisząc listy, może się mylić.

– To trochę też, ale chodziło mi głównie o nasycenie narracji subiektywnymi emocjami Gredechin. I, paradoksalnie, bo być może czytelnik sobie wyobraża, że jak powieść w listach, to musi być jakieś sztywniactwo – ja uznałem, że to dla mnie szansa, żeby język narracji był żywszy. Ona – moja bohaterka – coraz to puszcza oko do przyjaciółki, nie stroni od kolokwializmów, a nawet łagodnych wulgaryzmów. Pamiętam, jak z redaktorami książki zastanawialiśmy się, czy bohaterka może użyć słowa cucky. Ostatecznie stanęło na tym, że może, a nawet powinna.

Są cucky, bo to powieść historyczna, a nie non-fiction...

– Och, gdyby to było non-fiction, wulgaryzmów byłoby o wiele więcej, i to cięższego kalibru, przynajmniej gdybyśmy w trakcie zbierania materiałów mogli się znaleźć w ówczesnym świecie z dyktafonem, jestem o tym przekonany. Pisząc, zwykle wyobrażam sobie siebie i swoich znajomych w dawnych czasach, w XV czy XVII w. Przecież ówczesni ludzie byli tacy jak my, inne były tylko dekoracje i może jakieś nawyki myślowe. Ludzkie namiętności, tęsknoty i pragnienia były takie same. I wciąż stawiamy sobie te same pytania, na które nie mamy odpowiedzi. ■

MIĘDZY OKŁADKAMI



Avni Doshi
Gorzki cukier
 tłum. Agnieszka Wilga
 W.A.B., Warszawa 2023

Nie mogę ci wybaczyć i uwolnić się od gniewu, bo w tobie nie ma śladu poczucia winy. Nie opiekowałaś się mną, teraz ja muszę zaopiekować się tobą. Żeby ci przypominać, ile razy mnie skrzywdziłaś. Oto konflikt między córką i matką, brutalnie i hipnotyzująco opisany w debiutanckiej powieści Amerykanki indyjskiego pochodzenia Avni Doshi. Przedstawiony jest z perspektywy córki – demencja matki odbiera jej ostatki nadziei na zadośćuczynienie. Antara walczy o powrót Tary do zdrowia, póki sobie nie uświadomi, że pamięć o częstej ich relacji powinna jednak zniknąć. Dwie kobiety połączone wzajemnymi żałami, a nawet imionami, które miały podkreślić ich przeciwieństwo, lecz dodatkowo je wiążą. Mimo wszystko jest tu miejsce na nieco współczucia dla Tary, w latach 80. młodej, głodnej wolności i nienadającej się zupełnie na potulną indyjską żonę. Na matkę też nie – ale przecież i Antara doświadczy uwięzienia w macierzyństwie. Tekst jest klaustrofobiczny, nie tylko zamyka nas w klatce pretensji i rywalizacji, lecz także czujemy napieranie hałasów, zapachów, gorąca, tłumy w aśramie. Symboliczny staje się obraz muchy, która tłucze się po pokoju i nie wylatuje na zewnątrz mimo otwartych drzwi.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

Gary Guthman The Traveler, Tadeusz Paciorkiewicz Triptych & Improvisation

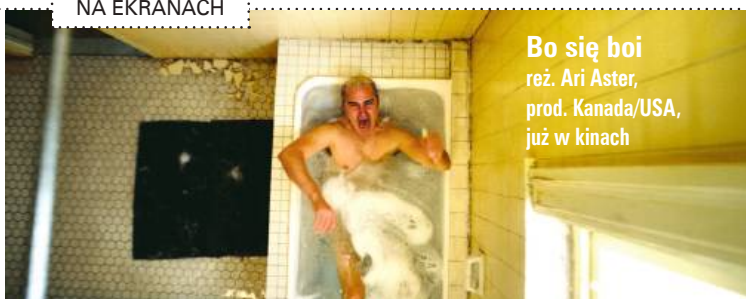
Orphée Classics

Płyta crossover, czyli wykraczająca poza typowe ramy stylów. Jest tutaj kompozycja amerykańskiego trębacza, do jego wierszy o planetach Układu Słonecznego, napisanych jeszcze w 1992 r. Ale nie trąbka gra, tylko harfa pod palcami Małgorzaty Zalewskiej, wiolonczela Tomasz Strahla i flet – na tym instrumencie Łukasz Długosz. Śpiew – Kaja Mianowana. A oprócz suity „The Traveler” kilka utworów na harfę Tadeusza Paciorkiewicza, zapomnianego twórcy zmarłego w 1998 r. Wszystko to pasuje do siebie i jest miłe w odbiorze.

Bronisław Tumilowicz



NA EKRANACH



Bo się boi

reż. Ari Aster,
 prod. Kanada/USA,
 już w kinach

Ari Aster, amerykański reżyser uznawany za wizjonera współczesnego kina, który na nowo zdefiniował współczesny horror, planował zrealizować ten film jako swój debiut. Próbną ujęciem kręcił jeszcze podczas studiów, ale projekt przeleżał na półce ponad dekadę. Ostatecznie jednak wyszło mu to na dobre, twierdzi Aster. Dziś bowiem, ciesząc się niezachwianą pozycją w branży i mając na koncie świetnie przyjęte „Hereditary” i „Midsommar”, które kilka lat po premierze zyskały status dzieł kultowych, mógł wyrazić swoją wizję w formie totalnej. „Bo się boi” to kino wysokiego konceptu – będące miksem horroru i czarnej komedii, nazywane współczesną wariacją na temat przygód Odyseusza, a przez samego reżysera określane mianem żydowskiego „Władcy pierścieni”. Bohaterem jest Beau, mężczyzna w średnim wieku, który boi się wszystkiego. Nie dają mu spokoju egzystencjalne lęki. Jest wiecznie znerwicowany i zestresowany, powoli zapada się we własne neurozy. Aby przezwyciężyć traumy, opuszcza mieszkanie, w którym zwykle zamyka się na cztery spusty, i wyrusza w epicką podróż. To, co dzieje się dalej, już zostało okrzyknięte najbardziej tajemniczym, przegiętym i irytującym filmem roku. W roli głównej Joaquin Phoenix, który aktorską szarżą wręcz rozsada ekran.

Mateusz Demski

KURTyna W GÓRĘ



Kim jestem?

Głupie pytanie, a jednak Sébastien Thiéry dowodzi, że może ono się stać kłopotliwe, kiedy ktoś przestanie rozpoznawać najbliższe otoczenie, a wreszcie gdy się dowie, że nosi zupełnie inne nazwisko. Nie, to nie opowieść o demencji, jedna z tych, których już sporo obejrzelismy w teatrze. Utrzymana jest raczej w duchu kafkowskim – groteskowa i okrutna, ukazuje, jak łatwo w życiu pobłądzić, zgubić drogę i wtedy ujrzeć siebie/nie siebie w zupełnie innym świetle.

Piekielnie inteligentnie skonstruowana to sztuka, a grana wyśmienicie. W prowadzących rolach Andrzej Zieliński (to ten, który traci pewność,

Sébastien Thiéry, „Kim jest pan Schmitt?”, tłumaczenie Irma Helt, reżyseria Jarosław Tumidajski, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 4 kwietnia 2023

kim jest – mówią do niego Schmitt, choć twierdzi, że nazywa się Baran) i Agnieszka Suchora (jego żona), jak zawsze skupieni na budowaniu wiarygodnych postaci, temperatury i napięcia, które udziela się widzom. Wspomagają ich Mariusz Jakus jako wymarzony (tak idealnie zagrany) policjant, Jakub Kamiński w roli lekarza służbisty i Alma Asuai (na zmianę z Sylwią Ach) jako zimna córka Karla. Gwarantowane półtorej godziny thrilleru o komediowym, a nawet surrealistycznym posmaku. A z pytaniem, kim jestem, udajemy się do szatni.

Tomasz Miłkowski

Kolumnę przygotowała
 Agata Gogółkiewicz

Odyseja diagnostyczna

Na choroby rzadkie cierpi od miliona do 3 mln osób

MARIA LIBURA

– kierowniczką Zakładu Dydaktyki i Symulacji Medycznej Collegium Medicum Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Członkini Rady Ekspertów przy Rzeczniku Praw Pacjenta. Prywatnie mama dorosłej osoby z chorobą Pradera-Williego.



Rozmawia Dominika Tworek

Ile osób w Polsce cierpi na choroby rzadkie?

– Szacunki wskazują, że może to być od miliona do 3 mln osób.

To ogromna rozpiętość!

– Mamy ograniczoną wiedzę na ten temat, ponieważ w Polsce nie doczekaliśmy się jeszcze rejestru chorób rzadkich, a sami chorzy często mają problem z uzyskaniem diagnozy.

3 mln to prawie 8% całej populacji!

Występowanie chorób rzadkich w społeczeństwie bynajmniej nie jest zjawiskiem marginalnym. Dlaczego – oprócz perspektywy ilościowej – powinny być one istotnym obrazem zdrowia całego społeczeństwa?

– Choroby rzadkie stanowią poważny problem z punktu widzenia zdrowia publicznego i społecznego, dlatego że są to choroby ciężkie. Zagrożają życiu i prowadzą do niepełnosprawności. A to oznacza, że bardzo poważnie wpływają na samych chorych oraz ich rodziny.

Dlaczego państwo miałooby refundować często bardzo drogie terapie osobom, które chorują na jakąś chorobę rzadką? Leczenie SMA (rdzeniowego zaniku mięśni) kosztuje ok. 2 mln dol. Ktoś powie, że za taką kwotę można uratować znacznie więcej ludzi.

– Wyobrażenie, że mamy 3 mln ludzi i każdy będzie leczony za 2 mln dol., jest mylne, bo leków na choroby rzadkie jest dziś bardzo niewiele. W przypadku zdecydowanej większości tych chorób nie mamy leczenia przyczynowego czy nawet takiego, które powstrzymałoby rozwój choroby. Terapie polegają głównie na wspomaganiu, a i na tym polu możliwości często są bardzo ograniczone.

W przypadku choroby rzadkiej, dla której dostępne jest innowacyjne leczenie, możemy mówić o dwóch wymiarach decyzji refundacyjnych. Po pierwsze, jest to kwestia solidaryzmu – czyli nie wykluczamy osób, których problemy są bardzo nietypowe i wymagają specjalnych nakładów finansowych. Drugą sprawą jest współuczestnictwo w postępie

naukowym. Trzeba pamiętać, że w przypadku chorób rzadkich pacjenci podejmują często znacznie większe ryzyko zdrowotne, jeśli chodzi o udział w badaniach klinicznych. Ich postawa pozwala zweryfikować różne nowe metody leczenia, co do których człowiek niebędący w tak trudnej sytuacji miałby wątpliwości, czy je na sobie wypróbować. Można się spodziewać, że prędkiej czy później technologie stosowane w chorobach rzadkich znajdą przełożenie na zupełnie inne obszary terapeutyczne. W tej chwili składamy się na nie jako społeczeństwo, co zapewne doprowadzi do wielu przełomów medycznych.

Dlaczego te terapie są tak strasznie drogie?

– Historycznie badania nad chorobami rzadkimi były mało atrakcyjne dla samych badaczy, bo ze względu na niewielką liczbę pacjentów były niszowe. W przypadku leków nie dało się zastosować klasycznych schematów badań klinicznych. Wybór ścieżki naukowo-badawczej w chorobach rzadkich był więc ryzykowny. Do tego trzeba uwzględnić ►

► sposób, w jaki produkowane są leki. W krajach wysokorozwiniętych bardzo wiele badań rozpoczyna się od grantów z pieniędzy publicznych, ale produkcją i dystrybucją zajmują się przede wszystkim firmy komercyjne. A zachęcenie ich do tego, żeby angażowały się w takie badania i chciały komercjalizować rozwiązania dla chorób rzadkich, wymagało stworzenia specyficznych zachęt, które pozwalałyby na zrównoważenie ryzyka biznesowego.

W Polsce nie doczekaliśmy się jeszcze rejestru chorób rzadkich, a chorzy często mają problem z uzyskaniem diagnozy.

Zachęt finansowych?

– Tak, ale też tych związanych z ochroną patentową czy szczególnymi zasadami rejestracji takich produktów i dopuszczania ich do obrotu oraz refundacji.

Ile chorób rzadkich możemy obecnie wyróżnić?

– Co najmniej 8 tys. Większość to choroby genetyczne. Kiedyś nazywano je od ich odkrywców, np. zespół Pradera-Williego. Natomiast w tej chwili jest ich tak dużo, że nazwa jest zwykle techniczna – wskazuje chromosom i lokalizację, w której mamy jakiś błąd.

Czy choroby rzadkie wykluczają społecznie?

– Niestety tak. Wymiar społeczny i systemowy chorób rzadkich jest podstawą ujęcia ich jako osobnej kategorii. Przecież nie stanowią one żadnej spójnej kategorii medycznej. Pacjenci szukający pomocy zobaczyli, że tym, co ich łączy – pomimo wszystkich różnic w objawach i przebiegu choroby – jest trudność uzyskania pomocy.

Z jakimi największymi trudnościami borykają się chorzy?

– Bardzo trudnym doświadczeniem wielu chorych i ich rodzin jest tzw. odyseja diagnostyczna. Brak łatwego dostępu do specjalistów i badań powoduje, że pacjenci często krążą od lekarza do lekarza. W przypadku rekordzistów od pojawienia się pierwszych objawów do postawienia właściwego rozpoznania upłynęło nawet 20 lat. W chorobach

rzadkich wczesna diagnoza oszczędza dużo niepotrzebnego obciążenia chorym i rodzinom. Niewłaściwe rozpoznanie może oznaczać brak leczenia, ale też niewłaściwe postępowanie, bo w przypadku tych chorób często trzeba stosować np. specyficzne metody fizjoterapii czy szczególną dietę.

Diagnoza jest ulgą?

– Proszę sobie wyobrazić życie z dzieckiem, któremu lekarze nie potrafią postawić diagnozy, nikt nie

wie, co mu jest. Jedną z pierwszych rzeczy, które niechcący generuje system ochrony zdrowia, jest psychologiczne obciążenie matki. W czasie wywiadu pada nieuniknione pytanie o przebieg ciąży i ewentualne czynniki ryzyka. Gdy nie przychodzi żadna diagnoza, część matek wini siebie, zastanawia się, czy coś, co zrobiły bądź zjadły, miało wpływ na to, że dziecko jest chore.

Diagnoza jest momentem niezwykle trudnym. W sytuacji, kiedy jej poszukiwania trwają długo, to jednak przede wszystkim ulga. Sytuacja

U rekordzistów od pojawienia się pierwszych objawów do postawienia właściwego rozpoznania upłynęło nawet 20 lat.

wygląda inaczej, kiedy diagnoza jest stawiana od razu po porodzie. Wtedy to głównie szok.

Diagnozowanie chorób rzadkich u dzieci jest łatwiejsze?

– Tak, bo pediatria jest zupełnie inną dziedziną. Dzieci w większości rozwijają się zgodnie z szeroko rozumianą normą – i wtedy pediatra dba o to, żeby dziecko otrzymywało szczepienia, przechodziło standardowe badania, oraz wspomaga je w wydarzeniach typu infekcja. Na drugim biegunie są choroby rzadkie, którymi zajmują się przede wszystkim specjalistyczne placówki. Natomiast w populacji dorosłych jest inaczej – wraz z procesem starzenia się pojawia

się wiele powszechnych chorób związanych z wiekiem, układem ruchu, układem krążenia czy sposobem odżywiania. Chorzy z bardzo nietypowymi objawami po prostu w tym giną, zwłaszcza jeżeli obrazy ich choroby nie jest bardzo charakterystyczny.

Najważniejszą kwestią jest więc edukacja lekarzy?

– Najważniejsza jest dostępność badań oraz świadomość lekarzy. Chodzi o czujność, aby nietypowe objawy zapalały danemu lekarzowi lampkę w głowie i chory był kierowany do odpowiedniego ośrodka, który zajmuje się leczeniem chorób rzadkich. Dlatego tak ważne są centra referencyjne chorób rzadkich – one de facto już istnieją, ale istotne jest, żeby były trwale wpisane w system i żeby była jasna ścieżka kierowania tam pacjentów.

Według rekomendacji Unii Europejskiej państwa członkowskie powinny już 10 lat temu, bo do 2013 r., wprowadzić w życie strategię diagnostyki i leczenia chorób rzadkich. Wyczekiwany przez wiele lat Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich przyjęto dopiero w 2021 r. Ma on zostać zrealizowany do końca tego roku. Jaki jest obecnie stan jego realizacji i czy można

traktować go jako antidotum na polskie problemy?

– Cały czas toczą się prace. Plan oznacza przede wszystkim kolejne zadania do wykonania dla osób zaangażowanych w jego powstanie. Zakłada on utworzenie platformy informacyjnej i rejestru chorób rzadkich oraz usankcjonowanie ośrodków eksperckich skupiających się na tych chorobach. Dopiero jeśli uda się to wdrożyć, będziemy mogli ocenić, czy zostało to rzeczywiście zrobione skutecznie. Na szczęście w chorobach rzadkich – dzięki aktywności po stronie samych pacjentów i klinicystów – w ostatnich latach dużo się działo niezależnie od tego planu.

Na przykład co?

– Chociażby to, że udało się wdrożyć innowacyjne leczenie w kilku chorobach. Powstało też wiele ośrodków, które, nie czekając na ten plan, zajęły się chorobami rzadkimi. To kwestia olbrzymiego pospolitego ruszenia – aktywności obywatelskiej, nie tylko samych pacjentów, ale także lekarzy społeczników.

Czyli żyjemy w systemie, w którym opiekę trzeba sobie wywalczyć.

– To charakterystyka polskiego systemu ochrony zdrowia, że jeśli nie ma silnej presji ze strony samej zainteresowanej grupy, strona publiczna nie jest skora do podejmowania działań. W przypadku chorób rzadkich reguła jest taka, że tam, gdzie mamy silne grupy, udaje się wywalczyć lepsze rozwiązania systemowe. A tam, gdzie nie pojawia się grupa liderów, jest znacznie trudniej. Tymczasem jakość opieki i możliwości wsparcia nie powinny zależeć od tego, jaka jest zdolność samoorganizacji pacjentów.

Czy w leczeniu chorób rzadkich posiadanie większych pieniędzy równa się lepszej, prywatnej opiece?

– Jeżeli mówimy o najdroższych terapiach, to na ich dostępność można liczyć w systemie publicznym. Nawet zamożnych nie stać na terapie genetyczne. Natomiast ogromną słabością polskiego systemu jest dostęp do fizjoterapeutów – a w wielu chorobach rzadkich pojawiają się problemy wymagające wsparcia fizjoterapeutycznego. Na tym polu bardzo wiele zależy od zasobności danej rodziny, ale i od jej zdolności zebrania pieniędzy. To paradoks, że polskie metody radzenia sobie – poprzez zbiórki publiczne czy zbieranie 1,5% podatku – często utrwalają nierówności. Bo o wiele skuteczniejsi są ci, którzy mają lepsze sieci kontaktów, zarabiają więcej. Charytatywność sprzyja więc tym, którzy mają większe zasoby społeczne.

Czy według pani Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich jest kompletny, czy czegoś ważnego w nim brakuje?

– Patrząc na praktyczne możliwości wdrażania różnych rzeczy, dobrze wybrano jako pierwszy krok

kwestie związane z diagnostyką i uporządkowaniem struktury w systemie. Ale bardzo ważną sprawą, zaledwie jednak zasygnalizowaną w planie, jest konieczność opracowania standardów i ścieżek pacjenta. Chodzi o to, żeby każdy pacjent z daną jednostką chorobową był tak samo prowadzony i miał te same szanse na właściwą opiekę, niezależnie od tego, gdzie jest leczony. Drugą pominiętą kwestią jest zmiana sposobu orzekania o chorobach rzadkich. Wiedza o tych chorobach

intensywnej opieki 24 godziny na dobę siedem dni w tygodniu, wychodzą z komisji jako osoby zdrowe, ze względu na brak wiedzy w zespołach orzecznich.

Czy w świetle kryzysu systemu ochrony zdrowia realizacja planu może napawać optymizmem?

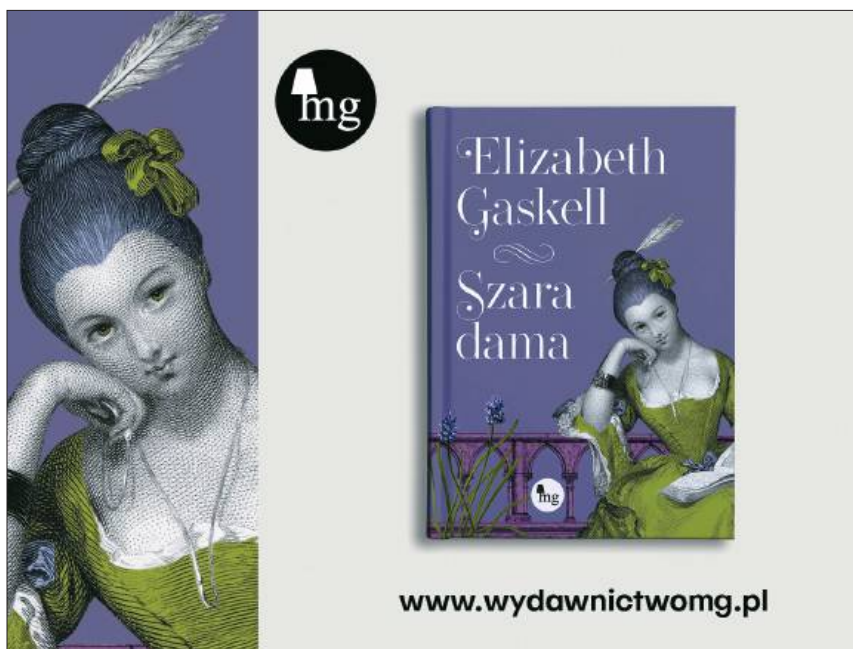
– Trzeba pamiętać, że plan dla chorób rzadkich powstaje dzięki aktywności środowiska pacjentów oraz lekarzy klinicystów, co daje nadzieję, że przetrwa zawieruchy polityczne. Bo to nie jest jednorazowa akcja,

W przypadku chorób rzadkich reguła jest taka, że tam, gdzie są silne grupy pacjentów, udaje się wywalczyć lepsze rozwiązania systemowe.

nie przebiła się niemal w ogóle do systemu zabezpieczenia społecznego. To olbrzymi problem, bo większość z tych chorób wiąże się z niepełnosprawnością, często niewidoczną na pierwszy rzut oka. Tam, gdzie mamy do czynienia z niepełnosprawnością intelektualną i zaburzeniami zachowania, które często uniemożliwiają samodzielną egzystencję, wymagane jest bardzo intensywne wsparcie. A obecnie zdaje się, że osoby, które wymagają

tylko prowadzona mozolnie, konsekwentnie od co najmniej 20 lat, działalność oddolna. Ludzi, którzy rozpoznali swoje problemy, i lekarzy, którzy rozumieją, że sukces to, jak mówił Churchill, „iść od porażki do porażki, nie tracąc entuzjazmu”. To oni – stosując tę Churchillowską regułę – wypracowują coraz lepsze rozwiązania. Na tym zasadza się nadzieja na powodzenie tych działań.

Dominika Tworek



www.wydawnictwomg.pl

Sny z plastiku

Filipiny odpowiadają za jedną trzecią plastikowych śmieci w oceanach. I to wcale nie jest największy problem ekologiczny

Mateusz Mazzini

Otocza każdego od pierwszych chwil. O ile przy lotniskach, w miastach, na drogach dojazdowych jego obecność da się jeszcze jakoś wytłumaczyć, o tyle moment, kiedy uderza w stopy zmoczone w oceanie, bywa dla wielu szokujący. Nieważne, co kto ma za plecami, siedząc na plaży – czy wielogwiazdkowy hotel z prywatną, odgrodzoną plażą, czy po prostu brzeg, o który rozbijają się

w Europie najgorzej pod tym względem wypadają Niemcy i Brytyjczycy (odpowiednio 6,8 i 6,6 mln ton). Nawet Polska wytwarza więcej plastikowych śmieci, bo już ponad 3 mln ton, i systematycznie zwiększa ich ilość, w tempie rosnącym zwłaszcza w ciągu ostatniej dekady.

Problem jest gdzie indziej – w tym, co później ze śmieciami się robi. ONZ i Bank Światowy zgodnie podają, że 20% filipińskiego plastiku trafia do mórz i oceanów. OECD mówi nawet o 25%, inne źródła

Najwięcej plastiku trafia do oceanu prosto z filipińskich cieków wodnych.

fale. Czy scenariusz jest dzika natura na jednej z tysięcy wysp i wysepek, czy pomost, z którego wchodzi się na prom. A naukowcy dopowiadają, że znajduje się także w wodzie, którą się pije i która leje się z prysznica. Że jest nawet w piasku, po którym ochoczo biega się boso. Że jak ocean trochę się rozhuśta, to wyrzuci go na brzeg tyle, że rano po plaży nie ma co chodzić – najlepiej poczekać, aż lokalsi posprzątają, przygotują świat dla turystów. Na Filipinach plastik jest jak powietrze, bo jest do słownie wszędzie.

Skąd ten problem

Przejdźmy do konkretnych danych. Bank Światowy podaje, że co roku na Filipinach produkuje się 2,7 mln ton plastikowych śmieci. Samo w sobie to jeszcze nie jest powodem do niepokoju, na tle Chin, Indii czy zdecydowanej większości krajów europejskich ta liczba nie wygląda źle. Globalnym liderem są Stany Zjednoczone (34 mln ton),

straszą jeszcze wyższymi liczbami. Rozbieżności kończą się, kiedy przychodzi do porównania Filipin z innymi krajami. Tu wątpliwości nie ma – najwięcej plastiku trafia do oceanów prosto z filipińskich cieków wodnych.

Ale nie ma co robić z Manili koła ofiarne, to problem regionalny. Prowadzony przez badaczy z Uniwersytetu Oksfordzkiego portal Our World in Data, cytowany m.in. przez Agencję Reutera, wskazuje, że 80% wszystkich plastikowych odpadów w morzach i oceanach dostaje się do nich z rzek Azji Południowo-Wschodniej. Znowu – nic w tym dziwnego, w końcu w strukturach gospodarek tych krajów produkcja prostych dóbr konsumpcyjnych odgrywa ogromną rolę. To zresztą fakt dość powszechnie znany, plastikowych odpadów jest najwięcej na Pacyfiku również z tego powodu. Pozostaje jednak pytanie, dlaczego akurat Filipiny, kraj niespecjalnie wyróżniający się na tle sąsiadów, mają z ich utylizacją największy problem.

Powierzchowne rozumowanie podsuwa jako odpowiedź typowe kwestie rozwojowe. Filipiny to kraj rozdrobniony, na 7 tys. wysp (plus setki czy tysiące mniejszych, niezamieszanych wysepek), w dodatku gospodarczo wciąż odstający od reszty regionu. Szybki rzut oka na ogólne statystyki prowadzone przez ASEAN pozwala stwierdzić, że Manila w wielu aspektach ma problem z dogonieniem reszty członków tej południowoazjatyckiej wspólnoty gospodarczej. Przy prawie 114-milionowej populacji, po Indonezji drugiej co do wielkości w regionie, jest dopiero na czwartej pozycji, jeśli chodzi o PKB per capita. To samo miejsce zajmuje pod względem wykorzystania kapitału społecznego, przegrywając z głównymi rywalami: Tajlandią i Malezją. Równie przeciętne – co ważne w kontekście problemów z utylizacją plastiku – wypadają Filipiny w statystykach dostępu do infrastruktury: dróg, połączeń kolejowych, transportu publicznego, ale też kanalizacji, sieci energetycznych i sortowni odpadów. I o ile piąte miejsce, za dominującym w regionie Singapurem, ale również Tajlandią, Malezją i nawet Wietnamem, nie wydaje się zwiastować kryzysu, o tyle inne liczby każą bić na alarm.

Śmieci a stereotypy

Dane z kilku źródeł, przede wszystkim z organizacji pozarządowych, ale potwierdzone przez WHO, wskazują, że aż 70% mieszkańców kraju nie ma na co dzień dostępu do sortowni i legalnych wysypisk. Czyli siedem na dziesięć gospodarstw domowych swoje śmieci posyła – samodzielnie lub nie, celowo lub przypadkowo – nie tam, gdzie trzeba. Już w lipcu 2000 r. władze w Manili wprowadziły ustawę zabraniającą składowania odpadów na dzikich wysypiskach i nakazującą przekształcenie wszystkich składowisk śmieci w sformalizowane, wyposażone w odpowiednią infrastrukturę sortownie. Plastik zatem od 23 lat nie można składować, gdzie się chce. Trzeba teren zabezpieczyć, podłączyć do kanalizacji i prądu, prowadzić legalny biznes. I tu pojawia się problem numer 1:



ustawa istnieje, ale nie działa. Wie o tym sam filipiński rząd – w raporcie przygotowanym w 2017 r. przez tamtejszą senacką komisję środowiska doliczono się aż 403 składowisk działających nielegalnie i niespełniających wymogów ustawy, przy zaledwie 108 funkcjonujących prawidłowo. Cztery na pięć wysypisk śmieci w 114-milionowym kraju nie ma więc warunków, żeby powstrzymać pełzającą katastrofę ekologiczną.

Tak przeprowadzona analiza pozwala obalić dość powszechny i szkodliwy mit na temat społeczeństw w krajach słabiej rozwiniętych, nie tylko azjatyckich, że śmieci są tam wszędzie, bo nie ma wśród mieszkańców kultury dbania o wspólną przestrzeń. Zwłaszcza w Europie pokutuje ten postkolonialny stereotyp postrzegania Azjatów jako dobrych pracowników, posłusznych i karnych obywateli i uważnych rzemieślników, a jednocześnie przypisywania im wielu pejoratywnych cech dotyczących organizacji ich społeczności.

Tymczasem plastik z filipińskich gospodarstw domowych trafia do oceanów wcale nie dlatego, że Filipińczycy indywidualnie go tam wrzucają. Wręcz przeciwnie – według danych WWF aż 76% plastiku, który ląduje w wodzie, zostało uprzednio odebrane przez

prywatne najczęściej firmy, zarabiające na zarządzaniu odpadami ogromne sumy.

Bank Światowy szacuje, że cały sektor utylizacji odpadów wart jest dzisiaj prawie bilion dolarów, przy czym aż jedna czwarta zysków generowana jest w Azji Południowo-Wschodniej, z Chinami, Indiami i Australią włącznie. W przypadku samych Filipin, wylicza portal Statista, zyski na czysto tej gałęzi gospodarki wynoszą

o rozwoju. Nie wystarczą jednak dofinansowane przez Zachód inwestycje, żeby kryzys śmieciowy rozwiązać. Odpadów przybywa za szybko, żeby obecnie istniejący system był w stanie je przerobić. Powodem jest głównie olbrzymie tempo urbanizacji Filipin.

Jeszcze w latach 80. w miastach żyło nieco ponad 37% mieszkańców, w latach 90. – już 48,6%. UN Habitat, agencja Narodów Zjednoczonych ds. demografii i urbanizacji, ocenia,

Od 23 lat nie można na Filipinach składować plastiku, gdzie się chce. Trzeba teren zabezpieczyć, podłączyć do kanalizacji i prądu, prowadzić legalny biznes.

ok. 600 mln dol. rocznie, z ogólnym trendem zwykłym. Nie wydaje się to dużo, ale w kraju, w którym średnie wynagrodzenie miesięczne netto w sektorze innym niż rolniczy wynosi równowartość 308 dol., to naprawdę olbrzymie pieniądze.

Biznes jak inne

Dopiero teraz widać więc, jak wielopiętrowy jest to problem. Rzeczywiście brakuje tu odpowiedniej infrastruktury, co jest typowym zagadnieniem z zakresu nauk

że dzisiaj wskaźnik ten przekracza 55%, a do połowy stulecia osiągnie zawrotne 84%. Za przenoszeniem się ludności do miast idzie wiele innych procesów, w tym większa produkcja plastikowych opakowań, ogólna konsumpcja dóbr i usług i wytwarzanie większej ilości śmieci. Jeśli połączyć to zjawisko z niewydolnym systemem, przepis na katastrofę gotowy. A przecież trzeba pamiętać o ludziach, którzy na śmieciach zarabiają, często kosztem wspomnianego systemu i środowiska naturalnego.

Cała gospodarka odpadami, nie tylko zresztą na Filipinach, to biznes bardzo podatny na wszelkiego rodzaju nieprawidłowości. Znamy to nawet w Polsce, gdzie co kilka lat wybuchają afery związane z nielegalnym składowaniem odpadów przez zachodnioeuropejskie syndykaty kryminalne (głównie włoskie mafie) czy tanim importem śmieci nad Wisłę, chociażby z Chin. Łatwo więc wyobrazić sobie skalę nadużyć, korupcji i łamania prawa w kraju o znacznie słabszych instytucjach nadzoru.

prawnych dotyczących gospodarki odpadami na poziomie poszczególnych prowincji. Jak się później okazało, dość powszechne było przyjmowanie korzyści majątkowych w zamian za przymykanie oka na dzikie wysypiska lub tworzenie śmietnisk bez odpowiedniej infrastruktury. Między innymi z tego powodu na Filipinach wciąż istnieje prawie pół tysiąca składowisk, które nie spełniają wymogów prawnych. A to ma konkretne konsekwencje.

Wyobraźmy sobie, jak takie wysypisko może funkcjonować. Zarządza

rocznie. Dla kraju będącego wciąż na dorobku to olbrzymia kwota. Wiadac więc, że lepsze wykorzystanie plastiku po prostu się opłaca, i to naprawdę wszystkim.

Żeby jednak do tego doszło, trzeba uszczelnić system we wszystkich miejscach, w których nie działa on prawidłowo. A taką operację naprawdę trudno przeprowadzić bez odpowiednio silnych instytucji państwowych. Trzeba bowiem ukrócić, najlepiej jednocześnie, zarówno korupcję, jak i nielegalny handel odpadami, niewłaściwą ich utylizację, ale także prowadzić kampanie edukacyjne na poziomie szkół czy społeczeństwa obywatelskiego.

To ambitna lista zadań dla kraju, który według Freedom House jest państwem zaledwie częściowo wolnym i demokratycznym. Od transformacji ustrojowej, od dyktatury Ferdinanda Marcosa do demokracji minęło już 37 lat, ale filipińska architektura instytucjonalna wciąż jest bardzo podatna na tendencje autorytarne, czego dowodem była narodowo-populistyczna, represyjna sześćioletnia kadencja byłego już prezydenta Rodriga Duterte, który odszedł z urzędu w ubiegłym roku. Jeśli dodamy do tego problem z islamistycznym ekstremizmem, obecność azjatyckich filii Państwa Islamskiego na południu kraju i przestępczość zorganizowaną, mamy obraz państwa, w którym nieustannie gdzieś wybuchają pożary. Masowe wyrzucanie plastiku do oceanu łatwo może tu spaść w hierarchii priorytetów politycznych na dalsze miejsca.

To jednak będzie musiało się zmienić, bo przy wspomnianym błyskawicznym tempie urbanizacji i wzrostu konsumpcji niedługo Filipińczycy zwyczajnie zaczną tym plastikiem się dławić. Przykryje on wszystko, łącznie z piękną, unikatową przyrodą. Bez stanowczych działań na Filipinach plastik zdominuje każdy element życia codziennego, nawet sny i marzenia o przyszłości.

Doliczono się aż 403 składowisk odpadów działających nielegalnie, przy zaledwie 108 funkcjonujących prawidłowo.

W 2016 r. na Filipinach wybuchł ogromny skandal korupcyjny, pod lupą administracji i regulatorów znalazło się łącznie ponad 600 urzędników państwowych, głównie samorządowców, oskarżonych o malwersacje przy zarządzaniu odpadami. Wspomniana ustawa z 2000 r. właśnie samorządom lokalnym przyznawała wyłączne kompetencje w tworzeniu regulacji

nim prywatna firma, która za odbiór śmieci bierze niemałe pieniądze, najczęściej bezpośrednio od władz – lokalnych lub centralnych. Śmieci trafiają na składowisko, na którym i tak już oszczędzano, bo nie obudowano go odpowiednimi urządzeniami. Co dzieje się potem, tak naprawdę nie wie nikt, bo skoro składowisko nie widnieje w oficjalnych rejestrach, nie podlega żadnym kontrolom. Odpady mogą być spalane, wysyłane do innych krajów, nielegalnie sprzedawane. Najczęściej jednak są stopniowo, w mniejszych porcjach, wrzucane do oceanu.

Zadławieni

Plastikowa katastrofa to nie tylko problem dla środowiska naturalnego. To też olbrzymie koszty, ale i niewykorzystane szanse filipińskiej gospodarki. Warto tu wrócić do wyliczeń Banku Światowego, który szacuje, że w ujęciu globalnym wyrzucanie plastikowych odpadów do oceanów to strata 80-120 mld dol. Tyle wynosi koszt opakowań, które produkuje się od nowa, a które można by zastąpić opakowaniami wytwarzanymi ze śmieci. Tak zwana gospodarka obiegu zamkniętego jedynie w zakresie skutecznego recyklingu plastiku przyniosłaby na Filipinach zysk rzędu 890 mln dol.



Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Świadectwo nieważności

Bez względu na stan ducha i samooceny, w każdym momencie życia, na wozie i pod wozem, w czasach uniesień i upadków, wciąż mam powracający sen ferdynandowski – oto matura moja została unieważniona i muszę powrócić do liceum, aby ją, by tak rzec, nostryfikować. Nie taki to znów majak, wszak żyję w zupełnie innym kraju niż ten, który mi wydał świadectwo dojrzałości. Zaczynałem swoją edukację w PRL, maturę robiłem w III RP, ale nowa, prawa i sprawiedliwa, solidarna i suwerenna Rzeczpospolita trwa dopiero od lat ośmiu, więc należy się poddać weryfikacji i sprawdzić ważność świadectwa dojrzałości. Po wygranych wyborach PiS nie będzie już musiało „jechać po bandzie”, bo żadnych band nie będzie, nic nie ograniczy już finezyjnej mściwości naszych wodzów. Spodziewam się zatem, że szef wszystkich mędrców, oberminister nauk wszelakich, pan Przemysław Czarnek, unieważni nie tylko tytuły naukowe, które zdobyto w niepatriotycznych okolicznościach, ale i odeśle wszystkich opornych wobec narodowo-katolickiej idei polskości do liceum trzeciego wieku, aby poddać ich edukacyjnym torturom i ostatecznie dowieść niedojrzałości poglądów.

Sen mój co prawda powtarzał się przez całe dorosłe życie bez względu na aktualia polityczne, ale teraz pewnie ziści się jako proroczy – wszystkie umysły wykształcone powyżej zasadniczych kwalifikacji zawodowych staną wobec dylematu: lojalka albo degradacja. Cóż, nie tylko w swoim koszmarze sennym czułem się zawsze utytułowany nad stan – w szkole średniej uchodziłem w najlepszym razie za nieuka (to w dziedzinach humanistycznych) lub debila (w wymiarze ścisłym, matematyczno-fizycznym) – maturę zawdzięczam wyłącznie niebywałemu fartowi załapania się na bodaj pierwszy rocznik w XX-wiecznej historii kraju, kiedy matematyka nie była przedmiotem obowiązkowym.

Stresu przedegaminacyjnego nie pamiętam, albowiem bajdurzyć o literaturze i historii lubiłem, pióro miałem lekkie, a do tego wystarczyło jeszcze swobodnie porozmawiać z komisją po angielsku i matura zaliczona. Pomnę tylko, że natchniony świeżo otrzymanym dowodem osobistym uznałem, że wolno mi w ramach wykorzystania niezakazanych środków dopingujących przed egzaminem ustnym wyskoczyć na dwa szybkie

piwka dla kurażu, co omal nie skończyło się katastrofą. Egzaminatorzy byli bowiem niespieszni, a mnie litr zimnego trunku obciążył pęcherz moczowy; wiłem się więc w dziwacznych pozach, płynnie i błyskawicznie odpowiadając na zadane pytania – komisji gawędziło się tym lepiej, im szybciej wypowiadałem zdania wielokrotnie złożone, z nadzieją, że to już wystarczy na przyzwoitą ocenę. Później przez lata studiów i dziesiątki egzaminów człowiek uodpornił się na stres, matura z tej perspektywy wydaje się ledwie rozgrzewkowym wyzwaniem, naprawdę paraliżujące lęki przyszło mi w życiu odczuwać wyłącznie na salach sądowych, gdzie w różnym wieku i różnych okolicznościach musiałem odpowiadać w gruncie rzeczy na jedno i to samo pytanie egzaminacyjne: „Dlaczego jest pan wielbłądem?”.

Tymczasem we śnie niczym Józio Kowalski wracam na korytarze licealne, dotączęm do klasy młodziaków, którzy widzą we mnie dziaderskie kuriozum, nauczyciele zaś ignorują, albowiem regresja moja musi zostać ukarana, o ile sama nie jest karą – nauczyciele nie są

Po wygranych wyborach PiS nie będzie już musiało „jechać po bandzie”, bo żadnych band nie będzie.

po to, by mnie cokolwiek nauczyć, lecz by oduczyć mniemania o sobie. Oto stoję znów przed nimi w całej swojej niedojrzałości latami skrywanej i słysz: „Drugi raz nas nie oszukasz. Nigdy niczego już nie zdasz. Oblałeś egzamin z życia. Nie ma dla ciebie powrotu, nie ma też przyszłości. Jesteś melancholijnym przybłądą, który może się tylko przyglądać wszystkim tym, którzy mają całe życie przed sobą. Oceny końcowe już ci wystawiono, z góry na dół niedostateczne lub naganne. Dostawałeś szanse, terminy poprawkowe, aleś je zmarnował. Mieliśmy nawet przez chwilę niejakie oczekiwania wobec ciebie, parę osób uwierzyło, że będą z ciebie ludzie, ale spotkało je wyłącznie rozczarowanie. Dzisiaj wstydzą się, że dały ci parę pochwał na zachętę, bo ostatecznie podważyło to ich kompetencje zawodowe. Usiądź w ostatniej ławce i nie przeszkadzaj, Kuczok, czy jak ci tam. Zresztą nieważne”.



Uchwałą magistratu z 14 czerwca 1927 r. powołano do życia Miejski Ogród Zoologiczny na Pradze, w miejscu, w którym zoo znajduje się do dziś. Otwarte zostało już 11 marca 1928 r. Jego dynamiczny rozwój przerwał wybuch wojny, jednak dzięki poświęceniu ówczesnego dyrektora Jana Żabińskiego i jego żony Antoniny przetrwało okupację. Na jego terenie znajdowali pomoc uciekinierzy z warszawskiego getta.

Ponowne otwarcie nastąpiło w 1949 r. Obecnie stołeczne zoo, noszące imię Jana i Antoniny Żabińskich, cieszy się niestabną popularnością wśród zwiedzających, organizuje imprezy kulturalne i popularnonaukowe, ma też sukcesy hodowlane.



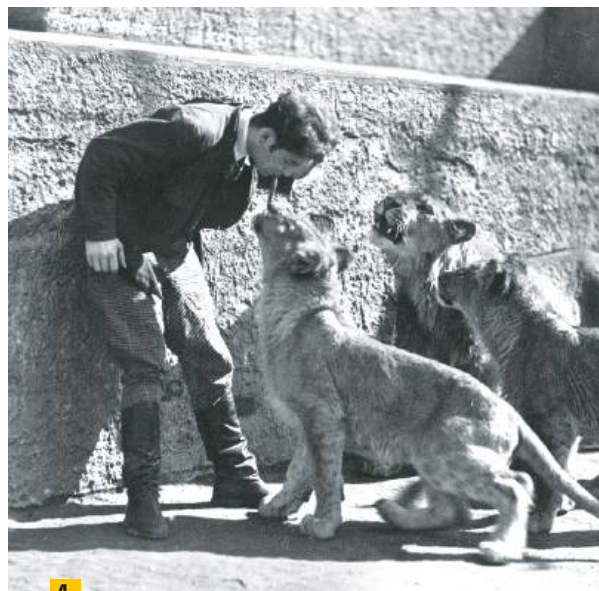
1.



2.



3.



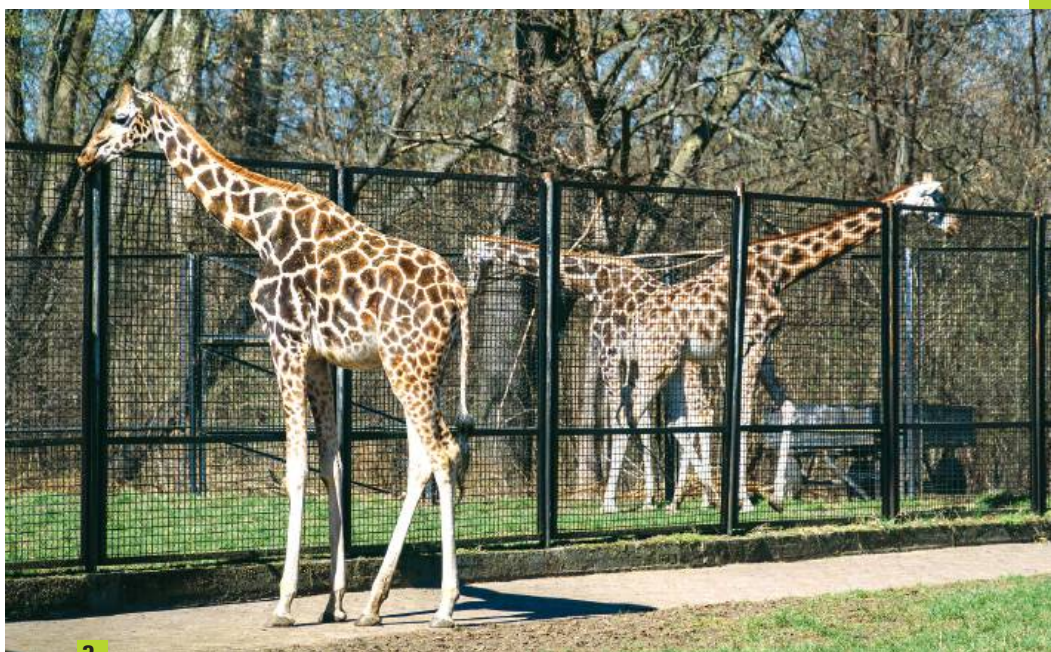
4.



1.

2.

1. Karmienie urodzonych w zoo niedźwiedzi, 1974 r.
2. Mała słonica Tuzinka z mamą na wybiegu, 1937 r.
3. Wielbłąd w zaprzęgu, 1935 r.
4. Treser lwów podczas ćwiczeń, 1936 r.



3.



1. Antylopy bongo – z tyłu duża Hela, z przodu mała Melody.
2. Goryl Azizi.
3. Żyrafy Rothschilda – Justyna, Anastasia i Malawi.
4. Lew afrykański Zulus.



4.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- listopadowy, styczniowy lub warszawski
- przednia strona monety
- widowsko na lodzie
- „Prawdziwa... jechać dorożką”
- od gongu do gongu
- jak ono bywa coś podziurawione
- surowiec do wyrobu mat
- polska ciężarówka
- Ogólnopolski... Kobiety
- ciasto ze świeczkami
- numerowy, bagażowy
- i rozprawa naukowa, i umowa międzynarodowa
- kierunek rozwoju, zmian
- zawój na głowie
- od poniedziałku do niedzieli
- dzika gruszka
- dziwny ruch ciała
- ocalenie od potępienia wiecznego
- sęta, usypisko

haslo:

.....

imię i nazwisko:

adules.

.....

Jako, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych

osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. In-
 -

jęłki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na ta-

mach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Uswiadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowoli podania danych

osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich popra-

wiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1116”. Do rozlosowania książki „Dziennik Maryli” ufundowane przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 maja 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1113” z nr. 16: *Wyrwały zawsze znajdzie drogę.*
Nagrody otrzymują: Kazimierz Lenkiewicz z Zielonej Góry, Elżbieta Pyra z Lublina,
Krzysztof Szopa z Zagania.

Towarzyszu, teraz Bangkok

Na początek o cudach. Oto jak wiceszef MSZ Wojciech Gerwel przedstawiał Artura Dmochowskiego, kandydata na ambasadora w Tajlandii. Że jest dyplomatą z długoletnim stażem. Że zdobył wszechstronne wykształcenie i doświadczenie zawodowe w polityce międzynarodowej. Że studiował stosunki międzynarodowe w Middlebury Institute of International Studies w Kalifornii oraz odbył studia podyplomowe w zakresie polityki zagranicznej USA na Uniwersytecie Marylandu. Że pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych rozpoczął w roku 1992, w Departamencie Amerykańskim, przechodząc w resorcie kolejne szczeble zawodowe i osiągając stopień doradcy ministra. Że przez sześć lat jako radca minister kierował Wydziałem Ekonomiczno-Handlowym ambasady RP w Rzymie. A następnym etapem jego pracy w dyplomacji była funkcja rzecznika prasowego MSZ w latach 2015-2016, później zaś wicedyrektora Akademii Dyplomatycznej MSZ. Obecnie jest ambasadorem RP w Czarnogórze. Po czym Gerwel dodał, że w swojej karierze zawodowej Dmochowski był aktywny także w innych dziedzinach, głównie w sferze mediów, m.in. stworzył nowy kanał telewizyjny TVP Historia oraz kierował Polską Agencją Prasową.

Oto więc portret dyplomaty, który w życiu zawodowym zahaczył też o media. Portret miły, ale w Wikipedii wyczytać można coś innego. Że Dmochowski to „dziennikarz, publicysta, historyk, dyplomata”. W tej właśnie kolejności. Że najpierw działał w opozycji antypeerelowskiej, zakładał NZS, działał w konspiracji itd. W III RP był szefem TVP Kraków (w roku 1991). Potem przeszedł do MSZ. Następnie

wrócił do Polski i był szefem programowym TV Wisła. Później znów wskoczył do MSZ i był na placówce w Rzymie. A potem była Polska... W latach 2006-2009 był dyrektorem TVP Historia, od roku 2011 redaktorem „Gazety Polskiej”. W listopadzie 2015 r. (czyli po zwycięstwie PiS) został rzecznikiem prasowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych u Waszykowskiego. W latach 2016-2017 był prezesem Polskiej Agencji Prasowej. A w roku 2018 wyjechał na stanowisko ambasadora w Czarnogórze.

Widzimy zatem, że Dmochowski nie jest dyplomatą z krwi i kości, jak przedstawiał go wiceminister Gerwel, wycinając z jego CV pracę w „Gazecie Polskiej”, a uwypuklając różne funkcje w resorcie i wyjazdy. Jest raczej przykładem zasłużonego w walce z „komuną” towarzysza, który wiernie służył w III RP PiS i któremu koledzy znajdują kolejne stanowiska i synekury. I to bez żadnych zahamowań.

Taką synekurą była Czarnogóra. Ale ponieważ jedzie tam teraz inny zasłużony pogromca „czerwonych”, Andrzej Papierz, Dmochowski wyjeżdża w nowe wypoczynkowe miejsce, do Bangkoku. Prosto z Podgoricy. Co o Tajlandii wie? Co wie o Azji Południowo-Wschodniej? A co może wiedzieć? Za rok wejdzie w wiek emerytalny, więc nie miejmy złudzeń...

„Mój mąż jest z zawodu dyrektorem”, mówiła w „Poszukiwany, poszukiwana” Barbara Rylska. Oto właśnie za sprawą Dmochowskiego i niektórych jego kolegów następuje rekonstrukcja historyczna najmniej ciekawych fragmentów tamtych czasów.

Attaché



Dla sudańskich uchodźców na granicy z Czadem dostęp do wody to poważny problem.



PENETRACJE

zwierciadło **PROF. BOGDAN DE BARBARO,**
PSYCHIATRA, PSYCHOTERAPEUTA

Nie mam wątpliwości, że więzy krwi są głębokie i silne, niezależnie od tego, czy będziemy je rozumieć dosłownie jako przekaz DNA, czy jako metaforę bezpiecznej bliskości w dzieciństwie przygotowującej do trudów życia w dorosłości. Za najważniejszy uważam proces wychowawczy. Znam rodziny, w których dziecko jest adoptowane, i widzę tam ogromne przywiązanie, oddanie i odpowiedzialność. Miłość do ostatniej kropli krwi może dotyczyć też tych, których krew nie ma wspólnego genotypu.

ANGORA **KRZYSZTOF KOLANY,**
GŁÓWNY ANALITYK PORTALU BANKIER.PL

Gotówka zapewnia anonimowość, niezależność transakcji od banków, państwa. Już dziś państwo, banki, koncerny wiedzą o nas bardzo dużo. To na razie pierwszy krok. Bez gotówki stopień inwigilacji i zniewolenia będzie jak u Orwella. Mało tego, bank będzie w stanie według własnego uznania zablokować każdą transakcję, co przecież od czasu do czasu już miało miejsce. Już teraz mogą nam zablokować rachunek bankowy tylko na podstawie podejrzeń urzędnika czy prokuratora. Dlatego próba likwidacji gotówki jest krokiem w stronę totalitaryzmu, i nie są to słowa na wyrost.

PANI **MICHAŁ BAJOR,**
AKTOR, PIOSENKARZ, KOMPOZYTOR

Bardzo mocno wiem, czego chcę. Nie idę po trupach, bo nie muszę. Kto dzisiaj mnie, Grześkowi Turнауowi czy Edycie Geppert zaszkodzi? Nikt. Branża piosenki literackiej jest mała, a lista artystów króciutka. Nie jesteśmy celebrytami z Pudelka, ale bez problemu wypełniamy filharmonie, opery czy sale koncertowe na tysiące osób. Moja wspaniała publiczność przychodzi na moje koncerty od dziesięcioleci. Wspólnie dorastaliśmy. Dziś przyprowadzają dzieci, często mam na sali trzy pokolenia. Ale też zawsze miałem tylu wielbicieli, ilu przeciwników. Jedni mnie uwielbiają, inni nie znoszą.

STYL **IGA ŚWIĄTEK,**
MISTRZYNI TENISA

Wiadomo, że nasz tenis jest inny niż męczyzn, ale inny nie znaczy gorszy i zasługujemy na to samo, co mają tenisiści. Mówię tu o równych płacach, ekspozycji marketingowej itd. Kobiecy tour jest ciekawy i dużo się dzieje. Niektórzy mówią, że u kobiet jest więcej emocji, ale nie wiem, czy się z tym zgadzam, bo czym jest rozwalanie rakiet przez wielu tenisistów, jak nie emocjami? Kobieta w sporcie... Wiem, że jestem numerem jeden w tenisie kobiecym i że pewnie nie wygrałabym meczu z męskim numerem jeden. Ale nie czuję się gorsza.

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl, której autorem jest Winston Churchill.

DYNASTY TO FOLLOW,
 WHO WOULD TAKE UP
 THE REINS OF THE
 EMPIRE? THE ANSWER
 WAS THE HOUSE
 OF HAN.

ROZWIĄZANIE: DYPLOMATY TO CZŁOWIEK, KTÓRY DWUKROTNIE SIĘ ZASTANOWI, ZANIM NIC NIE POWIE.

Ja czytam. Mama czyta.
Tata czyta. Babcia też
czyta. Dziadek czyta.
Oni czytają. One czytają.

KAŻDY ZNAJDZIE COŚ DLA SIEBIE

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGLĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ

Aby język giętki...

KRYSTYNA ZACHWATOWICZ-WAJDA
O ZWIERZETACH

Mam cel: wyrzucić z języka słowo „zdechło”. Używane w stosunku do zwierząt. W wielu językach, także w japońskim, nie ma „zdychania”.

KATARZYNA DOWBOR O KONIACH

Mam trzy konie. Obserwuję ich zabawy, czułości, kłótnie. Sekretne życie moich zwierzątek ciekawi mnie bardziej niż najlepszy serial.

ARTUR „BARON” WIĘCEK O KRZYSZTOFIE GLOBISZU

Usłyszałem jego charakterystyczny śmiech. W tym śmiechu był cały on: jego radocha, siła, czułość.

MICHAŁ RUSINEK O ZWIERZANIU SIĘ

Lgnę do ludzi, którzy się nie zwierają, ale opowiadają ciekawie. I absolutnie nie mam potrzeby zwierzania się komukolwiek.

AGATA KULESZA O NASTROJACH

Smutek jest prosty, radość wymaga wysiłku. Ale jej potrzebujemy i warto o tę radość się postarać.

GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA
O SHOW-BIZNESIE

Słyszę: ale pani jest niewykorzystana. Może to dobrze. Ja nie dam się nikomu wykorzystywać.

**ADRES REDAKCJI**

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczak, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szestak, Bronisław

Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Ketner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tvgodnikprzeklad.pl

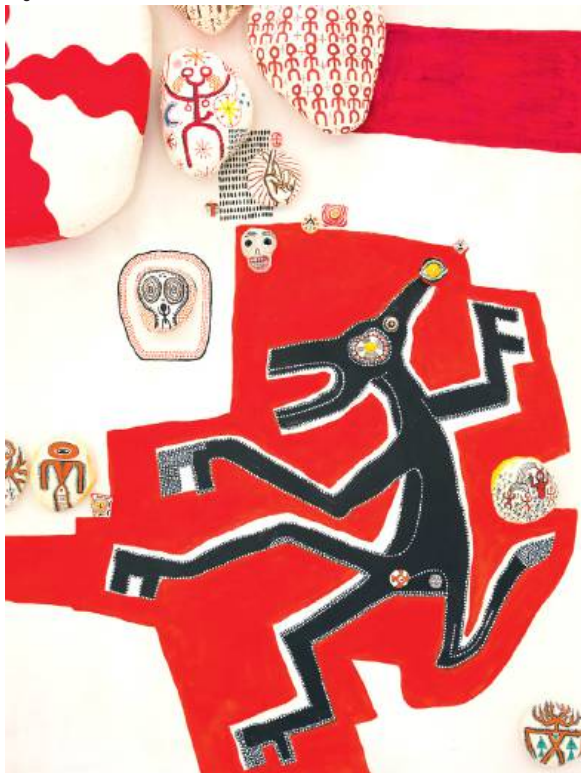
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karna.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Jesteście moi. Jakub Julian Ziółkowski

Jakub Julian Ziółkowski (1980) jest jednym z najważniejszych współczesnych polskich artystów. Krakowska wystawa to pierwsza tak obszerna prezentacja jego twórczości – składa się na nią ponad 100 prac, wśród których są wielkoformatowe obrazy, rozbudowane instalacje, precyzyjne rysunki oraz monotypy, niewielkie rzeźby i obiekty ceramiczne. To manifest życia oraz nadrzędnych procesów rządzących wszystkim, co istnieje. Refleksja nad trwaniem, zasadami funkcjonowania człowieka w świecie i nad tym, jak ten świat się zmienia.

Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK
Kraków, ul. Lipowa 4
do 24 września



Jesteście moi, 2021



Genesis, 2020

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Melodramat

reż. Anna Smolar

premiera: 20 maja 2023

kolejne pokazy:

21, 23, 24, 25, 27.05

Melodramat to opowieść o Kubie i Krystynie, parze uwikłanej we współzależnieniowy cykl wzlotów i upadków. Spektakl pożycza od „Pętli” Marka Hłaski osoby dramatu, jednak swoją uwagę przekierowuje na Krystynę, a także na relacje spoza damsko-męskiego stereotypu. Twórczyńie i twórcy podążają ścieżką myśli, przekonań i porywów figury Dobrej Żony. Czy będzie potrafiła znaleźć dla siebie nową definicję dobra i troski, wyemancypować się – nie spektakularnie, ulicznie, politycznie, ale aż – prywatnie i intymnie?

NAKRĘCENIE TEGO DOKUMENTU ZAJĘŁO 9 LAT!



RYŚ. KRÓL PUSZCZY

reżyseria **Laurent Geslin** światowej sławy fotograf dzikiej natury

czyta
Krystyna Czubówna

WSPIERAMY



JEDEN SPRZEDANY bilet to JEDNA ŻŁOTÓWKA na ochronę rysia



PIERWSZY PEŁNOMETRAŻOWY FILM O RYSIACH
W ICH NATURALNYM ŚRODOWISKU

W KINACH OD 12 MAJA



Produced by Swiss Film Commission
Produced by Swiss Film Commission
Produced by Swiss Film Commission
Produced by Swiss Film Commission

SWISS FILMS

AURORA